Jak błazen Bahlul wykorzystał żonę wezyra — czytaj str. 11

◆ Ryszard Kostrzewa rezygnuje z przewodniczenia łódzkiej „Solidarności" str. 3
◆ Spór w muzeum tylko zawieszony — str. 2
◆ Afrodyta zginęła na mojej piersi — str. 10

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 42 (1646) ROK XXXII 15 PAŹDZIERNIKA 1989 ROKU CENA 200 ZŁ

Kto może czuć się emigrantem? Dlaczego Wojciech Pszoniak może grać w paryskich teatrach, choć słabo mówi po francusku? Czy można wyzwolić się spod jarzma polskich mitów?

Nie można bez kompetencji ruszać na podbój świata

Rozmowa z LUDWIKIEM STOMMĄ — etnologiem, profesorem Sorbony.

— **Dlaczego Francja?**

— Po miesiącu pobytu we Francji zastał mnie tutaj stan wojenny. Nie byłem takim masochistą, żeby tam się pchać, gdy tutaj miałem ciekawą pracę, a w Polsce z pracy mnie zwolniono. I tak z roku na rok to się przedłużało.

— Żadnych ciężkich momentów, żadnych rozterek?

— Rozterki były i są. Oczywiście. Zawsze wtedy opowiadam historię starego Żyda, którego spotkałem w Tel-Awiwie. On mówi: „Pan Polak?". Ja — „Tak" — On: „No i jak? Wraca pan czy nie wraca?" — „Ja się waham". On mi na to — „Wie pan ja też się waham". — „A kiedy pan wyjechał z Polski?" — pytam — „w 1938 roku".

— Czy czuje się pan emigrantem?

— Nie. Nie czuję się. Trzeba w ogóle zastanowić się, co to pojęcie oznacza. Można powiedzieć, że emigrant to człowiek, który na stałe mieszka na Zachodzie, ale to pociąga za sobą konieczność wyznaczenia przedziału czasowego. Czy w takiej kategorii nie mieści się ktoś, kto mieszka tak jak ja, przez osiem lat na Zachodzie, czy też dopiero ten, kto się tutaj urodził. Jeśli jednym z kryteriów będzie „świadomość wyjazdu", to połowa ludzi określonych mianem emigranta nie zmieści się w tej kategorii. Logicznie można używać terminu „emigracja polska" tylko w odniesieniu do ludzi urodzonych poza granicami kraju, którzy zachowują poczucie polskości, związani są z kulturą polską i sentymentami z Krajem, ales o których już na pewno wiadomo, że są po „tamtej stronie", gdzie mają dzieci, rodziny, domy. W nakręconym przez paryski „Kontakt" filmie o Polakach w Paryżu, wszyscy jego bohaterowie, od Lebensteina, przez Wojciecha Pszoniaka po Annę Prucnal, stwierdzili, że nie są emigrantami. I powiedzieli to tak nerwowo, jakby się tego słowa brzydzili. Ja ich rozumiem. Bo jeśli emigracja jest stanem oczywistości, to emigrantem jest się w drugim, trzecim pokoleniu, a jeżeli nie jest oczywistością, to każdy się będzie wzbraniał przed tym określeniem. Tym bardziej, że emigrant jest pojęciem negatywnym. Emigrant to wędrowiec bez domu. A z drugiej strony, czy emigrantami są Polacy, którzy poza polskimi nazwiskami, całkowicie „zmienili skórę"? Polacy w Paryżu bardzo chętnie przypisują „polskość" francuskim autorom noszącym polskie nazwiska, jak choćby słynny piłkarz Raymond Kopa (Kopaczewski), autor książki „Piłka i ja", czy Stopor lub Krawczyk, którym by to nigdy nie przyszło do głowy. Jeśli zastosować historyczne kryteria, to hrabia Colonna Walewski, monsier Kościuszko — radca ministerstwa spraw zagranicznych, czy „Ponia" — Michał Poniatowski — są emigrantami. Korzenie mają polskie, pewnie w swojej genealogii jakieś polskie mitologie, może sympatie, ale poza tym nic więcej. Ja też nie jestem emigrantem, ani Polakiem na obczyźnie, bo Francja nie jest dla mnie obczyzną, lecz raczej powiedzmy — drugą ojczyzną. Jestem Polakiem we Francji i lojalnym obywatelem francuskim. A określeń — „emigracja polska" i „Polacy na obczyźnie" — nie znoszę, bo są kłamliwe i nieuczciwe. Są elity, które wchodzą w życie innych państw — Anglii, Francji, Australii, USA i tak dalej. Ale są i ludzie, którzy zostają pariasami nowego społeczeństwa; z całą goryczą pariasów i ze zbiorem skomplikowanych problemów klasowych, które są fałszywie interpretowane jako problemy narodowe. Kto więc jest owym „Polakiem na obczyźnie"? Mickiewicz? Bogaty, amerykański polonus, który ubrany w kontusz zajeżdża na uroczystości do kraju? Robotnik z północnej Francji czy wspomniana Anna Prucnal — śpiewająca po francusku piosenkarka francuska?

— Czy uwikłania psychologiczne uniemożliwiające przystosowanie się do nowego otoczenia można uważać za przyczynę stawania się pariasem?

— Odpowiedź jest bardzo brutalna, ale wynika z mojego doświadczenia i w moim odczuciu jest prawdziwa. Poza nielicznymi wyjątkami, ludzie którzy wyjeżdżali z Polski i byli na tyle dobrzy w swojej dziedzinie, że mogli się porównywać, jeśli chodzi o kompetencje i umiejętności, a do tego byli psychicznie w stanie podjąć większą pracę, bo tutaj trzeba więcej pracować niż w Polsce, tacy ludzie obejmowali stanowiska przynajmniej równe tym, jakie zajmowali w Polsce. Bo przecież w Polsce są także pseudoprofesorowie, pseudodocenci i nawet pseudolekarze. Ci się zdeklasowali. Na Zachodzie nieporzebne są papiery, lecz umiejętności. A swoją drogą, to takiemu profesorowi czy lekarzowi, który tutaj się nie przebił i z tego powodu wraca do Polski, nie powierzyłbym w kraju żadnej posady. Tutaj mu udowodniono, że jest bałwanem, którego w Polsce niosła fala układów, niesprawiedliwości politycznych czy snobizmów. Jeżeli przez 10 lat nie dał sobie rady, to znaczy, że jest po prostu niekompetentny.

— Czy zatem czynnik psychologiczny nie może być przyczyną niepowodzenia?

— Według mnie on dotyczy tylko artystów, a szczególnie artystów języka: literatów, dziennikarzy i aktorów. Natomiast nie dotyczy naukowca, inżyniera czy robotnika niewykwalifikowanego. W swoim czasie zaprzyjaźniłem się z pewnym bezrobotnym polskim emigrantem, który skończył łódzką szkołę filmową. Polscy reżyserzy uważali go za dobrego kamerzystę. Gdy Wajda i Kostenko powiedzieli mi, że on jest znakomitym fachowcem, to wiedziałem, że jego bezrobocie jest okresem przejściowym do czasu, gdy nie chwyci w ręce kamery i nie pokaże co umie. Jak ktoś dobrze lepił piece, to i tutaj dadzą mu te piece lepić. I tak się stało. Zatrudniono go w

4

Co tu się u nas, w tej Łodzi, dzieje?

A miała to być ziemia obiecana

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Rys. Dariusz Romanowicz

W minionych latach, kiedy I sekretarzem KC PZPR był Władysław Gomułka, a premierem Józef Cyrankiewicz, jak też i później, gdy I sekretarzem KC PZPR był Edward Gierek, a premierem Piotr Jaroszewicz przyjeżdżających do Warszawy łódzkich urzędników i działaczy witano pytaniem: — *Co się tam u was, w tej Łodzi, dzieje?* Wielu działaczy na centralnym szczeblu miało w swoim rodowodzie Łódź, albo w swojej karierze *„drogę przez Łódź"*. Gdy coś się w Łodzi wydarzyło, ich też — jako „odpowiedzialnych" za Łódź — pytano: *Co się tam w tej Łodzi dzieje?* Kiedyś i mnie zapytano, gdy w Łodzi zdarzyły się pod rząd trzy wielkie pożary. — Nic — odpowiedziałem — zwykłe prawo serii.

Nie wiem, jaka jest dziś moda w Warszawie, ale wiem, że można byłoby spokojnie zapytać:

— Co tu się u nas, w tej Łodzi, dzieje?

No, bo proszę tylko zważyć: — 29 maja 1989 roku RNMŁ wyraziła wotum nieufności dotychczasowemu prezydentowi Łodzi — Jarosławowi Pietrzykowi i dopiero dziś (03.10.1989), gdy to piszę, premier Tadeusz Mazowiecki zaprezentował Prezydium RNMŁ dwóch kandydatów na prezydenta Łodzi: Waldemara Bohdanowicza i Jerzego Drygalskiego; wybory zaplanowano na 11 października 1989 roku

— od dłuższego czasu nie ma w Łodzi głównego architekta i nikt nie kwapi się, aby objąć tę ważną dla miasta funkcję;

— organizacje partyjne „Polmerino" zażądały zmian w KŁ PZPR, co stało się faktem — Józefa Niewiadomskiego na stanowisku I sekretarza KŁ PZPR zastąpił Adam Walczak oraz dokonano dalszych zmian w kierownictwie KŁ PZPR;

— łódzkie sklepy są fatalnie zaopatrzone, szczególnie w artykuły spożywcze i minister rynku wewnętrznego Aleksander Mackiewicz słusznie radzi, aby nie oglądać się na Warszawę i samemu szukać sposobów poprawienia stanu zaopatrzenia

3

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70; 32-89-70

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Problematyka literacka: Henryk Pustkowski.

Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski,

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż — Londyn), Grzegorz Gazda, Janusz Janyst, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A. Makowski, Zenon J. Michalski, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Dariusz Romanowicz, Maciej Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul Sienkiewicza 3/5 tel 32-59-11.

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz**, tel. 36-89-99

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka Ruch" 91-103 Łódź ul Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa Książka-Ruch" Łódź, ul Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1 Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2 Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW Prasa Książka Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul Towarowa 23 00-958 Warszawa konto PKO BP XV Oddział w Warszawie, nr 1658 201045 139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego D-11

Przegląd prasy

Gdyby wybory do Sejmu i Senatu odbyły się w połowie września 1989 r. to 65 proc. Polaków głosowałoby za „Solidarnością", a tylko 3 proc. za PZPR. Poinformował o tym członków Komitetu Centralnego PZPR dyrektor CBOS Stanisław Kwiatkowski. Jego wystąpienie zawiera specjalna broszura wydana nakładem „TRYBUNY LUDU".

Sondaż CBOS wykazał, że zaufanie do „Solidarności" ma 84 proc. społeczeństwa, a do PZPR 20 proc. Połowa respondentów uważa, że partia ma za dużo władzy, jedna czwarta, że w sam raz, a zaledwie 5 proc. że za mało. Natomiast w odniesieniu do „Solidarności" tylko 15 proc. uważa, że ma za dużo władzy, 47 proc., że w sam raz, a 19 proc. że za mało.

Większość ankietowanych (55 proc.) jest zdania, że obecnie Polska najbardziej potrzebuje rządu złożonego z koalicji wszystkich sił reprezentowanych w Sejmie. Niespełna 10 proc. opowiada się za rządem złożonym wyłącznie z „Solidarności", 3 proc. z „Solidarności" i PZPR, a 16 proc z „Solidarności", ZSL i SD. Największym poparciem cieszy się więc szeroka koalicja rządowa.

Na pytanie — czy premier Tadeusz Mazowiecki słusznie postąpił przeznaczając cztery miejsca w rządzie dla przedstawicieli PZPR? — twierdząco odpowiedziało 44 proc. Polaków. A dalsze 6 proc. uważa, że słusznie, ale to za mało, 15 proc., że słusznie, ale to za dużo. Tylko 11 proc. respondentów uznaje decyzję premiera za błędną. Natomiast 23 proc. nie ma zdania w tej sprawie.

PARADOKSY STALINIZMU

Na temat przeszłości i teraźniejszości Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej interesująco pisze w „Polityce" (nr 40) prof. Józef Lipiec. Na wstępie podkreśla, że po wojnie nastąpił w społeczeństwie polskim zdecydowany zwrot na lewo. W latach stalinowskich pod czerwone sztandary garnęła się młodzież. Większość intelektualistów uległa zauroczeniu prostą i jasną wizją szczęścia stalinowskiego. Ogromne poparcie uzyskał w 1956 roku Władysław Gomułka, a później także Edward Gierek.

„To, co dzisiejszemu najmłodszemu pokoleniu jawi się w postaci koszmaru ciemnej nocy totalitaryzmu, a starszym o wybiórczej lub przyćmionej pamięci jako era kłamstwa i upodlenia, było w rzeczywistości nader normalnym życiem społeczeństwa, które po okresie wielkich zmian w strukturze społeczno-gospodarczej, szukało dróg wyjścia na przyszłość, swojego miejsca w świecie i sposobów na awans cywilizacyjny. Inna sprawa, że z wciąż rosnącym zniecierpliwieniem obserwując jak systemowe bariery i struktura polityczna (oraz błędy rządzących) marnotrawią energię narodową. Wspominam o tym dlatego, że wśród obecnych krytków „komuny" nie brakuje na czołowych miejscach byłych członków i aktywistów PZPR. Po drugiej stronie okrągłego stołu zasiedli w sporej części również byli partyjni. A w rządzie Tadeusza Mazowieckiego aż 5 ministrów z ramienia OKP kiedyś nosiło w kieszeni czerwone legitymacje".

Józef Lipiec wskazuje, że bardzo liczna PZPR skupiała różnych ludzi (od komunistów do oportunistów). W ramach tej partii wyróżnia cztery typy członków: 1) komunistów w sensie leninowsko-stalinowskim i kominternowskim; 2) lewicowców w szerszym znaczeniu, których najlepiej określić mianem socjalistów; 3) pragmatyków albo inaczej „państwowców"; 4) ludzi indyferentnych, dla których czerwień stanowiła tylko barwę ochronną. Już w latach sześćdziesiątych komuniści stanowili w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej zdecydowaną mniejszość. Udział ich jednak wzrastał bliżej szczytów scentralizowanej piramidy. W całej partii odłam socjalistyczno-socjaldemokratyczny był o wiele większy od komunistycznego. Ale dominujący i stale rosnący był nurt pragmatyczno-państwowy, z którego najczęściej wywodziła się tzw. nomenklatura i spora część aparatu partyjnego.

Józef Lipiec przypomina, że w partii od dawna istniał ruch reformatorski, który systematycznie i skutecznie był wytłumiany. Paradoks historii polega na tym, że PZPR poniosła klęskę wówczas, kiedy reformatorzy wygrali.

TRZY NIEBEZPIECZEŃSTWA

Nad obecnym stanem i przyszłością partii dyskutowano podczas XV Plenum Komitetu Centralnego 3 października 1989 roku. Do udziału w obradach zaproszono wielu działaczy tzw. struktur poziomych. Jedno z najciekawszych wystąpień — opublikowanych w „TRYBUNIE LUDU" (nr 232) — miał prof. Hieronim Kubiak. Zwrócił on uwagę na trzy poważne niebezpieczeństwa: populizm, nacjonalizm i chadecję.

„Z całą pewnością rzeczywistym problemem w przyszłości będzie populizm. Nam nie wolno sobie pozwolić, aby nie mówić o tym głośno. Populizm zaczyna się wtedy, gdy zaczynamy się sami straszyć, że społeczeństwo ciężaru reform nie wytrzyma, że wyjdzie na ulice i tak. I co wtedy? Jaka droga naprawy z tego przekonania wynika? Czy nie doświadczyliśmy już presji populizmu? Czy nie na tym polega m.in. główna przyczyna klęski rządu Mieczysława Rakowskiego? To co? Teraz nagle mamy o tym zapomnieć? Populizm pod każdymi sztandarami jest w tej chwili jednym z największych wrogów Rzeczypospolitej niezależnie od tego, czy ktoś doda jeszcze Ludowej, czy jakiejkolwiek innej. Populizm z zagubienia, z nieumiejętności znalezienia się w trudnej sytuacji. Tworzy rynek dla fałszywych prorobków, którzy dla poklasku gotowi są zdradzić i te właśnie interesy, które tak pięknie nazywają interesami robotniczymi. Umiejętność odpowiedzi na pytanie o to, czym są w nowej rzeczywistości te interesy robotnicze, zacznie się właśnie od przeciwstawienia się populizmowi.

Kolejnym z największych niebezpieczeństw dla współczesności staje się odradzający się nacjonalizm. I mówię to jako człowiek, dla którego Polska znaczy wszystko. Najpierw Polska, a potem cokolwiek jeszcze, także wybór ideowy. Ale nacjonalizm jako zaślepiający możliwość myślenia jest właśnie doskonałym tworzywem dla populizmu. Także jednostronność właściwa niektórym klasycznym, starym, przedwojennym tendencjom chadeckim.

Ale przecież chadecja jest u władzy w kilku państwach europejskich i radzi sobie znakomicie w warunkach demokracji parlamentarnej. To nie takiej chadecji trzeba się bać. Trzeba się bać chadecji, która jedną nogą jest osadzona w populizmie, a drugą w nacjonalizmie. A jak się temu przyjrzycie, to łatwo dojść do wniosku, że dziś droga do demokracji jest trudniejsza niż do nowej dyktatury. Most Poniatowskiego — nie tylko w sensie dosłownym — jest już wyremontowany. Jeżeli nie odpowiada nam droga do dyktatury, to trzeba bardzo wyraziście powiedzieć, jak my jako partia do tych niebezpieczeństw się odniesiemy".

Na tym samym Plenum KC PZPR ponurą prognozę rozwoju sytuacji społeczno-gospodarczej w naszym kraju przedstawił Jan Główczyk. Przewiduje on spadek produkcji w drugim półroczu o 6—13 proc. W stosunku do ubiegłego roku. Nie mniejszy spadek grozi nam również w pierwszym półroczu przyszłego roku.

Jan Główczyk uważa, że polityka ekonomiczna obecnego rządu prowadzi Polskę do katastrofy. W krótkim czasie może dojść do wybuchu. Dlatego w interesie spokoju społecznego należy zdecydowanie przeciwstawić się przyjętemu przez rząd kierunkowi. Model wolnokonkurencyjnej gospodarki rynkowej nie sprawdził się w nierozwiniętych krajach kapitalistycznych i spadł popyt na liberałów z Chicago.

„I dlatego jeden z nich, pan Jefrey Sachs przybył do Polski, aby z kolei nas reformować i zliberalizować. Sądząc po tym, co dzieje się na rynku, wszystko wskazuje na to, że jego rady przyniosły piorunujące rezultaty".

CO ROBIĆ?

Ekonomiści mają różne koncepcje uzdrowienia naszej gospodarki. Ale chyba większość specjalistów opowiada się za radykalnymi rozwiązaniami. W wywiadzie opublikowanym na łamach „TYGODNIKA POLSKIEGO" (nr 40) prof. Wiktor Boniecki mówi, że tylko chirurgiczne cięcie może nas uratować. Sami jednak nic nie zrobimy. Musi przyjść pomoc z zewnątrz. Zachód powinien nam darować przynajmniej jedną trzecią długów. Spłaciliśmy już przecież ponad 50 mld dolarów odsetek.

„Także Związek Radziecki powinien anulować nasze zadłużenie. Tym bardziej, że w naszej wzajemnej wymianie obowiązywały różne układy cen. I tak jak po przyjściu Gomułki wyrównano rachunki, tak i teraz, z rozpoczęciem rządów przez nowego premiera, powinno się postąpić tak samo".

Czynnikiem niszczącym naszą gospodarkę i nas wszystkich są strajki, które powinny być ostatecznością. W razie konfliktu — mówi Wiktor Boniecki — pracodawca i związek zawodowy muszą zwrócić się do adwokatów, aby doprowadzili do ugody lub skierowali sprawę do sądu. Czekając na rozstrzygnięcie sporu wszyscy powinni pracować. A jeśli już dojdzie do strajku, to związki zawodowe muszą utrzymywać strajkujących. W przypadku przegranej w sądzie na związki spada obowiązek zrekompensowania wszystkich strat poniesionych przez pracodawcę.

Ten sam tygodnik drukuje wypowiedź Aleksandra Bochenskiego w sprawie ewentualnej wymiany pieniędzy albo zaciągnięcia kredytów dolarowych w Stanach Zjednoczonych. Znany publicysta ekonomiczny ma następujący pogląd:

„Sama wymiana pieniędzy nic by nie dała, chyba żeby przy tej okazji dokonano dwóch odrębnych zabiegów. Po pierwsze — gdyby skonfiskowano wszelkie zapasy złotówek — poza niewielką sumą np. 10 tys. zł na osobę — posiadanych przez obywateli bądź to w domu, bądź też w PKO. Ten zabieg zlikwidowałby nawis inflacyjny, ale od nowa powstałby taki sam deficyt budżetowy jaki mamy. Po drugie, gdyby inaczej przeliczano na nowy pieniądz i na nowe płace, a inaczej ceny. Bez tego zabiegu cenowo-płacowego powstałaby nowa inflacja. Powtarzam, ten zabieg mógłby być zrobiony przy okazji wymiany, ale żadnego istotnego związku z nią by nie miał. Toteż sądzę, że sama wymiana pieniędzy nic by nie dała.

Co do miliardowych kredytów, to są to bajeczki dobre dla „Dobranocki" telewizyjnej dla dzieci, a nie dla poważnego pańskiego tygodnika. Obietnice złożone przez prezydenta Busha podczas jego wizyty w Warszawie powinny raz na zawsze pozbawić nas naiwnych iluzji liczenia na miliardy z zagranicy zamiast na własną zdyscyplinowaną, oszczędną i nowocześnie zorganizowaną pracę naszych przedsiębiorstw państwowych".

Natomiast za stworzeniem w Polsce nowej waluty opowiada się prof. Rafał Krawczyk, pracownik naukowy The Heritage Fundation w Waszyngtonie, docent w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Proponuje on dla Polski kapitalizm typu populistycznego. W tym celu należy uwłaszczyć załogi i ograniczyć rolę związków zawodowych. Stanowisko prof. Krawczyka prezentuje dwutygodnik społeczno-kulturalny „STUDENT" (nr 16) oraz tygodnik studencki „ITD" (nr 41).

E. L.

SIERADZ: — cisza przed burzą.

Spór w muzeum tylko zawieszony

Otrzymałem ulotkę następującej treści:

„Akcja protestacyjna NSZZ „Solidarność". Członkowie NSZZ „Solidarność" przy Muzeum Okręgowym protestują przeciw postawie dyrektor Marii Wisińskiej uniemożliwiającej prowadzenie rozmów w sprawie realizacji postulatów podpisanych 7.06.1989 r. przez komisję pojednawczą reprezentującą związek i dyrekcję. Wśród postulatów nie ma żadnych żądań płacowych. Dotyczą one m.in.:

1. Właściwej organizacji pracy i polityki kadrowej (np. zlikwidowanie zbędnego etatu wicedyrektora. Przyjęcie rysownika do działu archeologii).

2. Zwrócenie się o odszkodowanie za zaginioną w MO w Sieradzu zabytkową broń.

3. Zapewnienia odpowiednich warunków magazynowych dla eksponatów muzealnych.

5. Rozwiązania problemów oddziału w Tubądzinie.

5. Uporządkowania wraz z BDZ w Sieradzu bazy remontowo-budowlanej warunkującej organizację skansenu.

6. Nowego regulaminu przyznawania premii nie za obecność, a za wykonaną pracę".

Ulotka nie jest ani podpisana, ani ostemplowana. Mimo to zawiera zarzuty postawione człowiekowi wymienionemu z nazwiska i imienia.

Pojechałem przeto do Sieradza, by na miejscu przyjrzeć się sprawie. Niestety, w NSZZ „Solidarność" nie mogłem uzyskać dodatkowych informacji. Rozmawiałem z dwiema paniami z tego związku, które nie chciały udzielić mi żadnych wyjaśnień, odsyłając do panów Andrzeja Tomaszewicza i Jarosława Kallsza, którzy akurat byli nieobecni (pierwszy na posiedzeniu Senatu, drugi na urlopie).

Pomyślałem wówczas, że przecież zarzuty, jakie NSZZ „Solidarność" postawiła dyrektorce muzeum, mam spisane na ulotce, więc po co dodawać do nich komentarz. Natomiast celowe będzie, jeśli zejdę piętro niżej i zapytam dyrektor Marię Wisińską co ma na swoje usprawiedliwienie.

— Zebrałam *takich ulotek osiem* — mówi Maria Wisińska. — *Pierwsza pojawiła się w gablocie muzeum, potem rozwieszono je w mieście na słupach ogłoszeniowych. Zaczęło się wszystko 1 września tego roku. Proszę zwrócić uwagę, że ulotki nie są podpisane imiennie, natomiast mnie wymienia się z imienia i nazwiska robiąc ze mnie niemal przestępcę. Po prostu napiętnowano mnie publicznie. Ja, proszę pana, pracuję tu od 1 września 1970 roku. Początkowo byłam asystentem, później kierownikiem działu historycznego, a od 19 października 1981 — zostałam dyrektorem. Byłam wybrana wolą załogi na zebraniu „Solidarności"...*

— No tak, ale są ulotki, w których przedstawia się wobec pani poważne zarzuty. Może pomówimy o nich...

— *Proszę bardzo. Zarzut pierwszy: obecny wicedyrektor jest tu od 1985 roku i w październiku tego roku przechodzi na emeryturę. A więc etat przestanie istnieć. Co zaś do rysownika: otóż uzyskałam informację z Wydziału Kultury, że będą ograniczenia i cięcia etatów. A więc sprawa jest nieaktualna. Tym bardziej że jest w muzeum dwóch archeologów, którzy powinni jednocześnie rysować. Teraz zarzut najważniejszy: odszkodowanie za zaginioną broń. Jeszcze za roku ówczesna Komenda Powiatowa MO wzięła w depozyt 5 sztuk broni zabytkowej. Były to: rewolwer bębenkowy 6-strzałowy, z rękojeścią wykładaną kością słoniową. Inkrustacja i intarsja metalami szlachetnymi, złotem i srebrem. Datowana broń na koniec XVIII wieku. Rewolwer bębenkowy 6-strzałowy, jednolufowy, rękojeść drewniana bez inkrustacji. Początek XIX wieku. Rewolwer 6-strzałowy, lufa o przekroju wielobocznym. Kolba drewniana zdobiona ukośnymi nacięciami. Początek XIX wieku. Karabin krótki, rosyjski z pierwszej wojny światowej Steyer M.95. Produkcja z roku 1895. Wreszcie fuzja myśliwska dwulufowa, kaliber 16. Z końca XVIII wieku. A więc zabrano i dano pokwitowanie. Oto ono. „Kwituję odbiór 5 sztuk jednostek broni muzealnej, oddanej w dniu 19.6.67 r. na przechowanie do tut. Komendy MO. Broń stanowi własność muzeum w Sieradzu. Kierownik, Ref. Ogólnego (podpis nieczytelny), pieczątka KP MO w Sieradzu. Dnia 19.6.1967 r.".*

Na przestrzeni późniejszych lat były tu kontrole NIK i wszyscy się zadowalali pokwitowaniem KP MO. I dopiero w 1983 roku w marcu, w związku z wystawą z okazji 120 rocznicy Powstania Styczniowego zapragnęłam wystawę uzupełnić owymi pięcioma sztukami broni. Okazało się, że jej w Komendzie Wojewódzkiej MO w Sieradzu nie ma i nikt nie wie, gdzie jest. W międzyczasie nadeszło pismo z Prokuratury Rejonowej w Sieradzu informujące o odmowie wszczęcia postępowania przygotowawczego. Ale ja nie dałam za wygraną i napisałam do Prokuratury Wojewódzkiej. Niestety, przychodzi pismo, że śledztwo umorzono. Zawiadomiłam o całej sprawie Ministerstwo Kultury i Sztuki Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków. Ministerstwo interweniuje w Komendzie Głównej MO. Ale też bez rezultatu. Broń zapadła się pod ziemię.

Teraz członkowie „Solidarności" przy naszym muzeum mają pretensje, że nie wzięłam odszkodowania, które mi proponowano w 1985 rok w wysokości 234 tys. zł. Przecież to była śmieszna suma. Na dobrą sprawę cena owych pięciu sztuk broni jest niewspółmiernie większa. Dlatego nie chciałam się na nią zgodzić.

Teraz co do warunków pracy. Są one trudne. Trwa remont dwóch kamienic muzeum w Rynku, a więc zaszła konieczność by zgromadzić eksponaty w magazynach. Ale po remoncie nastąpi rozładowanie.

Tubądzin — to nasz oddział. Jest tam pałac i oficyna, w której są miejsca do pracy i mieszczą się magazyny. Wiosną tego roku z ofertą do Wydziału Kultury i Sztuki zgłosiła się firma produkująca kafelki chcąc wydzierżawić budynki oddziału. Firma ta mieści się tuż obok oddziału. Pani dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki wyraziła sprzeciw. A to nie podobało się członkom „Solidarności" naszego muzeum. Chcą wpuścić kafelkarzy, bo to przecież przyniesie nam pieniądze.

Teraz co do Biura Dokumentacji Zabytków. Stoi tam wiata jeszcze z lat 70-tych. Od roku 1984 sprawą skansenu miało zajmować się BDZ. Niestety, od tego czasu sprawa skansenu niewiele się posunęła. Przejęto więc to muzeum, ale trzeba tam włożyć wiele pracy i, by wszystko uporządkować, potrzeba czasu.

Co do przyznawania nagród: W regulaminie przyznawania premii pracownikom muzeów jest punkt określający, że należy przepracować 20 dni w miesiącu, żeby otrzymać premię. „Solidarność" przygotowała nowy regulamin, gdzie tego punktu nie ma. Ponadto w starym regulaminie jest 20 procent premii, a w tym „Solidarności" — 10 proc. Uważam więc, że stary regulamin jest korzystniejszy dla pracowników.

Tyle pani dyrektor muzeum w Sieradzu — Maria Wisińska.

W chwili obecnej akcja protestacyjna jest zawieszona, ale nie odwołana. Odbyła się wspólna narada z Wydziałem Kultury, NSZZ „Solidarność" i panią dyrektor (było to w środę 6 września). O decyzji został poinformowany wojewoda.

A więc sytuacja nadal niejasna, gdyż zawieszenie oznacza tyle, co cisza przed burzą.

EUGENIUSZ IWANICKI

ze str. 1

sklepów, łodzianie mimo to — przywykli do tego przez lata — czekają, aż problem ten załatwi za nich Warszawa;

— spadło tempo budownictwa mieszkaniowego, na mieszkanie czeka się dłużej niż 10 lat, nie ma pieniędzy na remonty w śródmieściu, następuje degradacja secesyjnego budownictwa;

— skończyły się już rezerwy ciepła i wody, a na budowę wodociągu z Pilicy i nowej elekrociepłowni nie ma pieniędzy, choć KERM jeszcze za czasów Mieczysława F. Rakowskiego pieniądze obiecał, ale czy Tadeusz Mazowiecki podtrzyma te zobowiązania;

— rzeki Łodzi zamienione są w ścieki, a Grupowa Oczyszczalnia Ścieków buduje się latami; KERM też obiecał pieniądze na dokończenie budowy;

1. skład RNMŁ wybranej w innym czasie i w innych warunkach politycznych mającej działać, która obecnie przeżywa również coraz wyraźniej ujawniający się kryzys;

2. konieczność dokonania w niedługim czasie wyborów do rad narodowych, co czyni jego urząd formalnie przynajmniej krótkotrwałym, jako że wcale nie wiadomo, czy nowa rada podtrzyma jego kandydaturę do urzędu.

Ale najistotniejszą trudnością będzie — bo i był do tej pory — stan organizacyjny województwa, w którym — jak kolec w ropiejącej ranie — tkwi miasto z jego tysiącami problemów. Otóż ta struktura organizacyjna, wynikająca z podziału administracyjnego dokonanego w 1975 roku, stanowi najtrwalszą przeszkodę we wszelkich poczynaniach.

— przez Łowicz lub Rawę Mazowiecką w kierunku aglomeracji warszawskiej,

— przez Pabianice, Łask, Zduńską Wolę, Sieradz w kierunku aglomeracji wrocławskiej albo z objazdem przez Kalisz w kierunku aglomeracji poznańskiej,

— przez Piotrków Trybunalski w kierunku aglomeracji śląskiej.

Dlatego w 1974 roku lansowano zupełnie inną koncepcję łódzkiej aglomeracji miejskiej. Obejmowałaby ona na północy Ozorków i Głowno, na wschodzie Koluszki i Brzeziny i na południowym wschodzie sięgałaby aż w pobliże Tomaszowa Mazowieckiego, na południu obejmowałaby Tuszyn i obszary poza Tuszynem, na zachodzie sięgałaby daleko poza Konstantynów i Aleksandrów Łódzki, obejmowałaby Łask i Zduńską Wolę. Tak wytyczone granice

dzieć nic, bo spali się zagrzebując się w szczegółach. A jeśli tego nie zrobi, to straci społeczne poparcie. Ludzie bowiem nauczyli się, że jego sprawę może załatwić tylko... prezydent. Przy takiej praktyce prezydentowi zabraknie czasu być wojewodą. Wojewoda bowiem jest od strategii, a od spraw bieżących w mieście musi być prezydent. A prezydentowi Łodzi przyjdzie być tylko prezydentem, a na strategię czasu już zabraknie. I tak — jak głosi przysłowie — diabeł jest schowany w szczegółach.

Nie zamierzam proponować likwidacji dzielnic, ale proponuję je przebudować. Proponuję stworzenie nowych dzielnic administracyjnych, ale tylko dla obsługi interesantów. Potrzebne są filie Urzędu Miasta na Bałutach, ale i na Teofilowie, na Widzewie, ale i na Olechowie, na Polesiu, ale i na Retkini. Podkreślam — to mają być filie wyłącznie obsługujące petentów, załatwiające bieżące sprawy administracyjne. Proponuję dalej: likwidację dzielnicowych rad narodowych i przy okazji nowych wyborów powołanie (w drodze wyborów oczywiście) jednej miejskiej rady narodowej, a obok niej wojewódzkiej rady narodowej. Zamiast 600 radnych w Łodzi byłoby ich 200 w radzie miejskiej i 250 w radzie wojewódzkiej. Trzeba byłoby też powołać urząd wojewody i samego wojewodę.

Skąd taka propozycja?

Ano chociażby stąd, że w mieście byłby jeden fundusz na remonty, jedna polityka mieszkaniowa, jedno kierownictwo inwestycji i tak dalej. Oczywiście w konsekwencji takich zmian musiałoby nastąpić uaktywnienie samorządu terenowego — samorządu mieszkańców przede wszystkim. Osiągane w Łodzi fundusze musiałyby też w znacznie większym niż do tej pory stopniu pozostawać w mieście, a ich wydawanie musi być poddane społecznej kontroli.

Warto pamiętać, że Łódź miała ładne i pożyteczne tradycje samorządowe przed wojną i zaraz po wojnie, które zostały odrzucone. Należałoby zatem je przypomnieć i starać się powrócić do nich. Miasto dysponuje dużym potencjałem intelektualnym. Przy odbudowie naturalnych powiązań miasta z jego zapleczem trzeba umieć ten potencjał wykorzystać.

A miała to być ziemia obiecana

Łódź jest miejscem, które może stać się terenem obfitującym w różne pożyteczne inicjatywy, ale trzeba dla tego stworzyć odpowiednie warunki. Same dobre chęci nie wystarczą. Być może przeceniam formy organizacyjne, ale może to jest skutek tego, że do tej pory formy te były niedoceniane, pomijane i lekceważone. I choć w statystyce notowano tu i ówdzie pewien postęp, to degradacja miasta postępowała szybko i trwale. Łódź przestała się liczyć na kulturalnej mapie Polski. Od dawna mówiono o Łodzi, jako o drugim mieście Polski pod względem wielkości, liczby mieszkańców, przeciw czemu nie jeden raz protestowałem. Łódź ze względu na swój potencjał przemysłowy, znaczenie w gospodarce Polski, przez kontakty międzynarodowe, potencjał kulturalny i intelektualny, dorobek historyczny i tak dalej zasługuje na to, aby być drugim miastem w Polsce bez żadnych przymiotników. Po prostu.

A jak jest?

A jak jest — każdy widzi. Wystarczy wyjść na ulicę. Łódź jest miastem, które dworzec ma w Koluszkach, a lotnisko w Warszawie. Gdy swego czasu planowano budowę wielkiego domu towarowego pewien pan doszedł do wniosku, że miastu coś takiego nie jest potrzebne i przy al. Adama Mickiewicza zieje chwastami pusty plac. A w ogóle chwastów na ulicach i placykach Łodzi pełno. To też o czymś świadczy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

A miała to być ziemia obiecana

— kierownictwo MPK zapewniało, że dokona niezbędnych zmian, aby komunikacja w Łodzi działała sprawniej, ale poprzestano na obietnicach, a co więcej MPK przegrało proces o zatruwanie atmosfery w Łodzi;

— w Łodzi jest fabryka mebli, ale w sklepach nie ma mebli;

— miasto jest brudne, rozkopane, zaśmiecone, śmierdzące;

— w biały dzień w samym środku Łodzi ginie 11-letnia Ania J. i do dziś (03.10.1989) nie wiadomo, gdzie się podziała i co się z nią dzieje lub działo;

— u zbiegu Rzgowskiej i Jarosława Dąbrowskiego pijany kierowca zabija 4-letnią Anię F. i rani inne dzieci;

— na Retkini i w Zgierzu wyrostki zabawiają się obrzucaniem pociągów kamieniami, psuciem sygnalizacji na liniach PKP;

— w stawie u zbiegu ulicy Przędzalnianej i 8 Marca znaleziono 67-letnią kobietę, do zwłok której nikt się nie chce przyznać;

— odwołano XVI Ogólnopolski Festiwal Poezji, bo nie ma na taki cel pieniędzy, ale jednocześnie przygotowuje się budowę pomnika Marii Rodziewiczówny (przebywała ponad rok w obozie przejściowym przy ul. Łąkowej podczas okupacji) oraz organizuje się Dni Iwanowa — imprezę niewątpliwie pożyteczną, ale w okresie ostrego kryzysu miasta nie najważniejszą.

Gdzie szukać przyczyn degradacji miasta?

Jedni powiadają, że przyczyna leży w złych rządach, bo do tej pory Łodzią rządzili ludzie nieudolni, bez fantazji i wyobraźni, niekompetentni. Inni skłonni są przyczynę takiego stanu rzeczy widzieć w tak długim „kryzysie prezydenckim" Inni jeszcze winę widzą w ogólnym kryzysie, jaki przeżywa Polska. Są ludzie, którzy przyczynę degradacji Łodzi widzą w jej zbyt bliskim położeniu wobec stolicy. Inni jeszcze winą obarczają dzieje miasta, jego żywiołowy i bezplanowy rozwój w okresie wczesnego kapitalizmu. A są i tacy, którzy skłonni byliby winę tę upatrywać w niezwykłej ugodowości łodzian.

Nie zamierzam rozsądzać tego sporu. W każdym z poglądów jest trochę racji, ale myślę, że sedno sprawy tkwi zupełnie gdzie indziej. W ciągu najbliższych 10 dni „kryzys prezydencki" zostanie zakończony i Łódź będzie miała prezydenta. Celowo pomijam to, kim będzie prezydent, jaka siła polityczna będzie firmowała jego poczynania i wspierała je. Prezydent bowiem — najbardziej nawet kompetentny — stanie przed taką ilością barier i trudności, że najpiękniejsze deklaracje okażą się niemożliwe do zrealizowania. Zresztą prezydent ten rozpocznie swoje urzędowanie ze świadomością... tymczasowości. Na taką świadomość złożą się dwa fakty:

Przyznaję, że w 1974 roku — czasie przygotowań do zmiany podziału administracyjnego — byłem entuzjastą rozbicia starych województw. Rozumiałem wówczas, że jest to dążenie do rozbicia 17 grup partykularnego nacisku. Przypomnijmy może sobie, że każde województwo miało kogoś „swego" w centralnych władzach, przez kogo załatwiało sobie różne inwestycje i rozwiązywało lokalne problemy. Łódź — mimo że miała sporo takich „patronów" — wcale dobrze na tym nie wychodziła. Przypomnę tylko, że podczas lutowych strajków w Łodzi okazało się, jak bardzo zacofany jest łódzki przemysł lekki, jak bardzo zdegradowane jest miasto, jak ogromne są jego potrzeby inwestycyjne. Wtedy to właśnie powstał program przebudowy i modernizacji Łodzi, któremu w Biurze Politycznym KC PZPR z urzędu patronował Jan Szydlak. Wówczas rozpoczęto przenoszenie wielu fabryk ze śródmieścia na peryferie Łodzi, do tworzonych dzielnic przemysłowych. Zmodernizowano wiele fabryk, wybudowano nowe, ale dziś — to już historia. Łódzki przemysł lekki znów znalazł się w sytuacji podobnej do poprzedniej, brakuje mu surowców, brakuje nowych maszyn, brakuje... przyszłości.

Moje nadzieje rychło się rozwiały. Nowy podział administracyjny miał swoje zalety, ale — okazało się — że miał też braki. W przypadku Łodzi szczególnie ostro się ujawniające już u zarania powstania Województwa Łódzkiego Miejskiego.

Gdzie tkwił błąd?

W 1977 roku opublikowałem książkę pt „Łódź 2000", która dziś stanowi dokument pięknych planów i nadziei. Ale i obaw. W książce tej pisałem w 1977 roku:

„Nowy podział administracyjny kraju stworzył dogodniejsze warunki do rozwoju Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej. Jednakże, zdaniem niektórych specjalistów, granice Województwa Łódzkiego Miejskiego przecięły funkcjonujące naturalne związki, co nie wpłynie korzystnie na jej dalszy rozwój. W niektórych rejonach sąsiadujących z Województwem Łódzkim Miejskim, a związanych z Łodzią więzami produkcyjnymi, społecznymi i kulturalnymi, pojawiły się tendencje dośrodkowe w stosunku do Łodzi. Społeczeństwa tych rejonów, jak na przykład gminy Lutomiersk i Koluszki, wystąpiły z wnioskami o dokonanie zmian w podziale administracyjnym. Nie ulega wątpliwości, że życie zmusi do dokonania odpowiednich korekt".

Minęło 12 lat od ukazania się książki „Łódź 2000" i choć życie do tego zmusza, zmian nie dokonano. A zmiany takie są niezbędne. Łódzka aglomeracja leży bowiem na skrzyżowaniu ważnych szlaków komunikacyjnych biegnących w kierunku innych aglomeracji:

— przez Ozorków i Kutno w kierunku aglomeracji bydgoskiej i dalej gdańskiej,

łódzkiej aglomeracji miejskiej uwzględniały naturalne kierunki jej rozwoju. Dziś byłoby konieczne dodać do tego rejony Kutna i Łęczycy, jako naturalne zaplecze żywnościowe Łodzi. Ale w przygotowaniach do podziału administracyjnego dokonywanego w 1974 roku i na początku 1975 roku nie wzięto pod uwagę tej koncepcji, choć była gotowa i zabrano Łodzi nie tylko Kutno i Łęczycę, ale również Tuszyn i Lutomiersk. Dlaczego tak uczyniono? Nie wiem. Ale wiem, że uczyniono źle.

Odcięto miastu jego naturalne korzenie. Łódź przemysłowa mogła się rozwijać szybko tylko dlatego, że emigrowali do niej chłopi ze wsi w Piotrkowskiem, Łęczyckiem, Łowickiem, Sieradzkiem. To były naturalne tereny doboru ludzi dla łódzkiego przemysłu. To było naturalne rolnicze zaplecze wielkiego miasta. Odcinając to zaplecze, miastu podcięto korzenie. Nie wyciągnięto nawet wniosku z faktu, że w przeszłości pobudowano linie tramwajowe do Tuszyna i Lutomierska, a więc były takie potrzeby. Linie te dziś już nie istnieją.

Dla ratowania Łodzi trzeba wrócić do koncepcji aglomeracji miejskiej z 1974 roku! Trzeba również odrzucić koncepcję wielkiego organizmu miejskiego, który jest jednocześnie województwem. Jest to bowiem twór sztuczny i szkodliwy.

W Łodzi trzeba powołać miejską radę narodową!

Dotychczasowy podział na dzielnice jest już do niczego nieprzydatny. Po pierwsze — powstały ogromne osiedla mieszkaniowe: Teofilów, Retkinia, Radogoszcz, Widzew Wschód, Olechów, Chojny Zatorze, które rozsadzają dotychczasową strukturę podziału dzielnicowego miasta. Taki podział ukształtował się w innych warunkach, przy innej wielkości miasta. Poza tym samodzielność dzielnic w warunkach dużego miasta jest nie tylko fikcją, jest szkodliwa. Miasto powinno być zarządzane całościowo. I dlatego miastu potrzebna jest miejska rada narodowa i prezydent ze swym urzędem jako władza wykonawcza. Jednocześnie potrzeba powołania wojewody i urzędu wojewódzkiego dla zarządzania województwem jako całością. Bez dokonania takich zmian organizacyjnych każdy — nawet najbardziej kompetentny prezydent Łodzi — zagubi się w szczegółach.

Oczywiście można zarzucić wszystkim poprzednim prezydentom i przewodniczącym Prezydium RNMŁ, że byli mało kompetentni i nie potrafili niczego osiągnąć. Jest to przesada, ale załóżmy że tak było. I załóżmy, że teraz przychodzi człowiek bardzo kompetentny, pełen zapału, mający społeczne poparcie. I co się musi stać? Ano musi się stać to, że ten człowiek będzie jednocześnie politykiem, zarządcą, urzędnikiem, specjalistą i będzie zajmował się załatwianiem interwencji w najdrobniejszych sprawach. Już tylko przez to osiągnie mało, żeby nie powie-

NSZZ „Solidarność" na dwa miesiące przed wyborami.

Rezygnacja

Ryszard Kostrzewa, dotychczasowy przewodniczący Regionalnej Komisji Organizacyjnej NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej, złożył rezygnację. Uczynił to w sposób dramatyczny, odczytując — na posiedzeniu RKO w czwartek, 5 października 1989 r. — oświadczenie, po którym na sali, wypełnionej 237 delegatami z komisji zakładowych regionu, zapadła przez moment głucha cisza.

Większość była całkowicie zaskoczona; posypały się więc po chwili żądania wyjaśnień, prośby o wycofanie decyzji, nalegania na przewodniczącego, aby wziął pod uwagę interes związku, który nie może tak nagle pozostać bez szefa. Gdy okazało się, że przewodniczący jest nieugięty (— *...obrażacie mnie* — powiedział R. Kostrzewa — *nalegając, abym przemyślał sprawę. Czy myślicie, że tego nie zrobiłem?*) rozległy się głosy, żeby nie publikować chociaż jego oświadczenia.

— *Powiedz mi, Rysiek, czy ja mogę takie oświadczenie zawiesić u siebie na zakładzie, w związkowej gablocie? Czy mogę je pokazać swoim ludziom?* — wykrzyczał jeden z delegatów, prowokując do tego samego następnych.

Oświadczenie, które tak zbulwersowało działaczy „Solidarności", zaczyna się od słów: *„To, co od dłuższego czasu dzieje się u nas w związku, czego najlepszym przykładem są posiedzenia RKO, jest przerażające i z „Solidarnością" nie ma nic wspólnego"*, zaś kończy się podziękowaniem za współpracę i zapowiedzią wykorzystania urlopu.

W środku zawarty jest tekst, o którym można powiedzieć wszystko, oprócz tego, że jest dyplomatyczny, i owija uczucia przewodniczącego w bawełnę. Przymiotniki *„żenujące"* i *„obrzydliwe"*, słowa takie jak *„głupota"*, *„pomówienie"*, *„plotka"* i wreszcie *„metody SB"* skierowane są pod adresem kilku czołowych działaczy związkowych regionu. Pięciu spośród wymienionych w oświadczeniu zasiadało do niedawna w prezydium RKO. Do niedawna — bowiem na posiedzeniu RKO 3 sierpnia 1989 r. zgłosili oni wobec przewodniczącego Ryszarda Kostrzewy wotum nieufności, które zostało przez salę odrzucone (28 głosów poparło wnioskodawców, 126 było przeciw), po czym — naturalną koleją rzeczy — musieli podać się do dymisji.

Jak podała wówczas „Gazeta Wyborcza", sześciu członków 11-osobowego prezydium RKO zarzuciło szefowi regionu *„despotyczny sposób kierowania związkiem, blokowanie inicjatyw prezydium i niewłaściwą politykę finansową"*.

Po tym, gdy doszło w regionie do podziału ruchu związkowego na dwa wrogie sobie odłamy (do RKO należą 494 organizacje zakładowe, do kierowanego przez Andrzeja Słowika Zarządu Regionu — około osiemdziesięciu, a są też komisje, nigdzie nie afiliowane) był to drugi tak poważny wstrząs w łódzkiej „Solidarności", grożący kolejnym rozłamem i dalszym rozdrobnieniem sił. Kryzys zażegnano, przewodniczący Ryszard Kostrzewa potrafił uwolnić się od zarzutów, ale pretensje i wzajemne kwasy pozostały, zaś osoby, które w przeszłości zgodnie konspirowały, w legalnym związku nie mogły się zupełnie dogadać. Gdy jedni kładli akcent na demokrację wewnątrzwiązkową, drudzy — na skuteczność działania. Jedni żądali „podkładek" i dokumentów, szczegółowo rejestrujących przychody i wydatki, drudzy nie spieszyli się z ujawnianiem finansów, dziwiąc się, że żąda się od nich dokładnych rozliczeń za okres, w którym każdy zbędny papierek mógł zaprowadzić za kratki. Wzajemne zaufanie, cementujące „konspirę", rozsypało się w proch.

W tym stanie rzeczy, posiedzenia RKO przeciągały się ponad miarę, gdyż bezustannie skakano sobie do oczu. Jak wszyscy zgodnie przyznali, dopiero ostatnie posiedzenie toczyło się w miarę sprawnie, i gdyby nie rezygnacja szefa, można by je uznać za normalne. Przewodniczący przyszedł jednak na to spotkanie z podjętą już decyzją. Mówi, że i tak miał wyjątkową wprost cierpliwość do bredni. Długo to wytrzymywał, choć słano na niego skargi do Gdańska i powiększała się „jego" teczka z anonimami w „Gazecie Wyborczej".

— *Spotykałem się* — mówi — *z ludzką życzliwością, ale i w większości z ludzką podłością.*

Oburzył się, gdy zarzucono mu teraz *„uciekanie z tonącego okrętu"*.

— *Ten okręt nie tonie* — powtarza dobitnie — *a ja z niego nie uciekam. Pozostaję w prezydium, i zaręczam wam, gdy tylko okażę się potrzebny w jakimś zakładzie, zjawię się!*

Kto wie, czy już wkrótce nie okaże się to potrzebne. Galopada cen sprawia, że w wielu zakładach regionu grożą wybuchem strajku, i to wyłącznie z powodu cen. Zapada się również w biedę cała sfera budżetowa, ze służbą zdrowia na czele. Gdyby nie rząd Tadeusza Mazowieckiego, prawdopodobnie mielibyśmy już w Łodzi centrum strajkowego cyklonu. Ten cud, że jeszcze się nie zaczęło, to w dużej mierze zasługa „Solidarności", która — ustami swych czołowych działaczy — stara się mitygować nastroje. Tłumaczy się ludziom, co to jest gospodarka rynkowa, czemu nie można zamrozić cen, dlaczego nic nie da reglamentacja i rozdzielnictwo. Ludzie starają się to zrozumieć. Na razie.

Co się stanie, gdy cyklon nadciągnie, a okręt „Solidarności" nie tonie obecnie, to prawda, ale przecież widać w kadłubie szczeliny, przez które wdziera się woda! Czy taki okręt sprosta nawałnicy?

To i podobne pytania zadają sobie związkowcy, dokonując bilansu legalnego okresu działalności. Nie jest to bilans wyłącznie dodatni. Działalność związkowa w wielu zakładach kuleje. Przykładowo w „Marchlewskim", który przed stanem wojennym był jednym z bastionów „Solidarności" w regionie, do związku należy tylko niecałe 20 procent załogi! Na prawie 500 zakładów, zrzeszonych w RKO, jedynie 43 przedsiębiorstwa wpłaciły składki. W ciągu 3 miesięcy do kasy związku wpłynęły więc zaledwie 2 mln zł, a efekt jest taki, że czasowo wstrzymano pensje dla kierownictwa RKO. Nie najlepiej jest także z przygotowaniami do wyborów w regionie. 30 września upłynął termin przeprowadzenia wyboru delegatów na walne zgromadzenia w zakładach i instytucjach. Do centrali dotarło kilkadziesiąt protokołów wyborczych. Kiedy nadejdzie reszta — nie wiadomo.

Kłótnie na posiedzeniach RKO nie odbywają się bynajmniej przy wypełnionej do ostatka sali, przeciwnie — brak kworum jest regułą! Doszło do tego, że na większości posiedzeń nie można podjąć uchwały! Delegaci nader często wychodzą przed czasem z sali, a po kilkunastu posiedzeniach RKO są wśród nich i tacy, którzy — zniechęceni — nie kryją się z opinią, że *„Polacy nie dorośli do demokracji"*.

Do wyborów władz regionu pozostały co najwyżej 2 miesiące. Po wielu wysiłkach, podzielonym w Łodzi związkowcom udało się stworzyć wspólną dla RKO i ZR komisję wyborczą, przygotowującą walne zgromadzenie delegatów. Nie odbyło się jednak dotychczas ani jedno wspólne posiedzenie tej komisji, która pracuje w oddzielnych grupach. W budynku przy ul. M. Buczka weryfikuje się protokoły z zakładów podległych RKO, przy ul. Zachodniej — protokoły komisji, afiliowanych przy ZR. Trudno więc nadal przewidzieć, czy będzie na wiosnę w Łodzi jedna „Solidarność"...

Czy decyzję Ryszarda Kostrzewy zrozumieć należy jako gest, który zapobiec ma powstaniu w Łodzi już nie dwóch, ale trzech „Solidarności"? Czy potraktować ją jako desperacką próbę umocnienia „prowałęsowskiego" odłamu związku, dokonaną wobec tych wszystkich, dla których przewodniczący Ryszard Kostrzewa — jak on sam mówi — *„stał kością w gardle"*?. A jeśli mamy do czynienia z manewrem, mającym w przyszłych wyborach ułatwić mu start do nowej funkcji? A może jest to po prostu wyegzekwowanie zwykłego ludzkiego prawa do odpoczynku, po okresie wytężonej, a przy tym niewdzięcznej pracy?

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

ze str. 1

drugim programie TV francuskiej — Antenne 2, a w tej chwili ma prywatną firmę.

— Jednak Wojciech Pszoniak, który od 10 lat mieszka w Paryżu, jest tu aktorem.

— Ale Wojciech Pszoniak jest geniuszem, jednym z największych aktorów europejskich naszego stulecia. Nie rozmawiamy o geniuszach. Pszoniak nawet nie musi mówić po francusku. On do dziś gra źle mówiąc po francusku. Jego wyraz aktorski stawia go ponad językiem.

— Od Powstania Kościuszkowskiego, nie mówiąc już o okresie po Powstaniu Listopadowym i Wielkiej Emigracji, Paryż był przystanią dla uchodźców z Polski, którzy wnosili wkład w kulturę polską i francuską. Czy to samo można powiedzieć o emigracji polskiej po 1980 roku?

— Odpowiem na to cytatem. Największy historyk polskiej emigracji po Powstaniu Listopadowym, Lubomir Gadon, napisał:

„Fala emigracyjna wyniosła z kraju wybór ludzi światłych, wykształconych, uczonych i utalentowanych, ale ich grono było wyjątkowe i drobne w stosunku do całości emigracji. Wielką jej masę stanowili uczniowie szkół niższych lub średnich, zwykle niedokończonych. Podchorążowie, podporucznicy i porucznicy; ludzie młodzi i bardzo młodzi. Bez oświaty i wykształcenia. Dość powiedzieć, że niewielu między nimi było takich, co potrafili napisać krótki list jaką taką polszczyzną. Ich poziom umysłowy był więc bardzo skromny. Pogląd na świat i życie bardzo ograniczony, serca gorące, niedorozwinięte."

Otóż to jest dokładnie właśnie tak z każdą falą emigracji polskiej. Nie mówiąc o emigracji chłopskiej, zarobkowej — bo to jest oczywiste, ale o emigracji tak zwanej „Solidarnościowej", która jest dokładnie taka sama. To jest przede wszystkim masa dzieciaków, niedorobionych studentów, ludzi, którzy po ośmiu latach pobytu na Zachodzie żyją jeszcze jakimiś swoimi „wyczynkami" w ramach działalności uniwersyteckiej czy „Solidarnościowej", robotników reklamujących się udziałem w „Solidarności", a pośród nich jest grupa ludzi wykształconych i światłych, która jednak stanowi znikomy procent. Więc o czym tu mówimy? Jeżeli o emigracji polskiej w całości, to statystycznie rzecz biorąc trzeba mieć na myśli robotnika polskiego pracującego na „czarno". Jeżeli o elicie emigracji polskiej, a tylko to jest porównywalne, to wtedy mówimy o czymś zupełnie innym. Nie ma żadnego związku między owymi „głowami niedorozwiniętymi i gorącymi sercami masy niedokształconych emigrantów", a tymi symbolicznymi nazwiskami — Juliuszem Słowackim, Adamem Mickiewiczem, Zygmuntem Krasińskim czy Cyprianem Kamilem Norwidem. Jeśli sięgniemy do naszej historii, to okaże się, że oficerowie polscy siedzący w Besancon bardzo rzadko reklamowali się Adamem Mickiewiczem. Oni w większości go nie znali, podobnie było po wojnie, po 1945 roku i tak samo jest obecnie.

— Jaka jest zatem świadomość najnowszych emigrantów?

— Dwóch moich studentów prowadzi badania etnologiczne na ten temat. Okazuje się, że w ogromnej większości ci ludzie zamykają się w postawie „gettowej" — własnego środowiska. Są rozgoryczeni i niechętni w stosunku do kraju, w którym przyszło im żyć. Dla przykładu młodzi, byli działacze NZS są obolali i widzą w środowisku, które ich przyjęło same wady. Takie typowe stwierdzenie to: „Oni niczego nie rozumieją". Podtrzymywane są polskie mity wywiezione z kraju, nawet najbardziej absurdalne, takie jak chociażby ten, że „Francuzi są brudni", czy „Francuzi są rozpustni", czego dalibóg w porównaniu z Polską nie da się jakościowo udowodnić. Są tragiczni, bo ich „być albo nie być" we Francji zależało od tego, jak zła jest sytuacja w Polsce. Jest źle, to i oni mają tutaj rację bytu. Nie mówię o tych, którzy wyjechali ze względów ekonomicznych, lecz politycznych. Gdy w Polsce zaczyna się dziać lepiej, stają oni wobec tragicznego dylematu; albo starają się nie dostrzegać zmian na lepsze albo dorabiają sobie teorię jasnowidzów, którzy z góry wiedzą, jak to się wszystko w końcu rozsypie. Rzecz charakterystyczna. W tegorocznych Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie wzięły udział prawie wszystkie polskie wydawnictwa emigracyjne założone w latach 1945—1947; „Kultura", „Libella"; etc., a na przykład wydawnictwo „Spotkania" — założone przez świeżą emigrację, która szuka racji bytu w twierdzeniu, że w Polsce jest taka straszna sytuacja — oni nie wzięli udziału. Być może, że zmiany w Polsce są niepewne, ale przecież jest to postawa oczekiwania, że coś się załamie.

— A jaki jest stosunek Polaków do Polaków także i tych, którzy się zasymilowali?

— Być może jest to wyniesione z Polski, ale jeszcze bardziej tutaj widoczne, że masa emigracyjna z szaloną niechęcią odnosi się do Polaków, którym się „udało", którzy integrują się ze środowiskiem francuskim. Postawa „niechętnych" nie wynika ze świadomej obrony swoich wartości kulturalnych, lecz z nieumiejętności przekroczenia pewnych barier, niskiego stopnia tolerancji, nieumiejętności innego spojrzenia.

— Pańska opinia bardzo się kłóci z lansowaną w Kraju tezą, że na Zachód wyjeżdża najbardziej wartościowa młodzież, która potrafi sobie doskonale dać radę. Przedsiębiorcza. Twórcza. Do podobnych wniosków doszli autorzy ankiety przeprowadzonej przez „Kulturę" paryską.

— Nie. To się nie kłóci. To jest sprawa statystyki. Porównując kolejne fale — ta najnowsza odniosła największe sukcesy ze wszystkich polskich emigracji. To spośród niej pochodzą lekarze, którzy stworzyli „polską mafię" na Lazurowym Wybrzeżu. Ci, którzy przyjechali z kompetencjami, bądź za cenę wielkich wyrzeczeń, a kompetencje nabyli tutaj — ci odnieśli sukces. Ci którzy siedzieli i boleli, a takich była większość — ci przegrali. Ci, którzy liczyli na to, że system tutaj będzie taką samą „dającą mateczką", jak system w Polsce — popadli w negację.

— Kazimierz Brandys powiedział, że dla pisarza nieważne jest to, gdzie jest.

— Kazimierz Brandys kłamie jak oddycha. Oczywiście, że jest ważne. Pan Kazimierz Brandys mieszka w Paryżu, otoczony francuskim żywiołem i nie ma możliwości zrobienia najprostszej rzeczy — wzbogacenia swojego języka tak, jak ja go wzbogaciłem siedząc w warszawskiej restauracji „Kameralna" i słysząc te wszystkie nowe historyjki, dziwolągi, „powiedzonka". Kazimierz Brandys siłą rzeczy mówi już językiem zasklepiałym. Może i piękniejszym, czystszym, nawet przez kogoś uznawanym za lepszy od tego, jakim się mówi w Polsce, ale to jest inny język, który już trochę trąci myszką. Czasami snobistycznie używa tego, co zasłyszał od gości z Polski. On nie ma kontaktu z odbiorcą poza tym samym gronem ludzi, których zawsze spotyka na zebraniach emigracyjnych. Dla pisarza emigracja jest tragedią. Podam przykład bardzo śmieszny, ale dotyczący sedna sprawy. Adam Mickiewicz tłukł się po jakichś idiotycznych zebraniach emiracyjnych, żeby tylko móc deklamować wiersze. Tak ogromną miał potrzebę kontaktu ze społecznością, która rozumie pojęcie „gryki" czy „świerzopa".

— Istnieje taka opinia, że gdyby Witold Gombrowicz nie wyjechał z Polski, nie nabrał dystansu do wszystkiego co polskie, nie byłby tak wybitnym pisarzem.

— Nie sądzę. Po pierwsze — już to, co pisał w Polsce wskazywało na jego dalszą drogę. Po drugie — znów mówimy o wybitnych wyjątkach. To takie scholarskie mówienie — „No właśnie, a ten to to" i tak dalej. Oczywiście, że jest pewna liczba ludzi tak dalece samodzielnych intelektualnie, realizujących własną artystyczną wizję, że żadna zmiana środowiska nie zahamuje ich rozwoju.

— Stara emigracja londyńska, ta która tworzyła m.in. „Wiadomości" i Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny, narzeka, że ci, którzy przyjechali w ciągu ostatnich parunastu lat nie wnoszą niczego w rozwój kultury polskiej, że są zbyt konsumpcyjnie nastawieni do życia. O paryskiej emigracji istnieje opinia, że wnosi wkład w rozwój kultury nie tylko polskiej, ale i francuskiej. Kolejny mit?

— To dziwna sprawa z tym podkreślaniem polskości i wkładem Polaków. Wkładem w co? Czy malarstwo Polaka, Tadeusza Brudzyńskiego, obecne na rynku francuskim sprzedaje się dlatego, że on jest Polakiem? Zapytany przyzna, że jest, ale tego nie podkreśla. On jest malarzem. Czy jego twórczość należy do dorobku kultury francuskiej czy polskiej? To samo z aktorstwem Andrzeja Seweryna. Mówi perfekt po francusku, gra we francuskim teatrze. Polakiem jest prywatnie. Czy jego dorobek aktorski jest dorobkiem kultury polskiej czy francuskiej? Mnie śmieszą takie instytucje jak „Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie", do którego przecież najwięksi polscy pisarze nigdy nie należeli.

— Ale o Milanie Kunderze mówi się, że wypłynął na fali pisania o swojej „wschodnioeuropejskości"? I nie o nim jednym tak się mówi.

— Miałem ten sam przykład na języku, ale żeby udowodnić coś absolutnie odwrotnego. Milan Kundera kokietuje swoją „czeskością". Przecież w „Lekkości bytu nie do zniesienia" Milan Kundera dla swoich fantazmów seksualnych używa tła wydarzeń praskich. On jest tutaj odbierny jako pisarz psychologiczny. Notabene czeska emigracja nie cierpi Milana Kundery za takie właśnie wykorzystywanie martyrologii czeskiej. Emigracja czeska uważa, że jest to „prostytucja na czeskiej genealogii", a na Zachodzie Kundera ceniony jest dzięki uniwersalnemu charakterowi swojej twórczości. Pisarze, którzy nie potrafili wyzwolić się z polskości, którzy obsesyjnie na polskość stawiali, tacy jak Józef Mackiewicz, tacy pisarze umierali w nędzy. Co nie znaczy żebym nie doceniał Józefa Mackiewicza jako wielkiego pisarza. Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że Polska jest interesująca dla przeciętnego człowieka na Zachodzie przez dwa tygodnie w roku, gdy w kraju dzieje się coś naprawdę interesującego.

— Jednak coraz więcej pisarzy anglosaskich nadaje swoim bohaterom polskie imiona. Część akcji ich powieści dzieje się w Polsce dawnej lub przedwojennej.

— Oczywiście. Tylko że tak naprawdę interesującym dla Zachodu krajem jest Związek Radziecki. Polska jest zjawiskiem marginalnym i co więcej koniunkturalnym; po stanie wojennym — tak; po zarejestrowaniu „Solidarności" — tak; teraz — też tak, ale jak to się wszystko ułoży, to o Polsce ludzie zapomną. Czy ktokolwiek we Francji naprawdę coś wie o tym, co się dzieje w Danii?

— Czy łatwo zatem jest wyzwolić się spod jarzma kultury polskiej?

— Myślę, że człowiek wychowany w kręgu kultury polskiej, która jest kulturą absorbującą i wysysającą, niesłychanie ciężko się z niej wyzwala. Nie znam Polaków, którzy w pierwszym pokoleniu wolni byliby od tego rodzaju rozterek. Jeżeli to deklarują, to kłamią. Jeżeli nie kłamią, to popadają przez te rozterki w odwrotność — nienawidzą kraju, tworzą sobie sztuczne motywacje do pozostania.

— Wydawałoby się, że dla etnologa tak mocno osadzonego w kulturze polskiej jak pan, autora książek korzeniami głęboko sięgającymi w tradycję polską nie ma innego miejsca pracy poza Polską.

— Wręcz przeciwnie. Każdy etnolog powinien przyswoić sobie tezę, że świat jest dziwny i że otaczająca nas kultura, w której się wychowaliśmy jest zbiorem konwencji, ludzkich subiektywnych wymysłów. Mając tę świadomość o wiele łatwiej przejść do innej kultury. Zresztą, mój Boże, zadaniem etnologa w terenie jest współżycie ze społeczeństwem, które chce się opisywać. Tak twierdził świętej pamięci profesor Bronisław Malinowski, gdy pisał o społeczności Wysp Triobrandzkich. A jak by na to nie spojrzeć, łatwiej żyć wśród Francuzów niż Triobriandczyków.

— Etnolog — nomad?

— Nie. Etnolog nie musi być nomadem, ale musi trochę czasu spędzić w społeczeństwie obcym — innym. Może to być na przykład dla mieszczucha w Polsce ludność wiejska, chociaż bardziej jaskrawym doświadczeniem i łatwiejszym do opisu będzie plemię Tapirape w Brazylii. Ale tak naprawdę, to różnica jest ilościowa, a nie jakościowa. Zresztą czy trzeba od razu jechać na wieś? Wystarczy iść na ulicę Hożą w Warszawie i wejść w środowisko syfilitycznych prostytutek, ich hierarchii wartości, obyczajów, przyczyn „dawania dupy" za piwo, poobracać się w tym świecie, żeby zobaczyć względność wartości czy postaw kulturowych. Przebywanie w innym środowisku, od tego, z którego się pochodzi jest koniecznym warunkiem bycia dobrym etnologiem, a do tego pozwala na asymilację w każdym środowisku: zawodowym, narodowym czy klasowym. Sam wiem z własnego doświadczenia, że pobyt na polskiej wsi pozwolił mi wypracować metody, dzięki którym wejście w nowe środowisko jest łatwiejsze. Wrażenie obcości, inności — to mam za sobą.

— Dzięki etnologii?

— Tak. I nie tylko. Również dzięki doświadczeniom wyniesionym z życia we Francji, w Polsce, z niezdrowego pociągu do środowisk marginesu społecznego, które zawsze starałem się poznać, z treningów bokserskich. Ale i wtedy liczne doświadczenia — głodu, nędzy, śmierci na ulicach — były mi obce. Poznałem je dopiero podczas wyjazdów do krajów Afryki Środkowej. Tak jak człowiek uczy się jogi, tak samo uczy się techniki akceptowania inności. A poza tym ja w ogóle jestem trochę kundlem z urodzenia. Rodzina pochodzi z Wilna. Urodziłem się i zacząłem swoje świadome życie w Krakowie. Potem mieszkałem w Warszawie. Samo przejście z Krakowa do Warszawy jest szokiem cywilizacyjnym. Nie wiem, na czyją korzyść, ale różnice są duże.

— A jaką Polskę pozostawił pan poza sobą?

— To bardzo trudno sprecyzować. Oczywiście z perspektywy ośmiu lat mam już pewien dystans do Polski. Są rzeczy, które w Polsce wzruszają. Są moimi rzeczami. Są rzeczy, których piękno odkryłem dopiero z oddalenia, są i takie, które dzisiaj są dużo bardziej ohydne niż kiedyś, bo wtedy przyjmowałem je jako plus minus normalne. Teraz wiem już, że nie są — więc brzydzą.

— Trochę to wygląda na postawę człowieka z zewnątrz.

— Oczywiście. Osiem lat darmo nie przechodzi. Siłą rzeczy gdzieś tam się ten dystans tworzy i patrzę oczyma człowieka dziwiącego się.

— Na czym polega „wysysający" charakter kultury polskiej?

— Jest szalenie partykularna. Ma swoje tragedie, niesłychanie intensywne przeżywanie historii i jest agresywna w stosunku do swojego przedstawiciela. Otacza go zewsząd i wbija mu się w podświadomość; z mesjanizmem, męczeństwem, z Katyniami i z Oświęcimiami, z tysiącem mitów narodowych, których obalenie jest bolesnym szarganiem świętości. Tutaj nie ma szargania świętości, a w Polsce trzeba dokonać heroicznego wysiłku, żeby to zrobić. We Francji można mówić na każdy temat i to dowolnie, obojętnie jak cynicznie i wszystko będzie zaakceptowane. Może poza jedyną rzeczą — wielkością narodu francuskiego. Z tym, że też nikt się do tego specjalnie nie przyczepi.

— Anglicy są narodem bardzo związanym z tradycją i nie są w stanie, ani też nie chcą się oderwać od swojej historii, a nie można powiedzieć, żeby byli z tego powodu nieszczęśliwi. Oni z tego czerpią siłę. Polacy są nieszczęśliwi.

— Myślę, że są dwa aspekty tego zjawiska. Po pierwsze — historia Polski ostatnich 200, a powiedziałbym nawet 300 lat jest historią nieszczęśliwą. A więc są pewne obiektywne przesłanki do tego, aby ten naród, praktycznie pozbawiony niepodległości, prawa do samostanowienia, z kulturą wiecznie zagrożoną, był narodem obolałym. Po drugie — w obronie przed tymi nieszczęściami zbudował sobie własną wizję siebie samego często tak szalenie powyżej swojego stanu możliwości i tak odbiegającą od rzeczywistości, że Polak żyje w stanie podświadomej konfrontacji tych mitów ze światem realnym.

— Czy pan też? Czy wiedza o tym umożliwia uwolnienie się?

— Sądzę, że w dużej mierze tak. Ale to w dużej mierze zasługa wychowania w domu. Ojciec poczuwa się do litewskości. Polski nacjonalizm był zawsze przez rodziców widziany negatywnie, a liczne mity polskie podawane z przymrużeniem oka i to wystarczająco wyraźnym, aby dzieci mogły to zauważyć i do końca nie brać ich na serio. Poza tym wychowany byłem również w kulcie kultury niemieckiej, w dużej mierze francuskiej, w szacunku dla kultury żydowskiej i w głębokim poczuciu, że ojczyzną jest Europa. Można to wziąć za kosmopolityzm, co mi zarzucił pewien publicysta „Kultury" paryskiej, a może jest to ta „europejskość", która miejmy nadzieję zatryumfuje w ciągu najbliższych 10—30 lat.

— Wspomniał pan o „obrzydliwościach" w życiu Polaków.

— Pierwszy przykład z brzegu, zjawisko, z którym szamotałem się i starałem się w Polsce walczyć przez długie lata. Wbrew wszelkim deklaracjom o konkurencji, o prawie do awansu dzięki zdolnościom i pracy, istnieje straszliwa klikowość tego społeczeństwa i to do najgłębszych pokładów. Nie tylko na poziomie komunistów i partii, ale i zwykłego obywatela, a nawet opozycji. Wyższą wartością jest, żeby to był „swój", niż żeby to był ktoś zdolny, wnoszący coś nowego. Proszę bardzo, wystarczy spojrzeć na przykład z własnego podwórka, na sytuację w katedrach etnologii w Polsce. Tam, w imię tego, żeby tylko nic się nie działo, zawsze zwycięży wybór negatywny. Żeby nic nikomu nie zagrażało, żeby ręka rękę myła. To jest niesłychanie silne w Polsce i to nieprawda, że jest to wina tylko komunistów. Ta bardzo głęboka struktura klikowości-swojactwa wzmocniona jest dodatkowo przez system krążenia towarów.

— W kontekście 300 lat nieszczęśliwej historii Polski, można taki podział na „swój — obcy" wytłumaczyć jako mechanizm obronny zagrożonego narodu.

— To nie jest tylko tak. W okresie dwudziestolecia międzywojennego klikowość też występowała, to jednak w pewnych sektorach istniały jednak zdrowe mechanizmy doboru poprzez wartości. Taką dziedziną była chociażby nauka. Oczywiście można cytować różne negatywne przykłady, niemniej jednak wystarczy spojrzeć na tempo awansu młodych naukowców, takiego Bystronia na przykład, i na brak przeszkód na ich drodze. Ważne było, żeby wykazali się dorobkiem naukowym. W tej chwili nawet, a może tym bardziej, fenomenalnie uzdolniony młody naukowiec będzie ściśnięty przez macki zawiści, klikowości i negatywnego doboru.

— Ale przecież Francja również należy do państw, w których liczy się to, kto kogo zna i jakie ma „układy"?

— Tak. Tylko że ja mogę podać przykład najbliższy, to znaczy mój własny, że jest jednak trochę inaczej. Przedstawiłem Francuzom swój dorobek i w ciągu roku od daty przyjazdu dostałem tytuł profesora, katedrę i etat w najbardziej prestiżowej uczelni francuskiej i to wszystko w wieku 32 lat. Jednak wciąż po ośmiu latach profesorowania we Francji i iluś tam doktoratach, które promowałem, listy, które bardzo rzadko, ale jednak przychodzą do mnie z Polski, z katedr etnografii, adresowane są per „doktor habilitowany", bo taki miałem stopień w Polsce. Cały mój tutejszy dorobek naukowy jest celowo plugawiony.

— Skąd się bierze to „odrzucenie" przez etnografów w Polsce?

— Poziom instytucjonalnej etnografii w Polsce jest niski. Brak kompetencji „etnologicznej góry" jest tak powszechny, że dobrych etnologów znajduje się właściwie tylko do poziomu doktorów. A oni nie mają nic do powiedzenia w całym aparacie administracyjnym, w skład którego wchodzą kierownicy katedr, ludzie — jak rzekłem — z reguły niekompetentni, dla których każdy zdolny jest potencjalnym wrogiem. Siłą rzeczy bronią się przed wprowadzeniem autentycznej działalności naukowej. Mechanizm oczywisty i naturalny. Tyle że nie jest to wynik li tylko komunizmu w Polsce, ale i pewnych przyzwyczajeń i utraty świadomości, że nauką, to nie jest sprawa znajomości, układów towarzyskich, całowania w rękę panią profesor, siedzenia cicho i nieodzywania się, kiedy nie proszą, lecz że jest kreowana przez ludzi, którzy mówią, bo mają coś do powiedzenia i nie czekają na pozwolenie takiej czy innej instytucji — bez względu na to, czy jest to państwo, Kościół, „Solidarność" czy partia.

— Czy można na przykładzie etnologii powiedzieć, że nauka tu i tam są takie same?

— Bez zagłębiania się w uwarunkowania historyczne, trzeba stwierdzić że etnologia polska została daleko w tyle i jest właściwie w tej chwili, w skali europejskiej bez jakiegokolwiek ciężaru gatunkowego. Można było albo podjąć pogoń za Zachodem, a właściwie światem, bo etnologia radziecka stoi na dużo wyższym poziomie niż nasza, albo zamknąć się w skorupie i mówić — „Tamto to jest nowinkarstwo" i usnąć w samozadowoleniu, a nawet w pewnej formie agresywności w stosunku do tego, co dzieje się na świecie. Nie mówię tutaj o świetnej grupie młodych, lecz o tych, którzy rządzą administra-

Nie można bez kompetencji ruszać na podbój świata

cją, mają pieniądze, jeżdżą za granicę i co gorsza za tą granicą się kompromitują, stając się pośmiewiskiem, ale na to nie ma rady. Oni nie tylko jeżdżą, ale i mogą zapraszać cudzoziemców, a kto nie lubi pojeździć. Więc prosto w oczy taki cudzoziemiec, który chce być powtórnie zaproszony powie co najwyżej — „To kontrowersyjne, nie będziemy tego wdrażać, aliści każdy ma prawo sądzić tak jak myśli", a za plecami dorzuci — „Co za dureń".

— Czy taki stan rzeczy jest wynikiem zaściankowości, lęku przed nowym, czy metody?

— Myślę, że po śmierci Józefa Burszty nie ma w Polsce, w mojej dziedzinie ani jednej osoby z tutułami profesorskimi i jednocześnie z kompetencjami naukowymi, a przecież to te osoby nadają tytuły doktorskie, habilitacje i one zatrudniają młodych pracowników. Chyba jest jasne, że nie będą zatrudniać osób im zagrażających. To jest znany mechanizm. Siła bezwładu ma kolosalną moc. Z tym, że chciałbym postawić sprawę jasno — nie brakuje w Polsce fachowców w poszczególnych dziedzinach — brakuje naukowców, którzy mieliby wizję, wyobraźnię badawczą.

— Czy to dotyczy całej nauki polskiej?

— Mówię o tym na czym się znam. Dziwnym cudem zachowały się w polskiej nauce sektory, które wymknęły się tej regule, na przykład historia polski. W pewnej mierze historia sztuki IBL. Być może coś jeszcze w dziedzinach ścisłych.

— Czy funkcja i zadania naukowca są takie same w Polsce i we Francji?

— Nie. Naukowiec w Polsce musi przede wszystkim mówić studentom — „Nie wierzcie im". Musi w ten sposób nauczyć studentów tego, co jest we Francji oczywiste — że mają prawo do samodzielnego myślenia, że książki z których się uczą nie muszą być książkami dobrymi. Rocznie produkuje się na świecie miliony książek, pośród których 99 procent to książki złe. Polskich studentów trzeba nauczyć, żeby nie wierzyli w autorytety. Nauka jest wiecznym buntem.

— Zatem w Polsce nauka to misja?

— Tak. Naukowiec musi być mistrzem dla swoich uczniów w stopniu o wiele większym niż we Francji, gdzie może być wąskim specjalistą. Tutaj można przyjść na uczelnię, odwalić swój wykład i pójść pracować do domu. Naukowiec wie, że i bez niego studenci mają świadomość „co intelektualista może a co powinien". W Polsce — w moim odczuciu — taka postawa byłaby niemoralna.

— A co się dzieje z takim polskim naukowcem misjonarzem, gdy znajdzie się na Zachodzie?

— Jeżeli nie zajmował się tylko dydaktyką, ale to co wykładał miało rzeczywiście wartość naukową, to taki człowiek obroni się wszędzie i w każdych warunkach.

— Jakie warunki musiałyby być spełnione, aby wrócił pan do Polski?

— Pomimo wejścia w środowisko francuskie gdzieś podświadomie uważam, z tytułu urodzenia, tego co mi kraj dał, przyjaźni, fantazmów, że praca w Polsce jest ważniejszą niż praca za granicą. Nawet bez względu na wygodę i możliwości rozwoju. To jest szalenie polska postawa. Aliści nie po to miałbym wracać do Polski, żeby rozmieniać się na drobne, żeby się deklasować, ale po to, żeby dać z siebie to co miałem wzbogacone o te doświadczenia, które przeżyłem. Jeżeli dostanę z dobrego, polskiego uniwersytetu propozycję objęcia katedry etnografii z możliwością dobrania sobie współpracowników i zapewnieniem sobie i im podstawowych elementów stabilizacji życiowej — to natychmiast tę ofertę przyjmuję. Z Łodzi też. Natomiast powrót po to, aby kłócić się z „ciotkami" — kierowniczkami katedr, to trwonienie czasu, nerwów i powagi.

— Czy podświadomie nie czeka pan na taką propozycję?

— Moja pozycja naukowa we Francji jest wystarczająca, żebym mógł spokojnie poczekać na taką propozycję.

Rozmawiał:
MAREK BRZEZIŃSKI

Ludwik Stomma. Profesor Sorbony. Doktor honoris causa dwóch uniwersytetów europejskich. Urodzony w 1950 roku w Krakowie, pracował w Instytucie Sztuki PAN, na Uniwersytecie Warszawskim, Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i Uniwersytecie Jagiellońskim. Autor m.in. „Tematy, które mi odradzano" (wybór pism J. S. Bystronia), „Słońce rodzi się 13 grudnia" (wydana w 1981 roku książka o kalendarzu ludowym) i „Antropologia kultury wsi polskiej". Obecnie pracuje nad dwoma pozycjami przygotowywanymi dla Wydawnictwa Łódzkiego. Ludwik Stomma od 1981 roku na stałe mieszka we Francji.

Mało znany epizod z dziejów drugiej wojny światowej.

Armia słowacka przeciw Polsce

MARIAN KUBACKI

Udział wojsk słowackich w hitlerowskiej agresji na Polskę w 1939 roku nie należy do faktów zbyt znanych. Mimo że temat ten nie należał do „białych plam" naszych dziejów, to jednak historycy wspominali o nim niejako „półgębkiem", z pewnym zażenowaniem i powściągliwością. Wydaje się, że niesłusznie. Na pewno warto powiedzieć więcej na ten temat nakreślając genezę i tło polityczne wydarzeń, które doprowadziły do wspólnej, niemiecko-słowackiej, agresji na Polskę.

Po kongresie w Monachium w 1938 roku okrojona Czechosłowacja została pozostawiona przez swych sojuszników na łaskę i niełaskę Adolfa Hitlera. Niepodległość jej gwarantowana była jedynie na papierze, a dokumenty i układy nigdy nie stanowiły dla wodza „Tysiącletniej Rzeszy" żadnej przeszkody w realizacji planów podboju Europy i świata. W marcu 1939 roku zdecydował się na realizację swego, od dawna przygotowywanego, planu. Wezwał mianowicie do Berlina prezydenta Czechosłowacji Emila Hachę i ministra spraw zagranicznych Františka Chvalkowskiego, aby pod groźbą zbrojnej inwazji oraz zbombardowania Pragi, wyrazili zgodę na okupację kraju na drodze pokojowej. Przerażeni politycy (Hacha zemdlał w Kancelarii Rzeszy) bezprawnie i wbrew konstytucji zdecydowali się na oddanie swego państwa w ręce Adolfa Hitlera.

Równocześnie z wkroczeniem wojsk niemieckich do Czechosłowacji, z inspiracji Berlina, Józef Tiso (słowacki polityk, ksiądz, działacz Słowackiej Partii Ludowej) ogłosił niepodległość Słowacji. 14 marca 1939 roku powstaje zależne od Niemiec państwo słowackie ze stolicą w Bratysławie, liczące 38 456 km kw. oraz 2450 tys. ludności. Stała się więc Słowacja pierwszym satelitą Adolfa Hitlera, z prawem posiadania armii, liczącej zaledwie pięć dywizji, oraz prowadzenia „własnej" dyplomacji. Natychmiast przystąpiono do likwidacji innych partii politycznych oraz do współpracy z Niemcami w eksterminacji ludności żydowskiej.

Polska należała do tych nielicznych krajów, które uznały marionetkowe państwo słowackie, ponieważ powstanie jego było po myśli ministra spraw zagranicznych, Józefa Becka, zwolennika rozczłonkowania Czechosłowacji. Spodziewano się bowiem w Warszawie, że do władzy w Bratysławie dojdą ci ludzie, którzy od lat współpracowali z Polską, i że nowe państwo będzie życzliwym i lojalnym sąsiadem. Stało się inaczej. Wśród tych, których uważano za polonofilów słowackich, mało było prawdziwych przyjaciół Polski, a ci, którzy byli nimi naprawdę, do władzy właśnie się nie dostali, lub zostali od niej odsunięci pod naciskiem z Berlina. Taki właśnie los spotkał katolickiego działacza, Karola Sidora, zmuszonego do wyjazdu za granicę i objęcia stanowiska posła słowackiego przy Watykanie.

Kierownictwo państwa słowackiego objęli ludzie, którzy uznając, że los ich kraju jest w całej pełni i bez możliwości zmiany uzależniony od Niemiec, podporządkowali swą politykę zagraniczną i wojsko bezwzględnym życzeniom Berlina. Postępowano tak z prostego wyrachowania: Niemcy były silniejsze od Polski i lepiej było mieć silniejszego protektora.

Wrzesień 1939 roku ujawnił całkowite fiasko polityki polskiej wobec swego południowego sąsiada. Umacniane tam od lat z dużym mozołem wpływy polskie w bardzo krótkim czasie wyeliminowali Niemcy. Przysłowiową wodą na młyn dla elementów antypolskich i proniemieckich stały się polskie rewindykacje graniczne na Spiszu, Orawie i w Czadeckiem z jesieni 1938 roku. Wysunięte w najbardziej niewłaściwym momencie, kiedy Słowacy zagrożeni byli poważnymi pretensjami węgierskimi, spowodowały przewrót w umysłach wielu Słowaków — Polska i Polacy z dotychczasowych przyjaciół stali się nagle wrogami.

W miarę jak zaostrzał się konflikt niemiecko-polski latem 1939 roku, także w Słowacji rósł nacisk niemiecki. Pod komendę z Berlina rozwijano antypolską propagandę i wypominano sprawę oderwanych wiosek spisko-orawskich, wymyślając brednie o rzekomym ucisku moralnym ludności tych wiosek, stosowanym jakoby przez władze polskie.

Od początku sierpnia 1939 r. władze niemieckie zaczęły przygotowywać wojskową okupację Słowacji, z której zamierzano uczynić wasala — sojusznika w zbliżającej się wojnie przeciw Polsce. Szef rządu słowackiego podpisał 12 sierpnia 1939 roku umowę likwidującą w całości suwerenność państwa słowackiego i poddającą armię pod dowództwo niemieckie. Zaraz potem rozpoczęły się intensywne przygotowania do wojskowego okrążenia Polski od południa, przez zaanektowanie słowackich lotnisk dla potrzeb lotnictwa III Rzeszy.

Głównodowodzący armią słowacką, generał Čatloš (do niedawna były podpułkownik armii czechosłowackiej), nie mający żadnego rozeznania politycznego, dał sobie przewrócić w głowie funkcją ministra obrony narodowej i naczelnego dowódcy armii, którą Niemcy chcieli popchnąć do wojny z tradycyjnie przyjaznym wobec Słowaków narodem. Čatloš obiecywał sobie w oparciu o potęgę niemiecką łatwe sukcesy i realizację słowackich roszczeń terytorialnych.

Gdy Niemcy zdecydowane były już zaatakować Polskę, rząd słowacki zapowiedział, że razem z Niemcami przeciw Polsce pójdą Słowacy, aby *„wyzwolić uciśnionych braci na Spiszu i Orawie"*.

Mimo że od 28 sierpnia Słowacja znalazła się pod faktyczną okupacją niemiecką, to jeszcze 30 tego miesiąca J. Goebbels zabronił publikowania informacji o wkroczeniu wojsk hitlerowskich do Słowacji i podkreślał, że *„przerzucenie oddziałów niemieckich do Słowacji nastąpiło w całkowitym porozumieniu z rządem Słowacji"*. Jednak już następnego dnia propaganda hitlerowska otrzymała nowy komunikat o następującej treści:

„Co się tyczy zagrożenia Polski ze strony Słowacji, należy tu nawiązać do wydanego niedawno przez premiera Tiso oświadczenia o przyjaźni niemiecko-słowackiej i wskazać, że faktu wkroczenia wojsk niemieckich do Słowacji z punktu widzenia prawa absolutnie nie sposób zakwestionować. Wkroczenie wojsk nastąpiło w oparciu o układ ochronny ze Słowacją i za wyraźną zgodą rządu słowackiego, który uznał, że granice jego są zagrożone wskutek wzrastającej koncentracji wojsk polskich. Przyjaźń obu narodów jest gwarancją koleżeńskiej współpracy wojsk niemieckich i słowackich".

Już po wkroczeniu wojsk niemieckich Józef Tiso wydał do ludności słowackiej odezwę, żądając współpracy z siłami niemieckimi, motywując ich wkroczenie rzekomym zagrożeniem przez jakieś polsko-węgierskie plany rozbiorowe tudzież przez rzekomo obiecaną pomoc polską dla węgierskich zamiarów aneksji Słowacji. Z tych to powodów wojsko słowackie zostało postawione w stan gotowości bojowej i skoncentrowane na granicy polskiej, osłaniając w ten sposób przygotowania hitlerowskie do napaści na Polskę.

Trzy dywizje słowackie włączono do mającej zaatakować Polskę od południa 14 Armii niemieckiej dowodzonej przez generała Wilhelma Lista, wchodzącej w skład Grupy Armii „Południe". Jednocześnie sternicy propagandy antypolskiej Mach, Murgaš i inni, rozpisywali się na temat rzekomego ucisku Słowaków w Polsce i potrzeby ich natychmiastowego wyzwolenia, zapewniając o rychłym wyruszeniu wojska słowackiego u boku armii niemieckiej przeciw Polsce.

I tak jak Niemcy, o świcie 1 września 1939 roku, napadły zbrojnie na Polskę bez wypowiedzenia wojny, tak samo uczynił to faszystowski rząd bratysławski. Wojny nie wypowiedziano, gdyż wasal nie mógł postąpić samodzielniej niż jego zwierzchnik. Choć istotnie wojny nie wypowiedziano formalnie, to 1 września 1939 r. premier ksiądz Józef Tiso wydał wojsku i bojówce partyjnej, Hlinkowej Gwardii, rozkaz zbrojnego wystąpienia przeciw Polsce u boku armii niemieckiej.

Celem słowackiej agresji było zajęcie terenów oderwanych od Czechosłowacji przez Polskę w 1938 roku. Tak twierdzą emigracyjni autorzy słowaccy, oświadczając, że jednostki słowackie obsadziły tylko starą granicę (tj. sprzed 1918 roku), i że nie posunęły się dalej w głąb Polski. Fakty jednak stwierdzają coś odmiennego. Wojska słowackie wystąpiły przeciwko Polsce daleko poza obszarem spornego pogranicza. Chodzi tutaj mianowicie o słowacką 3 Dywizję Piechoty, która 10 września 1939 r. przekroczyła granicę Polski w rejonie Przełęczy Łupkowskiej i działała następnie w ciągu trzech dni na terenach polskich w rejonie Bukowska, Sanoka i Leska.

Wszystko to nie zmienia faktu, że agresji w każdym razie dokonano. Józef Tiso na procesie twierdził, że w ogóle rząd żadnych rozkazów do napaści nie wydawał i że to lokalni dowódcy wojskowi na własną rękę podjęli działania bojowe w celu odzyskania rewindykowanych terenów. Są to dość żenujące naiwności. W dziesięć dni później od tej haniebnej agresji, 11 września, premier Józef Tiso ustanowił specjalne odznaczenie państwowe dla słowackich żołnierzy za udział w tej wojnie. Słowacja wyszła z niej z niewielkimi stratami oraz z łupem. Adolf Hitler w dowód wdzięczności dla swych słowackich protegowanych, przekazał im część Spisza, Orawy i Czadeckiego, dotychczas należące do Polski — stało się to w formie umowy niemiecko-słowackiej z 21 listopada 1939 roku. Szowiniści hlinkowscy natychmiast zamknęli na tych obszarach szkoły polskie i wypędzili działaczy polskich. Rząd bratysławski miał więc powody do zadowolenia, tym bardziej, że po zakończeniu działań wojennych Adolf Hitler i Józef Tiso wymienili depesze gratulacyjne, zapewniając się o *„wierności sojuszniczej do końca"*.

Należy także odnotować tutaj stanowisko aliantów wobec słowackiej agresji na Polskę. Mimo, że w trzecim dniu wojny zachodni sojusznicy Polski — Anglia i Francja — a wraz z nimi Indie, Australia, Nowa Zelandia, a następnie Unia Południowej Afryki oraz Kanada — wypowiedzieli wojnę Niemcom, to żadne z tych państw nie wypowiedziało wojny Słowacji traktując jej udział w inwazji jako marginalny i lokalny. Poza tym zobowiązania między Polską a aliantami nie były wystarczająco precyzyjne i dotyczyły tylko napaści ze strony Niemiec, bez uwzględnienia możliwości udziału jakiegoś hitlerowskiego satelity.

Szerokie masy społeczeństwa słowackiego i część wojska była odmiennego zdania niż przywódcy państwa. Robotnicy dokonywali sabotaży, niszcząc urządzenia wojskowe, a niektóre jednostki wojskowe, jak np. pułk w Kremnicy, odmawiały wykonania rozkazów, nie chcąc walczyć przeciwko Polsce. Nie wszyscy także oficjalni przedstawiciele Słowacji obrali politykę wrogą wobec Polski. Na formalny protest zdecydował się poseł Słowacji w Warszawie, dr Ladislav Szathmary, który natychmiast po antypolskim wystąpieniu Józefa Tisy w radiu 28 sierpnia 1939 r. zaznaczył swe negatywne stanowisko wobec polityki rządu bratysławskiego, a następnie rozpoczął realizować swoje, dawno już postanowione zerwanie ze sługami Adolfa Hitlera. 1 września 1939 roku na ręce wiceministra spraw zagranicznych, Jana Szembeka, złożył oświadczenie, w którym w imieniu narodu słowackiego uciemiężonego przez Niemców protestował między innymi przeciw *„użyciu Słowacji jako bazy dla akcji wojennej przeciw bratniemu narodowi polskiemu"*. Prosił także, aby *„Rząd Polski (...) popierać zechciał wszelkimi środkami, sam i wobec sojuszników swoich walkę narodu słowackiego o uratowanie honoru narodowego i ojczyzny oraz zdobycie prawdziwej niepodległości"*.

1 września 1939 roku prezydent Ignacy Mościcki podpisał dekret o utworzeniu przy armii polskiej odrębnego Legionu Czeskiego i Słowackiego (świadczyć to mogło, że ówczesny rząd polski nie miał skrystalizowanych poglądów na sprawę odbudowy nowej Czechosłowacji). Faktycznie od samego początku tworzono jedną organizację pod nazwą Legion Czechosłowacki (dowódca podpułkownik Ludwik Svoboda), który niebawem przekształcony został w Czechosłowacką Ochotniczą Brygadę (dowódca generał Lew Prchala, zastępca podpułkownik Ludwik Svoboda). Formowanie brygady, składającej się z około jednego tysiąca uchodźców z Protektoratu Czesko-Morawskiego i ze Słowacji, odbywało się w Bronowicach Małych pod Krakowem. Słowackie oddziały, mimo iż walczyły w rejonie Tarnopola, nie zdołały odznaczyć się w boju, głównie dlatego, że były słabo uzbrojone i wyposażone, a władze polskie odnosiły się do nich z daleko idącą nieufnością.

Niewielki potencjał zbrojny swego satelity wykorzystał Adolf Hitler raz jeszcze w dwa lata później, tym razem w napaści na Związek Radziecki. Po wyzwoleniu Czechosłowacji przywódcy faszystowskiej Słowacji stanęli przed sądem (Józef Tiso został skazany na karę śmierci i stracony). Odpowiadali nie tylko za zbrodnie przeciwko własnemu narodowi, ale również za współudział w agresji na Polskę.

Oddział armii słowackiej przygotowuje się do działań wojennych.

Osiem spuchniętych dni w Zakopanem.

„Daj, Witkacy, daj nam sił..."

MAREK KOPROWSKI

Tegoroczne Zakopiańskie Prezentacje Artystyczne **„Inspiracje '89"** (16—23 września) zorganizowano w 50 rocznicę samobójczej śmierci **Stanisława Ignacego Witkiewicza,** jednego z najoryginalniejszych twórców w dziejach kultury polskiej, a poświęcono **Konstantemu Puzynie** — zmarłemu niedawno konsultantowi artystycznemu Prezentacji, krytykowi teatralnemu, niestrudzonemu popularyzatorowi twórczości Witkacego: pisarza, dramaturga, malarza, teoretyka sztuki, błazna i filozofa. Niektórzy dodają: alkoholika i narkomana, ale są to resztki sensacyjnej aury otaczającej jeszcze za życia wymykającego się wszelkim kanonom hiperartystę. Pijakiem, rozpasanym erotomanem ani narkomanem nie był, wypróbowywał jedynie na sobie działanie różnych specyfików, badając ich wpływ na jaźń artystyy. Przyznawał się zresztą do tego „bez bicia" i nie robił tajemnicy ze swych eksperymentów.

Doszukiwanie się w literowych symbolach, jakimi oznaczał swe dzieła malarskie, kryptonimów tajemniczych związków chemicznych, oczywiście odurzających, jest nieporozumieniem. Dla przykładu podam, że NP II oznacza po prostu: „nie palę dwa dni", nie mówiąc o literowych oznaczeniach typów portretów, których sporą ilość przewiduje dowcipny i przewrotny regulamin „Firmy portretowej".

Prezentacje zorganizował Andrzej Dziuk wraz z Zespołem Teatru im. St. I. Witkiewicza.

Wykonali gigantyczną pracę: zaprezentowali trzy własne przedstawienia, w których aktorzy zbliżają się do granic fizycznych możliwości człowieka, i — mimo wyczerpania — byli wspaniałymi gospodarzami (większość zdarzeń artystycznych miało miejsce w siedzibie Teatru), opiekunami, przewodnikami, cierpliwymi rozmówcami, a wszystkie te funkcje pełnili z niezwykłą kulturą, taktem, uśmiechem i elegancją. W przeładowany do granic możliwości na wszystkich imprezach teatr wprowadzali ład i bezpieczeństwo, nastrój serdeczności, ciepło i domowy wręcz klimat. Chodzili spać nad ranem, by wczesnym przedpołudniem już stać na posterunkach. Nie przeoczyli nikogo z gości, każdemu poświęcając mniej lub więcej czasu, niezmordowani w czynieniu honorów domu. Dzięki nim, na osiem dni udało nam się oderwać od codziennej gonitwy, kłopotów, kolejek, niepewności o jutro, zapomnieć o przygnębieniu i chaosie panującym w Rzeczypospolitej. Tutaj mechanizm organizacyjny pracował precyzyjnie, bez usterek.

Mimo drogich karnetów (40.000 zł) zabrakło ich, a kolejki po niewielką ilość wejściówek na miejsca stojące ustawiały się już od rana, a co bardziej zdesperowani miłośnicy sztuki koczowali nocą na ławkach przed teatrem. Spotkałem dwie dziewczyny, które całą noc jechały z Łodzi do Zakopanego, by obejrzeć **„Sonatę b"**, w wykonaniu zespołu **Teatru Witkiewicza**, a po spektaklu biegły galopem na pobliski dworzec, by, chyba już w biegu, wskoczyć do nocnego pociągu powracającego do Łodzi. Nie wyszły jednak przed końcem spektaklu. Takie spontaniczne, pełne poświęcenia, rezygnacji z wycieczek w góry, uczestnictwo w Prezentacjach charakteryzowało publiczność, składającą się w przewadze z ludzi młodych i bardzo młodych.

Nigdy dotąd nie brałem udziału w godzinnej owacji urządzonej aktorom po przedstawieniu słynnego już „Cabaret Voltaire", gdy bisowano wielokrotnie co celniejsze fragmenty programu. **Tadeusza Łomnickiego** po „Ostatniej taśmie" Becketta oklaskiwano stojąc. Atmosfera była tak gorąca, tak niepowtarzalna, że nie można porównywać tej imprezy do jakiejkolwiek innej, a brałem udział w dziesiątkach najróżniejszych zdarzeń artystycznych. Ale i miejsce odbywania Prezentacji jest miejscem niezwykłym i chyba jedynym o takim klimacie w Polsce, a zespół gospodarzy tworzy zjawisko równie niespotykane i nie podlegające żadnym schematom — jak ich wielki, genialny Patron.

W pomysłowo zakomponowanym programie **Andrzej Dziuk**, w imieniu Zespołu napisał:

„Dziękujemy za to, że przyjęliście nasze zaproszenie i dzisiaj jesteście z nami. Mamy nadzieję, że duch Witkacego, błąkający się pod Tatrami, będzie także wśród nas. Podczas Zakopiańskich Prezentacji Artystycznych pragniemy przedstawić Stanisława Ignacego Witkiewicza jako malarza, pisarza i filozofa. Chcemy ukazać źródła inspiracji Jego myślenia o świecie. Może wspólnie uda się nam poznać wpływ Jego sztuki na nas — ludzi, żyjących w świecie po wielkich rewolucjach, postępującej demokratyzacji i upadku Indywiduum. Mamy nadzieję, że Prezentacje staną się okazją do wymiany myśli na temat sztuki i jej sensu w dzisiejszym świecie — świecie, w którym »świństwo równomiernie rozpełzło się wszędzie...«".

Wszystkie nadzieje i pragnienia spełniły się, myślę, ponad oczekiwania.

Pora więc omówić przebieg imprezy. Otworzyła ją „III Symfonia pieśni żałosnych" **Henryka Mikołaja Góreckiego**, w wykonaniu **Stefanii Woytowicz** i Orkiestry Filharmonii Rzeszowskiej pod dyr. **Andrzeja Jakubowskiego.** Solistka była zachwycona zaproszeniem do Zakopanego, gdzie, jak powiedziała, nie była od wielu lat. Pieśni wykonała wspaniale, prezentując wysoką formę wokalną. Ta sama orkiestra wykonała już pod batutą ekspresyjnego **Józefa Radwana**, „Krzesanego" **Wojciecha Kilara,** utwór skomponowany na motywach melodii góralskich, wykonany dynamicznie, siarczyście, wzbudzając uzasadniony aplauz widowni, wymagający bisowania.

Wieczorem **Teatr Witkiewicza** zaprezentował spektakl „Witkacy — autoparodia", brawurowo zagrany „niesmaczny góralsko-ceperski skecz zakopiańczykom (prawdziwym?) poświęcony", w reżyserii, scenografii i ze scenariuszem **Andrzeja Dziuka.** Dziuk wykorzystał różne teksty Witkacego, najwięcej czerpiąc chyba z traktatu pt. „Demonizm Zakopanego", analizującego duszę i umysł człowieka zarażonego narkotykiem nazwanym przezeń „zakopianiną" W spektaklu bierze czynny udział kapela góralska **Andrzeja Krzeptowskiego-Bohaca,** co dodaje znakomitemu widowisku dodatkowego smaku.

Nazajutrz ten sam Teatr zaprezentował „Sonatę b" według **Witkacego,** również w opracowaniu i reżyserii **Andrzeja Dziuka.** Spektakl rewelacyjny, wykonany jeszcze bardziej brawurowo (choć wydaje się to niemożliwe) niż „Autoparodia". W ciągu czterech lat z hakiem (a „towarzyszę" Teatrowi niemal od początku jego istnienia) zespół bardzo się rozwinął aktorsko, stanowi grupę artystów o wyrównanym, wysokim poziomie umiejętności, nabrał pewności, okrzepł, lecz nie skabotyniał, co często się dzieje, niestety, z ludźmi nieodpornymi na sukces. Tu słowo „zawodowstwo" wypełnione zostało treścią, w najlepszym rozumieniu jego znaczenia.

Trzecim spektaklem Teatru, prezentowanym trzy dni później, był wymieniany już „Cabaret Voltaire — seans dadaistyczno-surrealistyczny", również w opracowaniu i reżyserii Dziuka, który opisywałem w „Odgłosach" przed dwoma laty. Mottem spektaklu jest zawołanie Witkacego: **„niech żyje czysta, rozkoszna, świadoma swej potęgi, swobodna, bezwstydna blaga! O blago! Czysta blago — któż cię przelicytuje?!!!"**. Zabawa intelektualna wysokiego lotu, wsparta znakomitym aktorstwem wynosi ten spektakl do rangi wydarzenia artystycznego, zresztą słynnego już w teatralnej Polsce. **Daniel Gerould**, Amerykanin uczestniczący w Prezentacjach, witkacolog i teatrolog uważa — i słusznie — że **Teatr im. Stanisławą I. Witkiewicza** jest najlepszym w Polsce (a więc i na świecie) interpretatorem scenicznej twórczości autora „Nienasycenia". Nie omawiam szerzej tych spektakli, bowiem (żeby tylko nie zapeszyć) ujrzymy, być może, Teatr zakopiański w Łodzi za sprawą nowo powstałego **Impresariatu Zagranicznego przy Muzeum Historii Miasta Łodzi** i przy skromnym udziale autora tych słów. Jeżeli rozmowy zakończą się pomyślnie, będziemy świadkami dużej rangi wydarzenia artystycznego w mieście. Oby tak się stało — **Witkacy, dopomóż! Ty i Teatr Twego Imienia macie w Łodzi legiony zwolenników.**

Zaproszono do Zakopanego wiele zespołów i ludzi z kraju i ze świata. **Państwowa Opera z Wrocławia** wystawiła „Manekiny" **Zbigniewa Rudzińskiego,** według **Brunona Schulza** w reż. **Marka Grzesińskiego i Janusza Wiśniewskiego.** Teatr im. J. Kochanowskiego z **Opola** przybył z „Firmą portretową. O zaniku uczuć metafizycznych" w wykonaniu **Wiesława Cichego** i reżyserii **Andrzeja Pawłowskiego.** Scenariusz obojga wymienionych — to fragmenty regulaminu Firmy Portretowej, teksty teoretyczne o sztuce i zwariowane wierszyki Witkacego, które posłużyły jako teksty do piosenek. W Zespole Szkół Mistrzostwa Sportowego, przy Drodze na Bystre, dokonała się prapremiera tworu laureata Nagrody im. Witkacego z 1986 r. — **Jana Klaty** — pt. „Zielony słoń". Grali uczniowie tychże szkół, wspomagani aktorami Teatru Witkiewicza, a reżyserował sztukę również aktor „Witkiewicza" **Piotr Dąbrowski.** Ciekawostkę niewątpliwie stanowi fakt, że autor w roku otrzymania nagrody kończył szkołę podstawową, a dziś jest poważnym licealistą, który nie ugiął się jednak pod brzemieniem sukcesu i pozostał skromnym, sympatycznym chłopcem.

Przyjechał również Teatr im. Alberta Tison **ze Żnina.** Uczniowsko-studencki zespół wykonał „Wahazara" według „Gyubala Wahazara", w reż. **Jerzego Lacha.** Realizacja żnińska jest ilustracją myślenia, niestety, dość rozpowszechnionego wśród amatorów, że granie utworów awangardowych powinno zasadzać się na krzyku i miotaniu się po scenie, a dziwności należy jeszcze bardziej udziwniać. A gdyby tak spróbować Witkacego w realistycznych dekoracjach i kostiumach: garniturach z angielskiej wełny, z parasolami i kwadratowymi teczkami, „architektkami", czy też typowym wyposażeniem przeciętnego urzędnika? Ale poważnie: obecność amatorskiego teatru na tak poważnej imprezie dodaje ducha młodym aktorom, i, z pewnością „wdmucha" w nich nowe siły i wiarę w to, co robią: A są to istotne i potrzebne dawki energii.

Kolejnym wydarzeniem było przedstawienie „Ostatniej taśmy" Becketta w wykonaniu **Tadeusza Łomnickiego,** w reż. **Antoniego Libery,** firmowane przez Centrum Sztuki Studio z Warszawy, zresztą spektakl pokazywany w telewizji. Inny jest jednak ogląd „na żywo", pełniejszy, bogatszy, gdy sami wybieramy znaczące dla nas momenty i szczegóły akcji scenicznej, a inny, gdy realizator telewizyjny wybiera za nas, narzucając nam swój punkt widzenia i koncepcję. Tadeusz Łomnicki uraczył nabitą ludźmi salę koncertem gry aktorskiej, a scena początkowa ze zjadaniem bananów, to prawdziwy majstersztyk. Po spektaklu, już w „cywilnym" ubraniu, bohater wyszedł „do ludzi" i w ścisłym gronie honorowych gości, przy lampce wina, gawędził swobodnie, dowcipnie, w rozluźnieniu.

Opowiedział pyszną historię: gdy wyjechał ze spektaklem do Tunezji, tam, okazało się, nie można było nigdzie kupić bananów! A zastąpić ich nie można żadnym innym owocem, najbardziej nawet południowym. Tu pewien bardzo „taktowny" dowcipas z ekipy telewizyjnej (i to reżyser!) przerwał opowiadanie, sugerując lepsze rozwiązanie (reżyser telewizyjny zawsze! musi mieć najlepszy pomysł), mianowicie zastąpienie banana puszką sardynek. Kompletny idiotyzm, zignorowany słusznie zresztą przez Tadeusza Łomnickiego. Ale do rzeczy. Gdy zawiodły wszystkie możliwości, nadano przez miejscowe radio apel o dostarczenie dwóch bananów. Wtedy to na ulicach stolicy Tunezji, Tunisu, pojawiły się czołgi, wozy pancerne i uzbrojone po zęby wojsko. Owczesny prezydent kraju Bourgiba sądził, iż komunikat radiowy jest zaszyfrowanym hasłem do rebelii. Niekiedy sztuka szokująco wpływa na życie. Duch Witkacego musiał być razem z Tadeuszem Łomnickim w Tunezji i pękać ze śmiechu.

Na zakończenie Prezentacji wystąpił Polski Teatr Tańca z Poznania z baletem pt. „Niżyńskiemu — Une soirée", którego jednak już nie mogłem obejrzeć.

Zespoły zagraniczne, które przyjechały do Zakopanego w liczbie dwóch, to: **Studio „Człowiek" z Moskwy** z „Emigrantami" Mrożka i **ZATA Theater z Berlina Zachodniego** ze spektaklem „Narr und Nonne", na motywach „Wariata i zakonnicy". Teatr moskiewski (spektakl omówiony zostanie oddzielnie) przez cztery lata musiał grać „Emigrantów" nielegalnie, narażając się na różne szykany ze strony aparatu KGB. Teraz już może występować oficjalnie.

Niemiecka interpretacja Witkacego — tak ją właśnie określili sami aktorzy teatru ZATA: **„będzie to czysto niemiecki Witkacy"** — nie przypadła mi do gustu, jako zbyt dosłowna, pozbawiona przy tym lekkości, wdzięku, tej odrobiny szaleństwa, a miejscami wręcz niesmaczna i budząca sprzeciw. Artyści niemieccy zaskoczyli jednak wszystkich i niejako „odkupili winy", gdy po spektaklu wręczyli publiczności po kwiatku i zaproponowali wycieczkę w plener. Była godzina 1 w nocy.

Na czele pochodu szli aktorzy w czarnych kostiumach, z pochodniami i instrumentami, a za nimi duża grupa widzów.

Pochód dotarł na stary cmentarz zakopiański na Pęksowym Brzyzku, gdzie złożono rzekome prochy Witkacego. Ale oni nie musieli wiedzieć, że zamiast niego leży tam jakiś Bogu ducha winny Poleszuk wyrwany ze swej ziemi, a nawet gdyby wiedzieli — gest był bardzo piękny. Odprawiono nad grobem rodzaj obrzędu, ze śpiewami żałobnymi i takąż muzyką, spalono w ognisku pochodni sztrajfy z napisami: ideologia, totalitaryzm, dogmatyzm — pojęcia, którymi Witkacy się brzydził, a i mało popularne dzisiaj — a następnie każdy z nas, przechodząc w długim korowodzie, złożył na płycie grobowca swój kwiatek, żegnany po polsku przez niemieckich aktorów słowami: **„dziękujemy, dobranoc"**. Była to wzruszająca, uroczysta i pełna metafizycznego magnetyzmu akcja artystyczna.

Każdego dnia odbywały się tzw. posiady, z udziałem znawców twórczości, teorii sztuki, filozofii Witkacego. Pierwsza wystąpiła **Małgorzata Szpakowska** z „Dialogu", streszczając właściwie swój esej, wydrukowany w tym samym, mniej więcej, czasie w „Polityce". **Maciej Pinkwart**, zakopiańczyk, historyk miasta i regionu, opowiadał o zabawnych momentach z życia Witkacego, przedstawiając go jako wesołka, kpiarza, żartownisia i świetnego aranżera dziwacznych sytuacji, w które montował swoich poważnych znajomych. Prof. **Daniel Gerould** z Nowego Jorku (rozmowa z nim ukaże się w „Odgłosach" osobno) mówił po polsku o teatrze Witkacego i jego teorii czystej formy. Gdy „wprowadzał" Witkiewicza do „ekipy" postmodernistów, nagle przeszył uszy słuchaczy przenikliwy, niesamowity dźwięk sprzężenia we wzmacniaczu, co wszyscy odebrali (wskazywał na to chichotliwy szmerek) jako dowód obecności ducha Witkacego i jego ewentualny sprzeciw. Prof. **Janusz Degler** urządził posiady w **Galerii Władysława Hasiora,** mówiąc o recepcji twórczości Witkiewicza w świecie, co ilustrowała wystawa plakatów teatralnych i wydawnictw książkowych w obcych językach, nawet bardzo egzotycznych. Ubolewał, że nie mógł zaprezentować wszystkich swoich eksponatów z powodu braku miejsca, ale domówił się z ludźmi z Muzeum Włodzimierza Lenina w Poroninie i tam, w rocznicę Rewolucji Październikowej, otwarta zostanie wystawa obszerniejsza niż ta u Hasiora, na którą zaprasza wszystkich, ubawionych w tym momencie słuchaczy.

Prof. Jan Błoński mówił o katastrofizmie Witkacego dowodząc, że on najbardziej bał się życia, które było dlań przypadkową powtarzalnością, ogołoconą z celów i blasków egzystencją, lecz nie pozbawioną przyjemności. Nie było tym razem żadnego znaku, żadnej metafizycznej ingerencji z zaświatów. Panowie **Andrzej Bazylewski** z ZSRR i **Karol Lesman** z Holandii mówili, także po polsku, o popularności Witkacego w swoich krajach. Rosjanin ubolewał nad brakiem zainteresowania twórczością mistrza absurdu w Związku Radzieckim u prawomyślnych literaturoznawców, obiecując, że młodzi, niepokorni zrobią — i już robią — wszystko, aby spopularyzować go w swojej ojczyźnie. Rozmowę z Holendrem zamieścimy w jednym z kolejnych numerów naszego pisma.

Pułkownik **Włodzimierz Ziemlański,** świadek ostatnich dni życia Witkiewicza, jeden z tych, którzy odkryli jego zwłoki, opowiadał z nieukrywanym oburzeniem o sposobie przeprowadzenia ekshumacji, o haniebnej pomyłce, o niekompetencji i zlekceważeniu sprawy przez polską i radziecką stronę, o kompromitacji ludzi odpowiedzialnych za to pożałowania godne zdarzenie. Postulował reekshumację pochowanego w Zakopanem Poleszuka i zwrócenie go ojczystej ziemi, a do symbolicznego grobu Witkacego w mogile jego matki proponował wsypać ziemię z cmentarza w **Jeziorach,** którą przywiózł i jeden z pojemników wręczył **Andrzejowi Dziukowi** dla Teatru.

Imprezami towarzyszącymi były pokazy filmów: „Gabinet doktora Caligari", „Kacza zupa" z braćmi Marx, „Pies andaluzyjski" Bunuela i Salvadora Dali, „Frankenstein", „Dr Jekyll i Mr Hyde", a z nowych produkcji „Pomarańczowa Alternatywa" **Mariusza Dembińskiego** i „Tango" **Zbigniewa Rybczyńskiego,** nagrodzone Oscarem. Każda z tych pozycji, z różnych powodów „brata się" z Witkacowską filozofią sztuki, jego o niej myśleniem, znajduje pokrewieństwo z osobowością twórcy teatru absurdu. Dopełnieniem całości stały się pokazy wideo: „Umarłej klasy" **Tadeusza Kantora w realizacji Andrzeja Wajdy** i „Matki" Witkiewicza w reżyserii **Jerzego Jarockiego.** Dodatkowo, galeria Teatru prezentowała oryginalne rysunki Witkacego, a w Galerii na Kozińcu otwarto wystawę malarstwa, fotografii i pastali pt. „Twarze".

Osiem spuchniętych od wydarzeń dni minęło szybko.

Zbyt szybko. Rzadko zdarzają się imprezy organizowane z takim rozmachem, a jednocześnie tak spójne i przejrzyste ideowo, gdzie łączy się prawdziwą Sztukę z rodzajem sympozjum, gdzie nie ma drętwoty, atmosfery akademii „ku czci", gdzie znajdujemy jedność w wielości, gdzie klimat pobudza do refleksji, zamyślenia nie tylko nad obejrzanym spektaklem, wysłuchanym koncertem czy wykładem, ale nad sobą, nad własnym losem, losem tego kraju, losem sztuki, przyszłością. Odbyła się bardzo ważna, mądra, inspirująca impreza. Obcowanie z Witkacym, jego duchem, istotą jego sztuki, splątaniem optymizmu z pesymizmem, błazeństwa z powagą, absurdu z twardym życiem, zwariowanego humoru z tragedią człowieka nie rozumianego przez współczesnych mu ludzi, życia ze śmiercią, a nade wszystko niezwykła atmosfera wytworzona w Teatrze im. Witkiewicza odrzucały z obrzydzeniem pojawiającą się myśl o powrocie do „normalnego" świata i życia. Jednak trzeba było powrócić. Na spotkanie z absurdem, który nie bawi, z idiotyzmem ostemplowanym urzędową powagą, z głupotą i brakiem wyobraźni, które czynią nasz los trudnym do zniesienia, z rzeczywistością odmetafizycznioną poprzez szarzyznę codzienności, z nieistnieniem Indywiduum, na spotkanie wreszcie z tym świństwem, które „równomiernie rozpełzło się wszędzie".

W „Cabaret Voltaire" aktorzy śpiewają:

„Daj, Witkacy, daj nam sił,
aby człowiek godnie żył.
Nam miłości też potrzeba,
bo stąd bliżej jest do nieba...".

— i ten refren powinien towarzyszyć wrażliwym, myślącym ludziom w niełatwych chwilach życia naszego powszedniego.

Było ich dwóch, ale jeden z nich zapragnął latać po niebie.

Na ziemi i niebie

RYSZARD BINKOWSKI

Rys. Dariusz Romanowicz

Starszy z nich urodził się w 1910 roku w Jedlnie koło Radomska, a jego ojciec był organistą. Z drugiej strony Radomska przyszedł był wcześniej na świat inny syn organisty, późniejszy laureat Nagrody Nobla. Ten z Jedlna miał także zamiłowanie do sztuki i zacięcie historyczne, jednakże z przekory, o czym będzie jeszcze mowa, został inżynierem.

Młodszy urodził się w 1912 roku w Łodzi. Był synem tkacza. Połączyły ich dzieciństwo i młodość spędzone w Rzgowie pod Łodzią. Stało się tak z tej przyczyny, że ojciec pierwszego z nich, Tadeusza Salskiego, przywędrował do Rzgowa i otworzył zakład stolarski. Był bowiem także stolarzem, który sam zbudował fisharmonię. Potem dzięki sprzedaży kawałka ziemi pobudował dom obok domu p. Stachonicza. Matka Tadeusza Salskiego była znaną w Rzgowie i okolicy położną, która nie tylko odbierała porody, ale i udzielała rzgowianom pomocy w nagłych przypadkach.

Inżynier Salski dorobił się na starość maleńkiego mieszkania na parterze wieżowca przy pętli tramwajowej. Jego młodszy kolega, syn tkacza, doczekał się pomnika w formie krzyża i płyty nagrobnej na cmentarzu. Tylko że przez czterdzieści lat nikt z rodziny ani nikt ze Rzgowa nie znał okoliczności jego śmierci.

Syn tkacza został lotnikiem. Nazywał się Mieczysław Bykowski.

To, że Mieczysław Bykowski związał się ze Rzgowem i zaprzyjaźnił z Tadeuszem Salskim, nie było dziełem przypadku. Otóż matka Mieczysława, pani Magdalena, wywodziła się ze starej rzgowskiej rodziny Sądkiewiczów. W czasie pierwszej wojny światowej i jeszcze w kilka lat później Mietek oraz jego starsza o cztery lata siostra Zofia wychowywali się w Rzgowie u dziadków Sędkiewiczów. Niestety, ten drewniany domek przy ulicy Grodziskiej dziś już nie istnieje.

Tadeusz Salski mimo swoich 79 lat trzyma się krzepko. Jest mężczyzną witalnym, silnie zbudowanym, o gęstej jeszcze siwej czuprynie i bystrych niebieskich oczach. Barczysty, szerokonosy, ma jowialną twarz o czerstwej, zdrowej cerze. Patrzy ze wzruszeniem na zdjęcia przyjaciela, które dostał od siostry Mieczysława. Tamten był smukły, o cherubinowej niemal twarzy, z lekko falującymi włosami. No i w mundurze, a za mundurem panny sznurem.

Można więc stwierdzić patetycznie, iż dzieciństwo Mieczysława upływało w cieniu kochającej matki, opiekuńczej siostry, pod okiem tolerancyjnego ojca. Potem młody Bykowski wywędrował ze Rzgowa i w przyjaźni chłopców nastąpiła ponaddziesięcioletnia przerwa. Po ukończeniu szkoły powszechnej Tadeusz Salski wstąpił do Gimnazjum Miejskiego im. Józefa Piłsudskiego. Dziś już to Liceum im. T. Kościuszki. Z okazji jubileuszu szkoły wydano jednodniówkę. Jest w niej zdjęcie trzech absolwentów tej szkoły: dziadka — Tadeusza Salskiego, jego syna — Macieja, oraz wnuka, syna Macieja. Maciej Salski jest doktorem nauk technicznych. Szalenie zdolny, ambitny, ale i konfliktowy. Ojciec, człowiek o łagodnym usposobieniu, życzy mu jak najlepiej, ale kariery raczej mu nie wróży.

— Przez cały okres pobytu w Gimnazjum Miejskim — wspomina Tadeusz Salski — *byłem pod silnym urokiem niezwykłej indywidualności profesora Zygmunta Lorentza, zamordowanego później, w 1943 r., przez hitlerowców. To on kształtował moją osobowość. Władysław Bieńkowski, także wychowanek tej szkoły, nazwał tego nauczyciela historii fascynującym pedagogiem. Prof. Lorentz wywoływał mnie do zabierania głosu w spornych kwestiach historycznych, służył mi pomocą w sprawach organizacyjnych Koła Naukowego, którego byłem sekretarzem...*

— Zapowiadał się pan na tęgiego humanistę — wtrąca reporter. — A został pan inżynierem.

— Bywałem wielokrotnie w domu Bykowskich — wspomina inż. Tadeusz Salski. — *Bywałem tam, przyciągany przez Miecia po zajęciach szkolnych. Myślę, że jako młodszy wiekiem odczuwał potrzebę przyjaźni ze starszym kolegą. Wie pan, po siedemdziesięciu latach nie mogę pamiętać szczegółów tych wizyt. Ale pozostało jedno niezatarte wrażenie: atmosfera rodzinnej miłości i wzajemnego szacunku. Tę atmosferę stwarzała matka Miecia, pani Magdalena. Jej twarz kojarzy mi się z twarzą Madonny, a postać z sylwetką zakonnicy. Była prostą kobietą, ale głęboko religijną, wewnętrznie skupioną. Dla otoczenia jednak była pełna uśmiechu i życzliwości.*

— A ojciec Mieczysława?

— Pana Jana Bykowskiego w tym czasie prawie nie widywałem. Był szalenie zapracowany. Poznałem go bliżej znacznie później, kiedy już pracowałem zawodowo. Lubił rozmawiać ze mną na tematy rolnicze i polityczne...

— Miałem także zainteresowania rolnicze. Ale inżynierem zostałem z przekory, aby udowodnić nauczycielom, że z przedmiotów ścisłych też jestem dobry. Bo w 1930 r. oblałem maturę, i to z matematyki. I wtedy prof. Lorentz odwiedził mnie w domu moich rodziców. Abym mógł powtórzyć rok, załatwił mi stypendium obiadowe, co dla mnie, dojeżdżającego ze Rzgowa, było dużym ułatwieniem.

Kilkadziesiąt lat później przyszedł taki dzień, gdy inż. Salski zaczął zbierać materiały o życiu kolegi z dzieciństwa, Mieczysława Bykowskiego. Powinien więc wiedzieć, co się z nim działo w latach 20. i 30.

— Tak — potwierdza — *przy czym interesowałem się jego losami już przed wojną. Dowiedziałem się, że Miecio uczęszczał do gimnazjum klasycznego przy Seminarium Duchownym we Włocławku. Nawet się nie zdziwiłem. Wzrastał w wielkim kulcie matki, myślę więc, że jej życzenie, aby został księdzem, przyjął jako hołd dla matki. Ale po roku zapadł na zdrowiu, tak że dziekan Seminarium udzielił mu rocznego urlopu na wypoczynek.*

— Wrócił do Seminarium?

— Nie. Proszę sobie wyobrazić, że zdecydował się wstąpić do wojska. Aktywną służbę Bogu zamienił na nie mniej aktywną służbę Ojczyźnie. Po odbyciu obowiązkowej służby poborowej przeniósł się do Zawodowej Szkoły Podchorążych w Ostrowie Mazowieckim.

A Tadeusz Salski wstąpił w 1931 r. na wydział rolniczy Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. W czasie studiów odbył służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim, a następnie w 4 Pułku Artylerii Ciężkiej w Częstochowie. Natomiast praktykę zawodową zaliczał na Kołyniu, w majątku Hulewiczów, spokrewnionych z Wańkowiczami. Była tam m.in. niewielka stadnina, w której hodowano kawaleryjskie konie dla wojska.

— Widywał pan wtedy Bykowskiego?

— Rzadko. Ale w roku 1937 Miecio w stopniu podporucznika otrzymał przydział do 31 pułku piechoty w Łodzi. Po kilku miesiącach pułk przeniesiono do Sieradza i odtąd coraz częściej spotykaliśmy się w Rzgowie. Mietek był ulubieńcem naszego grona koleżeńskiego. Jego delikatna twarz pozostawała w pewnej sprzeczności z powagą, z jaką się nosił. No, ale towarzystwa nie unikał. Lubił zabawę, tańczył, grał nieźle w brydża. Był interesującym mężczyzną, myślę jednak, że kobiety przysparzały mu więcej kłopotów niż jego miłość do nich. Nigdy zresztą nie roztrząsaliśmy tych problemów. Nie wkraczaliśmy w rozmowie na te obszary, szanując zasadę eksterytorialności.

W rok później Mieczysław Bykowski sprawił wszystkim kolejną niespodziankę.

— Nigdy nie pomyślałem — zwierza się z patosem mgr inż. Salski — *że sięgnie tak wysoko. W przestworza. Bo Mietek zapragnął latać. Chciał być orłem. Wstąpił do lotnictwa, do I Pułku Lotnictwa w Warszawie.*

Starszy pan nuci coś z błyskiem w oku, powtarza słowa:

Niby nic,
taki mały kwiat,
W kwiatku tym
jest cały świat...

— Wie pan, to były piękne czasy. Warszawa pełna zabaw... Grano i śpiewano tanga, m.in. „Ostatnią niedzielę". Teatr Wielki wystawiał po raz pierwszy „Harnasiów" Karola Szymanowskiego. Na tym balecie, zachwycony muzyką i tańcem, Mieczysław był chyba dwukrotnie. Wybieraliśmy się do teatru razem, mnie jednak stawały na przeszkodzie egzaminy przeddyplomowe.

— Jak żeście się odnaleźli?

— Zwyczajnie. Ja mieszkałem w akademiku na Grójeckiej, a on niemal na wprost, po drugiej stronie. Odwiedzaliśmy się, chodziliśmy na dancingi, składaliśmy wizyty wspólnym znajomym. Stąd też wiem sporo o karierze lotniczej Mieczysława. W Dęblinie przeszedł wszystkie szkolenia związane z obserwacją i nawigacją powietrzną. Został oficerem — obserwatorem, dowódcą samolotu bojowego. W czasie ćwiczeń spadochronowych nie rozstawał się ze spadochronem. Jeździł z nim wszędzie, a kiedy trafiał do domu, spadochron zostawiał w ukryciu, aby nie denerwować matki...

Tak, to były piękne czasy. A tymczasem wojna wisiała na przysłowiowym włosku. Warszawa pełna patriotycznego uniesienia. Nie było w niej Mieczysława Bykowskiego, który w tym czasie wykonywał ważne zadania wojskowe w okręgach poznańskim i pomorskim. W jednostkach lotniczych wymieniano samoloty „Karasie" na „Łosie", które jak na owe czasy odznaczały się wysokimi parametrami technicznymi i walorami bojowymi. Mieczysław dużo wtedy latał, co najmniej dwa razy w tygodniu.

Tadeusz Salski ostatni raz widział się z przyjacielem w czerwcu 1939 roku. Pożegnali się serdecznie, aby się więcej nie zobaczyć. W lipcu odwiedziła jeszcze Mieczysława siostra Zofia, której zwierzył się ze swych przeczuć. Powiedział, że nie wróci z tej wojny...

Tadeusz Salski miał w tym czasie masę kłopotów na głowie. Swego czasu przerwał bowiem studia i pracował jako instruktor rolny w powiecie łódzkim. Na początek lipca wyznaczono mu termin obrony pracy dyplomowej, ale nie zdążył, bo akurat Izba Przemysłowo-Handlowa otwierała wydział wiejski, a Izba Rolnicza zarekomendowała go na kierownika tego wydziału.

Poza tym 12 sierpnia 1939 r. Tadeusz Salski ożenił się.

— Wiele, bardzo wiele zawdzięczam żonie — mówi ze wzruszeniem. — *Dumny jestem z najstarszej córki. Wie pan, oglądałem kiedyś „Sułkowskiego" i ujęła mnie scena miłosna, w której grali Osterwa i Barszczewska, ona Agnieszkę... Nadałem córce to imię... Myślę, że dzieci nie zapomną o 50-leciu naszego ślubu. Syn Maciej, córka Ewa, która jest socjologiem, zapewne przyjadą. Ale Agnieszki oraz jej męża Piotra, także Salskiego, z zawodu inżyniera, nie będzie... Bo Agnieszka znowu otrzymała zaproszenie do Cambridge.*

Docent Agnieszka Salska jest dyrektorem instytutu filologii angielskiej na Uniwersytecie Łódzkim.

A jej ojciec w 1939 r. miesiąc miodowy spędził na wojnie.

— Zmobilizowano mnie do VI PAC i w korpusie kadetów ubezpieczałem dowództwo obrony Lwowa. Niemcy strzaskali dworzec we Lwowie i w zasadzie było już po wojnie, bo wkrótce pojawili się Rosjanie... Pamiętam, że nasz żołnierz przyprowadził dwóch sowietów, ale puszczono ich wolno, bo mieliśmy z nimi nie walczyć. Potem zebrano 40 ochotników na rekonesans, gdyż Rosjanie postrzelili nam plutonowego. Ale nie było żadnej rozmowy, ponieważ tamci się wycofali. A później do majora przyszedł goniec z poufnym meldunkiem i major oznajmił, że wracamy do Lwowa i składamy broń. Mieliśmy iść do Rumunii. Wachmistrz żandarmerii powiedział mi, że za dwie godziny będą tu sowieci, więc zmieniłem kierunek...

I tak przez 12 dni szedł ze Lwowa do Łodzi. Myślał o żonie, o wszystkich bliskich, których zostawił. Nie sądził zapewne, że jego przyjaciel już nie żyje. Ba, nawet mu do głowy nie przyszło, że kiedyś będzie obchodzić 50 rocznicę swego ślubu i 50 rocznicę śmierci kolegi. A już z pewnością nie mógł przypuszczać, że śmierć Mieczysława Bykowskiego przeżyje dopiero po czterdziestu latach. Bo chociaż jeden z nich wybrał niebo, drugi zaś stąpał po ziemi, to przecież zawsze łączy nas Matka Ziemia. Takie jest prawo doczesności. I tylko wiara daje nadzieję na wieczne spotkanie w Niebie.

Ale o tym spotkaniu na Ziemi — następnym razem.

C.D.N.

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Napisy

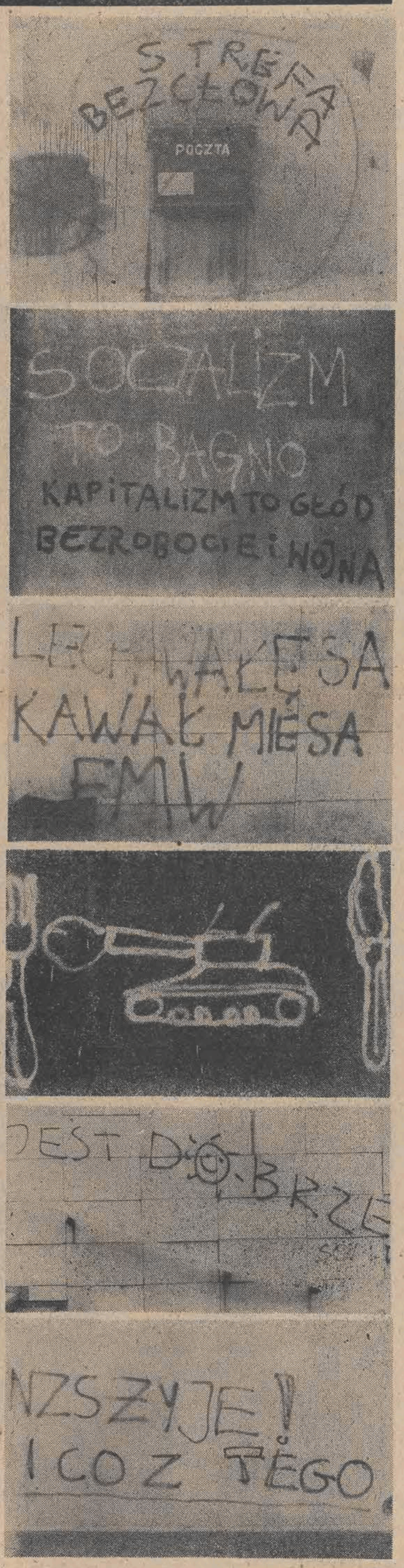

DARIUSZ BUGALSKI

Bonjour Marcel

Język płazem wałkujący zwyczajową formułę
Zęby mielące grudki zgłosek
Oklejone włażącymi między dziąsła kęsami
dyftongów
Ręce zakreślające ciszę
W metliku gestów
Na kroplach pustego powietrza
Stopy ażurowym migdałem podbicia
Wyciskające sok z nieistniejącej kapusty
To twoje perpetuum mobile
Samoregulujący metaliczny organizm
Dam i kawalerów w tańcu ekstatycznym
Wokół młynka do czekolady
W okowach pękniętej szyby
Jak to zatrzymać
Wytrzymać tak — tak
Nie — nie
Strużka rdzy spod paznokcia rozdzwania
Zatopiony w piasku
Brylant

(I nagroda w konkursie „Debiuty — 89" zorganizowanym przez Centrum Kultury Młodych w Łodzi)

Retoryka i wstydliwość

HENRYK PUSTKOWSKI

Przepisuję na wstępie (usprawiedliwiając tytuł tej recenzji) ze „skrzydełka" wydanego ostatnio tomu **Janusza St. Pasierba** charakterystyczne wyznanie poety sprzed lat dziesięciu: „Dość dziwnie ożeniła się we mnie retoryka i wstydliwość, pomieszały krzyki i szepty. Może mój klasycyzm polega na tym, że lubię konstrukcję, nie cierpię rozmemłania, że z ukosa patrzę na natchnione głosolalie, wokalizy i rozpasane witalizmy, że w bełkocie widzę sprzymierzanie się z odgłosem bębnów, w jakie walą czarownicy, aby uśpić rozum".

I po latach to credo poetyckie nadal obowiązuje. Zyskuje ono co prawda nowe argumenty, jakie nieuchronnie wnosi sam proces formowania własnego odrębnego poetyckiego tonu, ale „retoryka i wstydliwość" rzeczywiście są dysponentami poetyki autora **„Wnętrza dłoni"**. Trzeba wszakże wyraźniej określić o jakiej retoryce tu myśli J. St. Pasierb. Zapewne nie o sofistycznej i krasomówczej, ale tej, która w sposób najbardziej celowy i „ekonomiczny" formowała komunikat (także i poetycki): iżby uczyć (docere), wpływać na odbiorcę (flectere) i dać przyjemność estetyczną (delectare) równoważną tu z poczuciem harmonii oraz ładu.

„Wstydliwość" zaś należałoby rozpoznawać jako pokorny, personalistyczny akt porozumienia międzyludzkiego, jako przesłanie, by poeta z racji swej erudycji oraz powołania nie popadał w mentorstwo, by częściej schylał się ku ziemi. Owo dążenie „w dół" dość przekornie prezentuje krótki wiersz **„Jak Chińczyk"**: „w moim pisaniu / / jestem uzależniony / od powszechnego prawa ciążenia / nawet gdy wznoszę się / piszę zawsze jak Chińczyk / pionowo / w dół" (s. 34).

Znakomity erudyta i humanista dostrzega całą dialektykę „dołu" i „góry", wzniesienia i upadku, cierpienia oraz odkupienia. Upadający pod ciężarem krzyża Chrystus **(„Upadek")** do „stóp żołdaków" znajduje się przecież już w procesie „wznoszenia" — odkupienia wszystkich upadłych. Słowa wzniosłe mają zapewne większy autorytet, ale „niższa", okruchowa notacja prostego doświadczenia jest bliżej drugiego człowieka. Innego, bliźniego.

I tak zapewne działa ów syndrom „wstydliwości: pokory, dyscypliny, przytłumienia Ja poetyckiego prowadząc do „demokratyzacji" samego przekazu. Dlatego też, jak sądzę, przez ową pokorną dyscyplinę generowane są miniaturki poetyckie liczne w tym tomie. Dodać można jeszcze, że chyba też konstrukcja — przeciwieństwo „rozmemłania" i „bełkotu" — wpłynęła na wybór tej formy lirycznej. Nie znaczy to, by racjonalizacja miała się przez to stać dominantą światoobrazu poety. Nie ratio (myśl), ale miłość jest tu wartością najwyższą, bowiem: „Bóg jest w ciele / / a człowiek w kamieniu / Bóg jest już miłością / / człowiek myślą dopiero".

Myśl przeto należy traktować instrumentalnie, winna ona służyć dekodowaniu szyfrów świata, spod których przebija wszechobejmująca miłość. Może i w ten sposób należałoby odczytać przytoczoną wyżej nieco miniaturkę „Jak Chińczyk", bowiem świat można odczytywać, czy nawet „oglądać" w jego piktograficznej fakturze. Poeta pełni w tym procesie rolę pośrednika, tłumacza, interpretatora, który scala metonimiczną, rozbieganą zdarzeniowość osobistym, a zarazem kulturowym przeżyciem.

Tę postawę prezentują przede wszystkim cykle **„Miasto"** i **„Wyspa"**. Niemniej jednak najistotniejszą cechą poezji J. St. Pasierba jest przywoływanie wartości, które wyrastają z kręgów doświadczeń kulturowych i religijnych śródziemnomorskiej wspólnoty ludzkiej. Nie jest to przecież wspólnota ograniczona do jednej „ramy kulturowej". Otwarta dłoń — symbol braterstwa jest symbolem wspólnym dla większości kultur, a ową „braterskość" ewokuje tytułowy wiersz, który pozwalam sobie przytoczyć w całości:

WNĘTRZE DŁONI

wnętrze dłoni
gdy nie jest zaciśnięte w pięść
otwarte jak braterstwo

jest tu blisko wszędzie
w krainie wzgórz noszących
imiona dalekich planet

najprostsza metafora dłoń
wiąże ciało z wszechświatem
jest krajobrazem wróżb

nie odwracaj oczu
gdy czytanie z dłoni
jest operacją na otwartym sercu.

(s. 74)

Janusz St. Pasierb „Wnętrze dłoni". WŁ Łódź 1988, s. 162, cena 180 zł.

Książka **Andrzeja Szczypiorskiego „Z notatnika stanu wojennego"** powstała w dramatycznych okolicznościach. Pierwsze notatki zrodziły się bowiem z rozmyślań pisarza, w stanie depresji, w celi więziennej w Białołęce 14 lub 15 grudnia 1981 r. Następne pisane były w obozie internowania w Jaworze zimą 1981—1982, końcowe zaś w 1983 r. w Warszawie.

Kto szukać będzie w tej niezwykłej książce wybitnego literata politycznych sensacji — dozna zawodu. Nie była to bowiem w zamyśle autorskim książka polityczna, pretendująca do roli dokumentu. Notatki są przede wszystkim zapisem własnych przeżyć pisarza w okresie stanu wojennego i odnoszą się zarówno do spraw wielkich jak i błahych doniosłych i banalnych.

Autor — jak napisał we wstępie do wydania londyńskiego z 1984 r. żywił nadzieję, że refleksje te okażą się pomocne dla tych wszystkich, którzy poszukują własnej drogi, wyborów na dramatycznych polskich rozstajach po 13 grudnia 1981 r.

Książkowe rarytasy

Dzisiaj, po latach, książka ta trafia do krajowego czytelnika w 120-tysięcznym nakładzie, staraniem Kantoru Wydawniczego SAWW w Poznaniu.

Szlagierem wydawniczym stała się opublikowana pod koniec ubiegłego miesiąca przez „Alfę" książka znanego historyka, Eugeniusza Duraczyńskiego, **„Generał Iwanow zaprasza"**. Zawiera ona **dokumentalny zapis niezwykle bulwersującej sprawy uprowadzenia** w marcu 1945 r. **przez funkcjonariuszy stalinowskiego aparatu bezpieczeństwa**, a następnie **postawienia przed Trybunałem Moskiewskim, szesnastu przywódców polskiego Państwa Podziemnego** na czele z dowódcą AK gen. **Leopoldem Okulickim** i delegatem rządu, wicepremierem Stanisławem Jankowskim.

Intencja autora było — aby nie czekając na udostępnienie **nowych źródeł w Związku Radzieckim i Polsce**, upowszechnić na podstawie materiałów, którymi historyk może dysponować już dziś, wiedzę o sprawie dramatycznej, bez której nie będzie rzetelnej polskiej historii najnowszej.

Jedną z białych plam w naszej krajowej literaturze historycznej były przez długie lata powikłane i niezwykle dramatyczne, najmniej też przez historyków zbadane, **dzieje lwowskiej Armii Krajowej**. Toteż wydarzeniem edytorskim stała się książka **Jerzego Węgierskiego „W lwowskiej Armii Krajowej"**, opublikowana w tych dniach przez **Instytut Wydawniczy PAX**.

Autor, nie będący zawodowym historykiem, od 1968 r. gromadził materiały dotyczące **Obszaru Południowo-Wschodniego ZWZ—AK**. Sam był na tych terenach **komendantem AK Rejonu Winniki. Brał też udział w lwowskiej „Burzy"**. Swoją walkę „okupił" dziesięcioma latami katorgi w stalinowskich łagrach. Jako jeden z nielicznych Polaków **doczekał się nawet wzmianki w książce Aleksandra Solżenicyna „Archipelag GUŁag"**.

JAK

Dni Muzyki Organowej i Oratoryjnej

Przez 5 kolejnych wieczorów (od 25 do 29 września) miłośnicy muzyki organowej i oratoryjnej odwiedzali gościnną dla Polihymnii świątynię ewangelicką. Frekwencja dopisywała, bo też urządzany przez Filharmonię wrześniowy festiwal, związany z kościołem przy ul. Piotrkowskiej naturalnie jeszcze w czasach, gdy funkcjonowała pierwotna siedziba naszej orkiestry, wrósł w kulturalną tradycję miasta i stał się łodzianom potrzebny.

W ostatnich latach rozmiary „muzycznej jesieni" łódzkiej trochę się skurczyły i — jak wspomniałem — ograniczają się do pięciu koncertów. Nie jest to jednak wcale mało, zważywszy na rozmaitość prezentowanych utworów, a zarazem przemyślaną na ogół kompozycję całej imprezy. Ma ona, zgodnie z nazwą, dwa zasadnicze wątki. W tym roku przedstawiono, jak zazwyczaj, organy solo i w zespoleniu z orkiestrą, zaś w warstwie „oratoryjnej" — zademonstrowano wielki, bazujący na rozbudowanym aparacie wykonawczym fresk romantyczny oraz kompozycje chóralne a cappella z epoki renesansu i baroku. Program ułożony został przejrzyście, zgodnie ze swoistą zasadą symetrii. Osią był recital organowy z klamrą — koncerty z udziałem lokalnych filharmoników. Wypełnienie pomiędzy tymi wieczorami stanowiły koncerty kameralne poświęcone muzyce dawnej.

Pierwszego dnia wystąpił organista **Józef Serafin** wraz z orkiestrą pod dyrekcją **Bogdana Olędzkiego**. Wykonany na wstępie orkiestrowy **III Koncert Brandenburski G-dur J.S. Bacha** nie przyniósł jeszcze ciekawszych wrażeń. Smyczkowcy grali jakby od niechcenia, bez szczególnej precyzji. Dopiero towarzysząc soliście powrócili do formy i zespół zabrzmiał lepiej. Podobały się zatem, niemal nieznane u nas koncerty: **F-dur nr 1 F.X. Brixiego** oraz **g-moll na organy, orkiestrę, smyczkową i kotły F. Poulenca**. Ten drugi oddział najsilniej. Mimo że „po Poulencowsku" nieco eklektyczny, jest jednak wartościowy, gdyż znakomity fakturalnie, zmienny w środkach i nastrojach, m. in. zawierający momenty pełne patosu. Chwilami tylko tempa zaproponowane przez dyrygenta okazały się trochę za wolne.

Wieczór drugi wypełnili wokalnymi produkcjami a cappella śpiewacy z **„Affabre Concinui"**. Poznański, kierowany przez **Przemysława Stanisławskiego**, sześcioosobowy ansambl męski przyjechał do Łodzi w składzie zmniejszonym, pięcioosobowym. Oczywiście utwory zostały tak dobrane, że luk harmonicznych nie odczuwało się, brakować mogło co najwyżej tylko silniejszej podstawy basowej. Program obejmował **„Magnificat" Palestriny, „Missa brevis" Pękiela, „Laudes" Poulenca** oraz szereg drobnych, włoskich i angielskich kompozycji z XVI w. Jakąż perfekcję zaprezentowali, wzorując się na **„The King Singers"**, poznaniacy! Bezbłędna intonacja, idealnie zarysowana fraza i przede wszystkim ich cecha wyróżniająca — niezwykle bogata dynamika z arcydelikatnymi pianissimami. Duża klasa!

Dający recital organista **Andrzej Chorosiński** nie zawiódł oczekiwań, jeśli idzie o poziom wykonawczy, ujawniając i tym razem pierwszorzędną technikę oraz sporą wyobraźnię kolorystyczną (dobra registracja). Ale zastrzeżenia mógł budzić niezbyt ciekawy repertuar, oparty głównie o transkrypcje (np. błahe, dokonane przez Chorosińskiego opracowanie **„Dance macabre" Saint-Saensa)**. Najbardziej podobała się chyba wszystkim puenta występu — popisowy finał **Fantazji Liszta „Ad nos ad salutarem undam"**.

Kolejne spotkanie wypełnili muzycy z **„Ars Nova"** — warszawskiego zespołu instrumentów dawnych, którego kierownikiem artystycznym jest **Jacek Urbaniak**. Z grupą współdziałają sopranistka **Henryka Januszewska** i mezzosopranistka **Jadwiga Teresa Stępień**. Częściowo znane już w tej interpretacji bywalcom koncertowym w naszym mieście utwory średniowieczne i renesansowe, hiszpańskie i polskie, zabrzmiały doskonale zarówno w warstwie instrumentalnej jak i wokalnej. Ujmowała świeżość, spontaniczność, niekiedy bliska współczesnemu odbiorcy żywiołowość muzykowania. W niektórych wszakże wypadkach (np. **„Sławnego potomstwa Lechowego" Klabona**) powodowała ta żywiołowość już zbytnią swobodę stylistyczną, ciążącą zanadto w stronę komercjalizacji. Na lutniach nie można przecież wybijać kostką rytmów, jak na elektrycznych gitarach.

Jako zamknięcie prezentacji zaplanowano rzadko wykonywane oratorium **„Paulus" F. Mendelssohna-Bartholdy'ego**. Kapelmistrz **Wojciech Michniewski** nadał dziełu kształt spójny, uwydatniając kontrasty i konsekwentnie wypunktowując kulminacje. Pięknie wypadli orkiestranci (wyborne sola wiolonczelowe **Arkadiusza Włodarczyka**), a także chórzyści, choć dykcja nieraz szwankowała (chorały!). Spośród solistów: **Izabeli Kłosińskiej** — sopran, **Tomasza Zagórskiego** — tenor i **Ryszarda Cieśli** — bas, najmniej przypadł mi do gustu, nie mający dostatecznej głębi i dramatyzmu, głos najniższy. Całość natomiast oddziałała silnym, iście romantycznym wyrazem.

Było to doprawdy udane zakończenie tegorocznych, bynajmniej nie „kryzysowych" Dni Muzyki Organowej i Oratoryjnej. Oby kryzysu i w przyszłości nie było tu widać!

JANUSZ JANYST

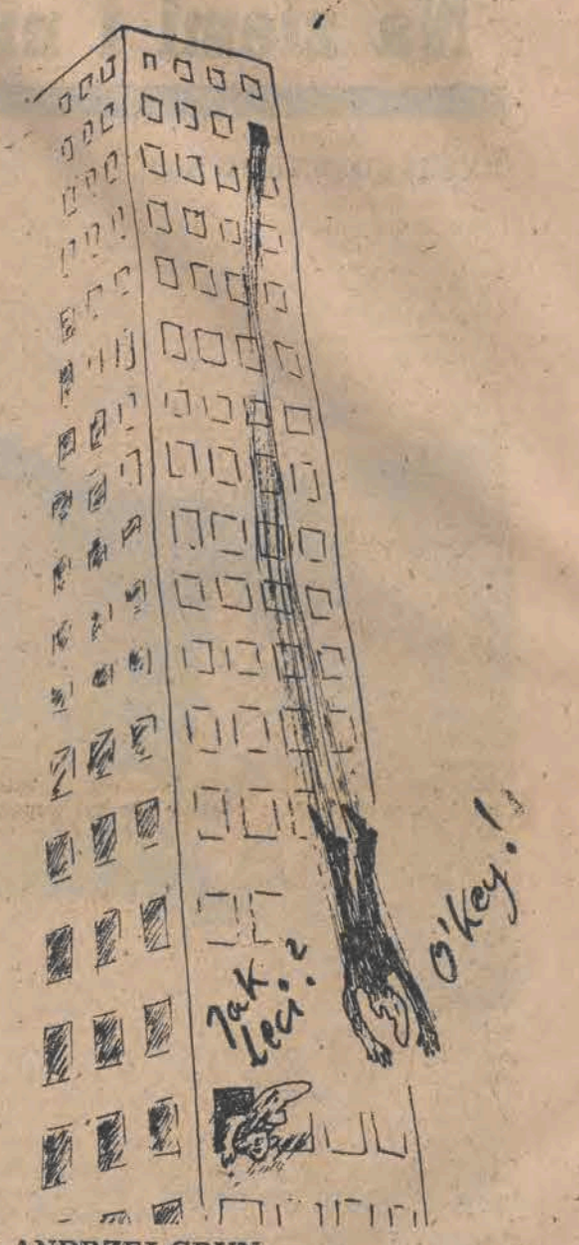

ANDRZEJ GRUN

Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

PANI MINISTER DEKLARUJE

— Sytuacja finansowa jest fatalna, a po rozmowie z premierem Mazowieckim wiem — powiedziała minister kultury i sztuki **Izabella Cywińska** — że nie będzie lepsza. Istnieje jednak w kulturze wiele rezerw prostych, wydaje się np. duże sumy na przedsięwzięcia, z których nic nie wynika, w tym na dziesiątki festiwali, czy budowę teatrów, które nie są w stanie zdobyć widza. Posiadane środki trzeba dzielić lepiej, przeznaczać je na mniej imprez, ale bardzo dobrych, bo biednych nie stać na bylejakość. Nie zamierzam zaczynać od likwidacji np. nierentownych teatrów czy filharmonii nie posiadających pełnej obsady orkiestry, ale jeśli nie poprawią swojej działalności, nie zdobędą sponsorów poza państwem — trzeba będzie takie decyzje podjąć, choć wiem, że są to sprawy bardzo delikatne i że będę musiała wybierać między decyzją złą i gorszą.

Jako szef resortu chciałabym zmienić kierunek działania ministra kultury i jego agend. To ministerstwo podobnie jak i inne było zbyt nadopiekuńcze. — Kierunek tych zamian zapowiada odpowiedź I. Cywińskiej na pytanie dotyczące przepisów w sprawie stawek autorskich: przepisy zostaną zniesione, chciałabym się tymi problemami nie zajmować — płaćcie sobie ile chcecie; autor dostanie tyle od wydawcy, ile będzie dla niego wart, a jeśli mu to nie będzie odpowiadać, poszuka sobie innego.

I. Cywińska zapowiedziała także podjęcie — za pośrednictwem PAN — starań o odzyskanie pozostałej części zbioru Ossolińskich (w zamian za znajdujące się w Polsce obiekty mające znaczenie dla Ukraińców), zajęcie się ratowaniem polskich zbiorów archiwalnych, opiekę nad upowszechnieniem kultury i społecznym ruchem kulturalnym... I. Cywińska zapowiedziała także wspólne z posłami ustalenie i zniesienie przepisów i zarządzeń „urągających nie tylko kulturze, ale i prawu"...

KRAJ WIELKIEJ PRZYSZŁOŚCI

— Z Polską łączą mnie bardzo serdeczne więzy — powiedział **Leonard Bernstein**, dyrygent, kompozytor, pianista i wielki autorytet moralny, podczas ostatniej wizyty w Polsce. — Jako początkującemu dyrygentowi utorował mi debiut w Filharmonii Nowojorskiej mistrz tej miary, co **Artur Rodziński**, którego byłem asystentem; muzyka Chopina i polskie pieśni towarzyszyły mi od dzieciństwa, do kręgu moich najbliższych przyjaciół należał **Artur Rubinstein**. Moje osobiste motywy, a także idea przewodnia koncertu sprawiły, że z radością przyjąłem zaproszenie Telewizji Polskiej. Nie było mi łatwo wygospodarować tych kilku dni, które wcześniej przeznaczyłem na wypoczynek między zajęciami w Stanach Zjednoczonych, m.in. po koncertach z bostońską Orkiestrą Symfoniczną, a występami w Wiedniu, zresztą z udziałem **Krystiana Zimermana**, grającego 5 koncertów Beethovena. Udział w warszawskim koncercie stał się dla mnie wielką sprawą, bo jako obywatel świata, Amerykanin żydowskiego pochodzenia, pragnę szczególnie dobitnie wyrazić potrzebę porozumienia między narodami i rządami, tak niezbędną zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i Izraelu, w Pekinie, Moskwie, Bonn, w każdym zakątku naszego globu. Decyzję o udziale w koncercie podjąłem dawno, a nie pod wpływem ostatnich, nie zawaham się nazwać ich historycznymi, wydarzeń w Polsce. Przemiany te ugruntowały we mnie przeświadczenie sprzed 30 lat, że Polska jest krajem o wielkiej przyszłości...

WYWIEŹLIBY WSZYSTKO...

W kwietniu br. w Urzędzie Celnym w Warszawie ujawniono wysyłane do Izraela liczne judaica. Były to przedmioty wykonane ze srebra o łącznej wadze ok. 14 kg oraz bogato haftowane tkaniny liturgiczne. Przedmioty te, pochodzące najprawdopodobniej z kradzieży, wyceniono wstępnie na ponad 20 mln zł. W tym samym miesiącu w Świnoujściu w samochodzie turysty szwedzkiego znaleziono 7 ikon, 5 obrazów olejnych i 9 zabytkowych przedmiotów z porcelany. Włoski przemysłowiec, który przyleciał do Polski prywatnym samolotem usiłował wywieźć 7 ikon, zabytkową srebrną paterę o wadze 2,6 kg, 3 książki wydane w 1787 r., figurkę z kości słonio-

Jedyny w Europie...

Rozmowa z kontratenorem sopranowym DARIUSZEM PARADOWSKIM.

DARIUSZ PARADOWSKI, jedyny w Polsce i w Europie kontratenor sopranowy, został odkryty dla łódzkiego Teatru Wielkiego i sprowadzony do Łodzi przez dyr. **Sławomira Pietrasa**. Zadebiutował tu wspaniałym recitalem, pokazał swój unikalny głos w roli Cherubina w **„Weselu Figara"** na Galowym wieczorze operowym i w spektaklu. Zadziwił nie tylko możliwościami głosowymi, ale ogromną muzykalnością i talentem aktorskim.

— Jeszcze kończy pan studia wokalne w AM we Wrocławiu, a już śpiewa na scenach operowych Krakowa, Warszawy i Łodzi. A wydawałoby się, że głosy kontratenorowe nie znajdują zastosowania w repertuarze polskich teatrów operowych?

— I ma pan rację, dopiero od 2 lat nastąpił renesans na muzykę dawną, a w związku z tym głos kontratenorowy znalazł zastosowanie. Zostałem zaproszony przez dyr. **Ewę Michnik** do Opery Krakowskiej, gdzie w **„Juliuszu Cezarze"** zaśpiewałem partię Sextusa. Później przyszła propozycja od **dyr. Sutkowskiego** z Warszawskiej Opery Kameralnej, abym wziął udział w wykonaniu wszystkich dzieł Mozarta w partiach męskich przeznaczonych na mój głos. Moją pierwszą rolą będzie Hiacyntus w operze **„Hiacyntus i Apollo"**. Dyr. Sławomir Pietras zaszczycił mnie zaproszeniem do wzięcia udziału w recitalu rozpoczynającym sezon artystyczny, w Galowym wieczorze operowym i w spektaklu **„Wesele Figara"**.

— Jak zdążył pan w tak krótkim czasie przygotować w Łodzi partię Cherubina w „Weselu Figara"?

— Partię tę miałem wcześniej przygotowaną w języku niemieckim i teraz musiałem przeuczyć się jej na język polski i włoski. Nauka trwała dwa tygodnie. Uczyłem się w dzień i w nocy.

— Podobno po Cherubinie wcieli się pan w Romea w operze „Monteki i Capuletti" Bellinie-go?

— Jest to moja wymarzona partia, gdyż od dawna postać Romea była moją fascynacją przede wszystkim czystej miłości. Również muzyka Belliniego to najczystsze bel canto, z którym jako kontratenor chciałbym się zmierzyć.

— To będzie etat czy współpraca z Łodzią?

— Ponieważ jestem jeszcze studentem AM we Wrocławiu (rok dyplomowy), będzie to tylko współpraca, co dalej — pokaże życie.

— Jak znajduje pan Łódź, teatr, publiczność?

— Teatr jest w moim odczuciu najlepszym w Polsce i jednym z najlepszych w Europie. Publiczność bardzo wyrobiona, chociaż ta premierowa może trochę zbyt chłodna. Mogłem tu współpracować ze wspaniałymi artystami i czułem cudowną opiekę dyrektora teatru. W tym dużym mieście czuję się zagubiony, może dlatego, że znam tylko drogę z Domu Aktora do teatru, i odwrotnie.

— Mimo swoich 23 lat śpiewa pan w wielu krajach Europy Zachodniej. Gdzie najmilej witany jest kontratenor sopranowy z Polski?

— Przede wszystkim w RFN, gdzie występowałem kilkakrotnie na scenach operowych, na koncertach oratoryjnych, symfonicznych i z recitalami. Do najcudowniejszych miejsc w RFN zaliczam Zagłębie Ruhry, gdzie jestem szczególnie serdecznie przyjmowany. Występują we Francji, we Włoszech, gdzie publiczność reaguje bardzo spontanicznie i jest mi szalenie życzliwa.

— Największe przeżycie artystyczne za granicą?

— Występ na Festiwalu Papieskim w Watykanie, gdzie zaśpiewałem **„Mszę koronacyjną"** i **„Requiem"** (partie sopranowe) przed papieżem oraz ponowny występ przed papieżem w Polsce podczas jego wizyty (partia sopranowa w **„Te Deum"**).

— Podobno był pan także modelem Mody Polskiej?

— Może nie samej Mody Polskiej, co firm polonijnych, działających na terenie naszego kraju, a mających filie w Europie Zachodniej. Z tą pracą, którą traktowałem jako przygodę wiąże się interesujące przeżycie. Wyciągnąłem z tego wiele nauki dla swojego bycia scenicznego.

— Obecnie kręci pan film fabularny w Austrii, w którym gra rolę aktorską?

— To kolejna przygoda z innym gatunkiem sztuki, którą traktuję bardziej dydaktycznie, rozwojowo...

— Jak daleko sięgają pana plany?

— Moje plany są już w 1992 roku, część mogę zdradzić, są to występy w teatrach operowych RFN: Kolonii, Oberhaussen, o pozostałych nie powiem, aby nie zapeszyć.

— Od czego zależy pełne powodzenie?

— Myślę, że od grama talentu, nauki, która w zasadzie trwa przez całe życie, spotkania na swojej drodze ludzi, którzy będą oddziaływali w sposób kształcący na osobowość artysty oraz... przy odrobinie szczęścia.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

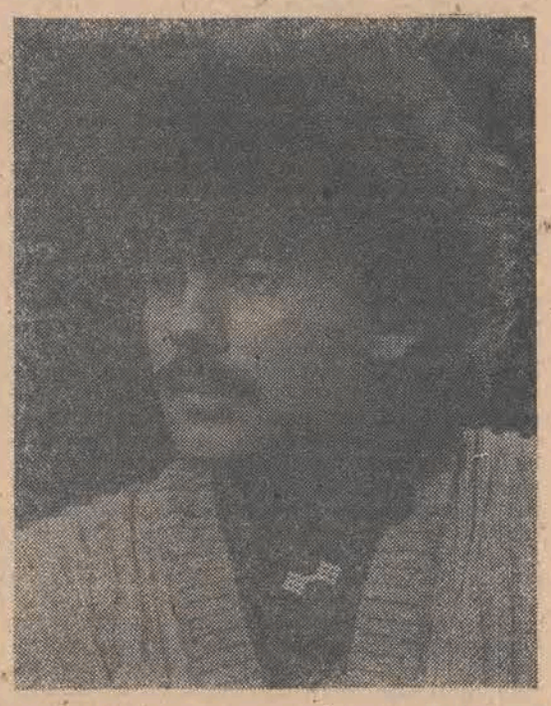

Na zdjęciu: Dariusz Paradowski

Witkacy w USA

Rozmowa z profesorem **Danielem Gerouldem** z Uniwersytetu w Nowym Jorku, witkacologiem, teatrologiem i literaturoznawcą, przeprowadzona w czasie tegorocznych **Zakopiańskich Prezentacji Artystycznych „Inspiracje '89"**, odbywających się z okazji 50 rocznicy tragicznej śmierci **Stanisława Ignacego Witkiewicza**.

— Kiedy i w jakich okolicznościach zetknął się pan z twórczością Witkacego?

— W roku 1965, a więc prawie 25 lat temu. Studiowałem wtedy na uniwersytecie w Los Angeles. Otrzymałem stypendium i propozycję — do wyboru — wyjazdu do kilku krajów Azji i Ameryki Południowej, a także do Polski. Wybrałem Polskę, po obejrzeniu bardzo interesujących filmów waszych reżyserów, które w tym czasie miały bardzo dobry odbiór w Ameryce. Przyjechałem więc, nie znając ani jednego słowa po polsku, nie wiedząc zupełnie nic o polskim teatrze. Dobrze jednak trafiłem. Poznałem ówczesnego redaktora naczelnego **„Dialogu" Adama Tarna** i późniejszego szefa pisma **Konstantego Puzynę**, którzy zarazili mnie wirusem Witkacego. Z Konstantym Puzyną utrzymywałem bardzo przyjazne kontakty i bardzo silnie odczuwam Jego odejście. To był wspaniały człowiek. On namówił mnie, bym spróbował przetłumaczyć **„Wariata i zakonnicę"**, z pomocą kogoś, kto zna język angielski i polski. Miałem akurat takiego kolegę na studiach, pochodził z Warszawy, i przy jego pomocy przełożyłem Witkacego na angielski. Tak to się zaczęło.

— A dziś, okazuje się, najwięcej inscenizacji dramatów Witkacego — bo ponad osiemdziesiąt — zrealizowano w USA właśnie i to w większości za sprawą pana profesora. Jest to zaskakująco duża ilość, więcej niż w jakimkolwiek kraju europejskim.

— Tak, to rzeczywiście dużo, ale trzeba powiedzieć, że wystawiają Witkiewicza teatry uniwersyteckie lub zespoły półzawodowe. Jego sztuki nie mają szans, przynajmniej na razie, trafić na Broadway — i dobrze, bo to nie jest dla nich najodpowiedniejsze miejsce. Krąg odbiorców jest więc ograniczony, ale za to elitarny. Młodej inteligencji amerykańskiej bardzo taki rodzaj teatru odpowiada. Zarówno w formie, jak i treści — metafizycznej, uniwersalnej, ponadnarodowej, za co Witkacy był swego czasu w Polsce przemilczany, zakazany, a nawet tępiony. To znaczy, jego twórczość, bo sam autor już wtedy nie żył. Brak pierwiastków polskości, całkowite zignorowanie i pominięcie spraw narodowych sprawiło, że wystawiono autora i jego dzieło na margines. Podobnie było ze **Stanisławą Przybyszewską**, którą się również zajmuję, bo ona pisała wyłącznie o Rewolucji Francuskiej.

— Którą z dyscyplin uprawianych przez Witkacego uważa pan za najistotniejszą w jego twórczości: malarstwo, dramaturgię, powieściopisarstwo, filozofię, rozprawy teoretyczno-krytyczne?

— Bezwzględnie dramatopisarstwo. Witkacy był przecież, o czym dziś już powszechnie wiadomo, twórcą i prekursorem teatru absurdu i to trzydzieści lat przed **Beckettem i Ionesco**, którzy dokonali rewolucji w teatrze. Wyprzedził o epokę czas teatrów eksperymentalnych, poszukujących. Paradoksem jest fakt, że Witkacy wychodził na świat „po plecach" tych właśnie wymienionych autorów, faktycznie swoich uczniów i następców. Dalej — choć to może pana zdziwi — fotografię. Witkacy jako fotografik był autorem bardzo interesujących i niezwykle oryginalnych zdjęć. Mam album pt. **„Przeciw nicości"**, a z współautorem tej publikacji, **Stefanem Okołowiczem**, znam się dobrze, a nawet przyjaźnię. W następnej kolejności — malarstwo: wspaniałe, niepokojące, kolorystyczne. Filozofię Witkacy traktował bardzo poważnie, choć był w tej dziedzinie samoukiem. Inni filozofowie wyrażali się bardzo pozytywnie o jego teoriach (Ingarden), ale dla mnie nie jest to najważniejszy ton w gamie talentów Witkiewicza.

— Czy Witkacy zajmuje w pana pracy, zainteresowaniach czołowe miejsce?

— Na uniwersytecie muszę realizować program i nie mogę dowolnie wybierać tematów, poświęcając czas tylko jemu. Ale wśród rozlicznych zainteresowań prywatnych jest on absolutnie na pierwszym miejscu.

— Mówi pan świetnie po polsku. Przyczyniła się do tego, z pewnością, żona Jadwiga?

— Dziękuję. Języka polskiego uczyłem się na Witkacym. A żona rzeczywiście jest Polką. Przyjechała na stałe do USA w 1970 r. Przedtem pracowała w PAN. W domu mówimy i po polsku i po angielsku. Codzienny kontakt z polską mową jest rodzajem treningu i pozwala mi na utrzymanie dobrej formy językowej. Poza tym, cały czas pracuję nad tłumaczeniami polskich autorów „marginesowych", z różnych powodów mało w Polsce znanych, jak **Tadeusz Miciński**, czy wspomniana już Stanisława Przybyszewska. I w tej pracy żona jest mi bardzo pomocna.

Rozmawiał:
MAREK KOPROWSKI

Kronika

ŁÓDZKA REALIZACJA SŁYNNYCH „DIABŁÓW Z LOUDUN" Krzysztofa Pendereckiego — jak poinformował prasę dyrektor TW **Sławomir Pietras** — dojdzie do skutku w kwietniu przyszłego roku na deskach łódzkiej opery.

Przedstawienie — w polskiej wersji językowej (na co kompozytor kilka dni temu wyraził ostatecznie zgodę) — reżyserować będzie **Marek Grzesiński**, zaś kierownictwo muzyczne spoczywa w rękach **Andrzeja Straszyńskiego**.

Szykuje się więc w naszym mieście, z czego ogromnie się cieszymy, wydarzenie artystyczne „nad wydarzeniami".

Z UDZIAŁEM ULUBIEŃCÓW PUBLICZNOŚCI, Joanny Trzepiecińskiej i Krzysztofa Kolbergera, zainaugurowane zostały 9 bm. w kinie **ŁDK „Łódzkie Warsztaty Filmowe"** — cykl spotkań nazwanych przez organizatorów **„Za co kochamy aktorów"**.

Gościem honorowym tej nowej atrakcyjnej imprezy — zorganizowanej na wzór słynnych już w kraju warsztatów operowych TW — był dyrektor łódzkiego Teatru Wielkiego **Sławomir Pietras**.

Spotkanie prowadziła **red. Małgorzata Karbowiak**.

W KINIE ŁDK, 13 bm., odbędzie się pokaz promocyjny filmu **Jerzego Kawalerowicza „Jeniec Europy"**. Wezmą w nim udział twórcy filmowej adaptacji głośnej książki Juliusza Dankowskiego.

To bardzo ciekawie zapowiadające się spotkanie z widzami poprowadzi **red. Małgorzata Dipont z „Życia Warszawy"**.

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH W ŁODZI zaprasza wszystkich miłośników twórczości plastycznej na otwartą 5 bm. w Ośrodku Propagandy Sztuki (park im. Henryka Siekiewicza) wystawę pn. **„Łódź — Stuttgart. Przyjaciele kwadratu z kręgu Antona Stankowskiego.**

WYDARZENIEM ARTYSTYCZNYM w naszym mieście z dziedziny plastyki, które powinno spotkać się z żywym oddźwiękiem, będzie otwarcie 13 bm. w **Salonie Sztuki Współczesnej BWA** (ul. Piotrkowska 88) **wernisażu pn. „Łódź Kaliska. Manifesty"** (10 lat na linii nieporozumień **Łódź Kaliska — społeczeństwo**).

Zachęcamy do obejrzenia tej niecodziennej ekspozycji.

W ŁÓDZKIEJ GALERII SZTUKI BWA (ul. Wólczańska 31) 19 października br. otwarta zostanie wystawa malarstwa **Józefa Wasiołka**.

Ekspozycja przygotowana została z okazji przypadającego w tym roku **jubileuszu 30-lecia pracy artystycznej tego oryginalnego twórcy.**

IMPREZĘ PN. „DNI MUZYKI I TAŃCA" zorganizował od 2 do 5 października br. **Dzielnicowy Dom Kultury Łódź-Górna** (ul. Siedlecka 1).

Na bogaty program złożyły się m.in. **występy laureatów konkursów piosenkarskich, turniej tańca towarzyskiego, recital Andrzeja Rosiewicza.**

W ŁÓDZKIM MUZEUM ARCHEOLOGICZNYM I ETNOGRAFICZNYM 10 bm. otwarta została wystawa **„Biskupin — gród nad jeziorem"**. Eksponaty pochodzą ze zbiorów **Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie.**

Polecamy ją szczególnie młodzieży.

W DNIU 26 PAŹDZIERNIKA BR. rozpocznie się w Warszawie **XXXI Jazz Jamboree'89** — międzynarodowy festiwal klasycznego i nowoczesnego jazzu. Zapowiada się on w tym roku niezwykle atrakcyjnie. **Wystąpią m.in. legendarne zespoły: The Modern Jazz Quartet** (zapoczątkował tzw. „trzeci nurt" lat sześćdziesiątych i „New Age").

Z niecierpliwością oczekiwany też będzie występ **Michaela Breckera — jednego z ojców chrzestnych jazz-rocka**, porywającego saksofonisty tenorowego.

Wśród polskich wykonawców zaprezentują m. in. swój kunszt: **kwartet Zbigniewa Namysłowskiego** (z towarzyszącą mu czarnoskórą wokalistką amerykańską mieszkającą w Holandii, **Deborah Brown**), **Adam Makowicz** i **Tomasz Stańko**. Gościnnie wystąpi **Urszula Dudziak z zespołem Walk Away.**

ZACHĘCAMY DO LEKTURY lipcowego numeru „Literatury" — ukazał się w tych dniach z dwumiesięcznym poślizgiem — która rozpoczyna **druk fragmentów nowej powieści Anatolija Rybakowa pt. „Trzydziesty piąty i następne lata"**. Na jej kartach można śledzić dalsze, frapujące losy bohaterów głośnych „Dzieci Arbatu", na które pada złowrogi cień Stalina.

HITEM NAD HITAMI NA AUKCJI zorganizowanej 8 bm., w warszawskim KMPiK „Nowy Świat" przez Polski Dom Aukcyjny był XIX-wieczny serwis z chińskiej porcelany (cena wywoławcza 15 mln złotych). Licytowano się zawzięcie... „Poszedł" spod młotka ostatecznie za bagatela, 21,5 mln złotych.

Ciekawe, iż mimo mody na judaica, nie znalazły tym razem nabywców: Tora z XIX w., 41-metrowa (cena wywoławcza 3 mln złotych), lampka chanukowa z brązu, wycenione na taką samą sumę, korona na Torę (srebro, XIX—XX w., oszacowana na 25 mln złotych).

W DNIACH 28.X.—4 XI. BR. ODBĘDĄ SIĘ W ŁODZI Ogólnopolskie Dni Kultury Greckiej. Zainauguruje je koncert galowy muzyki greckiej, z udziałem solistów Opery Ateńskiej, w Teatrze Wielkim (28 bm. godz. 19).

Z przewidzianych ciekawszych imprez odnotujmy: **festiwal filmów greckich** (otwarcie 29.X. w kinie ŁDK, godz. 19), **przegląd filmów krótkometrażowych o Grecji** (29.X. i 5.XI. — Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne), **wieczór autorski Nikosa Chadzinikolau** (29.X., ŁDK, godz. 19), **giełda greckich płyt, plakatów, książek i widokówek** (5 XI., SDK „Relaks", ul. Rydzowa 5, godz. 10).

EKSPEDYCJA ŁÓDZKICH ARCHEOLOGÓW, kierowana przez dr Krzysztofa Cyrka z Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi, odnalazła na terenie jaskini w Kruczej Skale (Kostków — w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej) róg z wizerunkiem kozicy, pochodzący sprzed 30 tys. lat. Odkrycie ma sensacyjny charakter, albowiem jest to pierwsze tego typu znalezisko w Polsce.

Opracował: JAK

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

wej oraz współczesną złotą bransoletę i naszyjnik.

Innym przykładem jest polski dyplomata akredytowany przy RWPG, który kupował od radzieckich handlarzy zabytkowe przedmioty i przywoził je do Polski dla dwóch obywateli Berlina Zachodniego. Transport wzbogacany polskimi antykami wywożony był za granicę przez dyplomatów państw afrykańskich. Chęć szybkiego wzbogacenia się potrafi zawładnąć także umysłem osób, które powinny być szczególnie uczulone na grabież dóbr kultury. Historyk sztuki, kierowniczka sklepu „Desa" wywoziła do RFN obraz malowany w XVI w. przedstawiający **„Pokłon pasterzy"**, będący dobrem kultury narodowej nieoszacowanej wartości. Celnicy Portu Lotniczego w Warszawie w bagażu polskiej lekarki znaleźli talery miśnieńskie pochodzące z **„Serwisu łabędziego" króla Augusta II Mocnego**, wartości wg. zachodnich cen aukcyjnych przekraczającej 20 tys. dolarów USA.

Próby przemytu dzieł sztuki podejmują turyści polscy i zagraniczni, profesjonaliści i przypadkowi handlarze, którzy marzą o „interesie życia". Wśród celników panuje opinia, iż gdyby nie kontrole celne i strach przed konsekwencjami, to wywiezione z kraju zostałoby dosłownie wszystko...

WYPRZEDZIŁ WIELU

Nakładem Wydawnictwa **„Alfa"** ukazała się głośna książka **Jewgienija Zamiatina „My"**. Napisana została w 1920 roku, ale w ZSRR nie mogła się ukazać. Pisarz zmuszony był udać się na emigrację. „My" jest przerażającą wizją społeczeństwa przyszłości — ponumerowanego, podciągniętego pod jedną kreskę, pozbawionego wolności, społeczeństwa, w którym człowieka zrównano do zera. Zamiatin wyprzedził w tej powieści **Huxleya („Nowy wspaniały świat")** i **Orwella („1984")**. Warto zdobyć i przeczytać.

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Edward Stachura „Postscriptum" — Kurpisz i Pogonowski Sp. z o.o., Warszawa 1989 — 2000 zł (cena nominalna 1500 zł); **Jerzy Drewnowski „Cynga. Wspomnienia z łagrów Północy"** (MON 1989) — 3000 zł (cena nominalna 1500 zł); **Rudolf Drossler „Mosty w przeszłość. Archeologiczne sensacje ostatnich lat"** (Śląsk 1989) — 2500 zł (cena nominalna 950 zł); **Eugeniusz Duraczyński „Generał Iwanow zaprasza. Przywódcy podziemnego państwa polskiego przed sądem moskiewskim"** („Alfa" 1989) — 3000 zł; **„My deportowani" (Czapski, Grubiński, Herling-Grudziński, Krakowiecki, Obertyńska, Umiastkowski)** („Alfa" 1989) — 3000 zł (cena nominalna 1600 zł); **„Wrzesień 1939 w relacjach i wspomnieniach"** (MON 1989) — 8000 zł (cena nominalna 5000 zł); **Melchior Wańkowicz „Monte Cassino"** („PAX" 1989) — 12000 zł (cena nominalna 6000 zł); **Maria Rodziewiczówna „Błękitni"** („Alfa" 1989) — 4000 zł (cena nominalna 2200 zł); **„Encyklopedia Popularna PWN"** (wyd. XVIII) — 90000 (cena nominalna 30000 zł); **Antoni Czubiński, Jerzy Topolski „Historia Polski"** (Ossolineum 1989, wyd. II — 20000 zł (cena nominalna 4700 zł); **Książka adresowa m. Łodzi (1937—1939 r.)** — 100000 zł; **Daniel Wyszogrodzki „Satysfakcja"** (**„Historia zespołu The Rolling Stones"**. Biografie niezwykłe, Wydawnictwo Łódzkie 1989 — 6000 zł; **„Europa. Atlas samochodowy"** — 15000—30000 zł (cena nominalna 8000 zł); **Wilhelm Fraenger „Bosch"** — 120000—150000 zł (cena nominalna 30000 zł);

Galeria pisarzy

STANISŁAW KASZYŃSKI

Rys. Sławomir Arabski

Kim był Herman?

Afrodyta zginęła na mojej piersi

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Afrodyta siedziała przy barze w hieratycznym pokoju, do którego wpuszczano jedynie osoby noszące mięsożerną, skórzaną odzież. Była wysoką, postawną, i dystyngowaną kobietą, bił od niej niespotykany w takich miejscach spokój, jakiś charyzmatyczny wewnętrzny ład duchowy, cechujący osobowość silną, zdyscyplinowaną i wyciosaną jak w kamieniu raz na zawsze, niezmienną. Nosiła ciemne okulary i miała na głowie starannie przewiązaną czarną, połyskliwą chustę, ale to wszystko zauważyłem dopiero później. W zgrabnych wężowych bucikach dostrzegłem bowiem najślicznieisze, najbardziej powabne stopy, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Nie nosiła pończoch, nałożyła na gołe ciało tylko wąskie, obcisłe spodnie, lubieżnie opinające kształtne łydki. Nie mogłem od nich oderwać wzroku. Dopiero po chwili ośmieliłem się otaksować spojrzeniem resztę jej boskiej osoby. W czarnej, nabijanej ćwiekami skórzanej kurtce wyglądała jak hiperrealistyczna rzeźba, narkotyczny posąg z muzeum figur woskowych Porozumieliśmy się bez słów, i choć nie mogłem zobaczyć jej oczu, przysłoniętych taflą dymnych szkieł, w których bawiły się skocznie srebrne światła, wydało mi się, że lekko skinęła głową i w sekundę byłem przy niej. Wypiliśmy szybko po kilka szklaneczek ginu.

Nie odpowiadała na moje pytania, uśmiechała się tylko z zażenowaniem jakimś smutnym, barowo tanim uśmiechem. Wreszcie udało mi się wydusić z niej kilka zniekształconych słów, i przeraziłem się, mimo kolejnej porcji alkoholu, już bez wody, bo przyszło mi do skołatanej głowy, że to jakaś cholerna niedojda, niemowa albo transwestyta przechodzący mutację, ale ona była Greczynką i nie mogła się bawić moimi słowami, więc tokowałem ja, plotłem, co mi ślina na język przyniosła, upajałem się własnym głosem, bryzgałem komplementami, z których ona nic nie rozumiała, patrzyłem na jej stopy i wmawiałem sobie, że jestem szczęśliwy, że zdobywam szklaną górę w labiryncie skóry. Pojechaliśmy do niej do hotelu, jej samochodem. Nie miałem się nawet czasu wysikać. A do „Siódmego nieba" już nigdy nie wróciłem.

Pierwszą ważniejszą rzeczą, jaką zrobiłem wtedy po wyjściu z tego przeklętego kibla, było oczywiście zdobycie broni. Jeszcze się porządnie nie umyłem, a już kombinowałem, skąd by tu wytrzasnąć pistolet. Kosztowało mnie to mnóstwo pieniędzy i mnóstwo zachodu, musiałem nawiązać odpowiednie kontakty, odnowić stare znajomości, kłamać, oszukiwać, popaść w poważny konflikt z prawem, a przy tym cały czas zmuszony byłem strzec własnej głowy ze wzmożoną czujnością. Zaciąłem się jednak — marzyłem teraz tylko o jednym — zastrzelić łobuza. W końcu dopiąłem swego, zaopatrzony w siedmiostrzałowy rewolwer i pokaźny zapas naboi nie mieszkając przystąpiłem do zastawiania misternie skonstruowanej pułapki.

Nie doceniłem jednak sprytu Hermana, i nie wziąłem pod uwagę własnej słabości. Powinienem był jednak przypuszczać, że nagła rezygnacja z jakiegokolwiek przebrania, wrzaskliwe ujawnianie własnej tożsamości i ostentacyjnie dobry humor, jakim usiłowałem bulgotać gdzie tylko się dało (w rzeczywistości moje zakorkowane kichy, nigdy chyba nie dokuczały mi dotkliwiej niż wówczas) obudzą podejrzliwość tego bydlaka i dadzą impuls do pracy jego zwyrodniałej mózgownicy. Popełniłem niewybaczalny błąd, który być może jeszcze będzie kosztował mnie życie, zmarnowałem bowiem jedyną, niepowtarzalną okazję działania przez zaskoczenie. Udało mi się, jak wtedy sądziłem, niepostrzeżenie i przebiegle wyprowadzić Hermana w odludne miejsce w dzielnicy rudery, na teren starej, opuszczonej, rozpadającej się fabryki, którą uprzednio dokładnie spenetrowałem i po namyśle wybrałem jako idealną kryjówkę dla kogoś, kto ma właśnie dokonać swej pierwszej w życiu zbrodni.

Szliśmy pieszo. Właściwie to nie widziałem go przez całą drogę, bałem się odwrócić, żeby go nie spłoszyć, ale czułem, byłem pewien, że idzie za mną, jego obecność wyraźnie ciążyła memu sumieniu i mojej głowie, stawała się obrzydliwie materialna i konkretna i stopniowo przesłoniła mi wszystko, odbierając resztki rozsądku. Nie mogłem się mylić. Miałem nad nim, jak oceniałem, jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kroków przewagi, inaczej mówiąc, około minuty. Starałem się być dobrze widoczny przy wejściu do fabryki, rozglądałem się wokoło, jak gdybym chciał jednak ukryć swoją obecność w tym drastycznym i śmiesznie sztucznym krajobrazie, jak gdybym obawiał się ciągle Hermana, z którego pozornie kpiłem sobie w żywe oczy przez kilka ostatnich dni, nie bardzo zresztą wiedziałem, co robię, i nic dziwnego, że z trudem przypominam sobie wydarzenia owego feralnego dnia. Obejrzałem się jeszcze raz i potem wszedłem zdecydowanym krokiem w ciemność, nerwowo wyszarpnąłem broń z kieszeni marynarki, kilkoma susami dopadłem trzech rozwalonych skrzyń, za którymi przygotowałem sobie stanowisko ogniowe.

Odbezpieczyłem rewolwer. Czekałem. Herman pojawił się jak duch, nagle i bezszelestnie. Czekałem przecież na niego, a mimo to na jego widok oblał mnie zimny pot, dygotałem cały ze strachu, miotany wstrętem, nienawiścią i ciekawością. Mierzyłem w głowę, ale chciałem dopuścić go bliżej, wystawić na pewny strzał, zwlekałem więc, czując narastającą wściekłość. Herman ostrożnie postąpił naprzód. Wydaje mi się, że musiałem uśmiechać się do siebie cierpko, z satysfakcją. Ja byłem ukryty w mroku, a jego wysoka sylwetka rysowała się wyraźnie na tle jasno oświetlonego południowym słońcem wejścia. Miałem go na patelni. Był bezbronny jak okaleczona kaczka. Tylko pociągnąć za spust i rozwalić mu ten ropuszy łeb. Odetchnąłem głęboko.

Nie wiem, nie potrafię wytłumaczyć, czemu się zawahałem, przez moment myślałem chyba, że to już koniec, że zaraz uwolnię się od upiornego sadysty, od niewiarygodnej choroby, i bardzo pragnąłem domyśleć tę kwestię do końca. Być może wykonałem jakiś pochopny ruch, może Herman coś usłyszał, może zwietrzył niebezpieczeństwo jak małpa, a może jego gadzie, zimne oczy dostrzegły w głębi mój wyolbrzymiony cień. Kiedy rozległ się strzał, Herman zniknął, tak jak wcześniej się pojawił, bezszelestnie, z szatańską zręcznością rzucił się na ziemię, wyciągając jednocześnie pistolet, moje kule z patetycznym świstem przelatywały mu nad głową. Dobry był, twardy, bystry, istny tygrys. Czołgał się powoli w kierunku bramy, oddał na oślep dwa lub trzy strzały, wreszcie schował się za załomem muru i zostawił mnie tak, bezsilnego, zawstydzonego i jakby zdziwionego, że to już, że takie to proste, a jednak nie udało się, fiasko. Jestem wielkim fiaskiem.

Przesiedziałem tak pewnie z pięć minut, bez ruchu, bez niepokoju, i nawet nie zrezygnowany jak dziecko, któremu odmówiono obiecanej zabawki. Usiłowałem wytłumaczyć sobie (i jemu — przypuszczam, że i on zadaje sobie to samo pytanie, sprawiało mi to jakąś obłąkańczą przyjemność) czemu nie wypaliłem o ułamek sekundy wcześniej. Nie, nie zabiłem nigdy człowieka, nigdy nikogo nie zabiłem, brzydziłem się krwi i bałem się jej, na wojnie byłbym kompanijnym kuchtą, albo trupem, albo jeńcem, byłem zbyt wielkim tchórzem, by móc mordować i demonstrować w ten sposób swoją wątpliwą siłę, nawet w imię Wielkich Liter. Zabójcą, jak każdy tchórz, mógłbym stać się tylko w obronie własnej. Ale Herman dla mnie nie był na szczęście człowiekiem. Był smokiem, który był nienawiścią samą. Zabicie go miało być czymś naturalnym. Nic o nim nie wiedziałem. Był nikim. Nikt. Przypięczętowałbym tylko jego nieistnienie. Jego śmierć nie obrażała moich uczuć, prędzej wstrzymałbym rękę mającą zgładzić muchę, karalucha, mysz. Herman był poza realnością maski i poza litością. Nie mogło być mowy o pomyłce. Pragnąłem go zabić, z całego serca.

Nie zabiłem. Wtedy jeszcze uważałem to za przypadek, zrządzenie niebios, szczęśliwy traf. Zatopiony w rozmyślaniach całkiem zapomniałem, że to ja mam być ofiarą, że to Herman poluje na mnie, że to on mnie ściga i że to on pragnie mnie zabić, nie mniej niż ja jego. Byłem zresztą przekonany, że na moim miejscu nie drgnęłaby mu ręka. Wiedziałem, że jest bezwzględny, chce nasycić się urojoną zemstą i nie przepuściłby takiej okazji.

Przygotowany na najgorsze porzuciłem jałowe spekulacje i pospiesznie opuściłem fabrykę tylnym wyjściem, które wiedziony jakimś szóstym zmysłem wyszukałem sobie przezornie poprzedniego dnia. Hermana nigdzie nie było widać, ale to o niczym nie świadczyło. Drugi raz nie pozwoli się tak łatwo nabrać i wciągnąć w zasadzkę. To był już pojedynek, nie polowanie. Stałem się dla niego groźny, choć wciąż jeszcze posiadał nade mną pewną przewagę. Człowiek. Znów zacząłem się bać.

Jeszcze tego samego dnia wyniosłem się z miasta, kupiłem sobie nową perukę, zgoliłem piracką brodę. Uciekałem, pobity, ale niezłomny. Pakując do ust znienawidzone śliwki i niewybrednie przeklinając cały świat, obmyślałem swój nowy plan, ujmowałem w karby pasma intryg i równoczesności, knułem nowy podstęp. Werbalizowałem nie zagasłą jeszcze przystawalność wariacji.

Dawno, dawno temu próbowałem zgłębić tajemnicę Hermana. Nadaremnie. Nie wiem, kim jest, nie wiem, kim był. Afrodyta nic nie zdążyła mi o nim powiedzieć. Gdyby nie ona, nie poznałbym nawet jego imienia. Na pewno nie był jej mężem — pytałem ją kilka razy, czy jest mężatką, zresztą nie nosiła obrączki, jej reakcja kiedy ujrzała Hermana wtedy, w tamtym pokoju, była jednoznaczna. Przerażenie. Początkowo myślałem, że to jej ojciec, ale na to był zdecydowanie za młody, poza tym w niczym nie tłumaczyłoby to jego zachowania, nie popełniliśmy w końcu nic takiego. Brat?

Czego to ludzie nie wymyślą! Osoby, które w miarę nie istniejących możliwości dyskretnie rozpytywałem o Hermana, twierdziły, że miał siostrę i że był zawodowym wojskowym, od kilku lat stacjonującym gdzieś na prowincji. No, był to jakiś trop. Z trudem, ale udało mi się dopasować jego dziwnie jednowymiarową, żadna krwi osobowość do armijnego drylu. Podobno weteranom z Wietnamu na przykład, patrzącym latami na różne bestialstwa, odbijała czasami szajba, i wtedy zachowywali się wypisz wymaluj jak mój Herman Swego czasu zapełniali tacy luksusowe domy dla obłąkanych. Ale jaki tam Wietnam, do diabła, skoro Afrodyta była Greczynką, a ten facet mógł mieć w tych czasach nie więcej niż piętnaście lat i zamiast palić wioski napalmem czy wydłubywać oczy partyzantom mógł co najwyżej torturować muchy albo brzydko bawić się pod kołdrą w swoim pokoju, w strachu, że związą mu zaraz ręce i dostanie w tyłek.

Zresztą inni informatorzy, równie niepewni i jacyś tacy rozmazani i mgliści, przysięgali na wszystko, że Herman to słynny ogier, ognisty kochanek, maniak seksualny, skazywany kilkakrotnie za gwałty, rozboje i stręczycielstwo, facet ogromnie przeczulony i nadwrażliwy. Do jego ulubionych rozrywek miała ponoć należeć kopulacja z trupem, któremu przed rozpoczęciem miłosnego aktu Herman obowiązkowo obcinał głowę nieodłączną siekierą. Ale to także były ponure urojenia moich rozmówców, choć niewiele brakowało, bym dał wiarę tym bzdurom. Zmuszony byłem opierać się zatem na słowach Afrodyty i obserwacji zachowania Hermana, który chwilami rzeczywiście zdawał się być drugim wcieleniem kata.

Od Hermana, nie muszę dodawać, nie mogłem się niczego dowiedzieć. Ba, nie słyszałem nawet nigdy jego głosu. Przez cały ten czas nie wypowiedział przy mnie ani jednego słowa, nie wydał żadnego sensownego dźwięku, a spotykaliśmy się przecież, jakby nie liczyć, dość często, jak przyjaciele czy co. Żeby tak chociaż kichnął, beknął, chrząknął — nic, nawet nie sapał, jakby w ogóle nie oddychał, ale przecież kiedy drugi raz wyszedł mi na strzał, na strychu starej kamienicy, stał ode mnie w odległości najwyżej dziesięciu kroków, przed chwilą wbiegł pędem na szóste piętro, widziałem jego olbrzymie piersi, rozdęte pod przepoconą czerwoną koszulką, poruszające się gwałtownie niczym skrzela zdychającej na brzegu ryby. Widziałem, że jest czerwony jak poparzony rak, a mimo to nie udało mi się usłyszeć najlżejszego szmeru, szelestu, powietrze znikało w nim jak królik w cylindrze magika, a Herman pochłaniał wszystko, monstrualny, perfekcyjny tłumik, bezcielesna gąśnica ziemia. Tak mnie to zdumiało, że i tym razem nie pociągnął w porę za cyngiel.

Patrzyliśmy na siebie długo, bardzo długo, bez końca. On — zaskoczony, zdezorientowany, zdyszany, lecz milczący i bezgłośny, ja — zaintrygowany tą nienaturalną ciszą, syczałem jak przekłuty balonik, burczenie w brzuchu słychać było na odległość, usiłowałem coś powiedzieć, ale udało mi się wydobyć z krtani jakiś zwierzęcy skrzek. Nasze oczy zderzyły się na kilka sekund. Wpatrywałem się w niego, niezdolny do działania, zamiast go raz na zawsze unieszkodliwić. Z tej odległości nie mogłem chybić. Ale było już za późno. Herman w jednej chwili zatrzasnął drzwi od strychu, potem usłyszałem jego wielgachne buciory dudniące po schodach. Przedtem nie zwróciłem na nie uwagi, ale teraz wydały mi się jakby znajome, musiałem je już gdzieś widzieć. Odetchnąłem z ulgą, zły na siebie, ale zarazem zafascynowany, opętany Hermanem, zadowolony, zachwycony wręcz, że będę miał jeszcze okazję zmierzyć się z nim. To była ciekawość, nieodparcie kusząca chęć rozszyfrowania komunikatu, jakim był dla mnie Herman.

Czegóż mógłbym się dowiedzieć, pozbawiając go życia? Odczuwałem ogromny podziw dla niego za jego zawziętość, za ten wariacki, śmiertelny upór, z jakim ścigał mnie, z narażeniem własnego życia przecież, przez tak długi czas. Przyszła mi nawet do głowy idiotyczna myśl, że właściwie zazdroszczę mu, że właściwie w głębi duszy pragnę być taki jak on. Że mógłbym w ten sposób wiele osiągnąć. Że razem moglibyśmy dokonać rzeczy wielkich. Zrobiło mi się żal, że będę musiał go zastrzelić. Nie pozostawił mi innego wyjścia, nie dał mi żadnego wyboru. Albo on, albo ja, ale to żaden wybór. Zwłaszcza dla egoisty. Musiał zginąć, albo ja musiałem żyć, drań nie zrezygnował, był jak maszyna, na tym strychu wypalił do mnie później ze swojej dwururki przez zamknięte drzwi, wywalił pół ściany, mnie już tam oczywiście dawno nie było, za mądry piesek na takie kawały, lata tresury nauczyły mnie rozumu, i kiedy on grzebał w kupie gruzu ja śmiałem się w kułak, ukryty za kominem na dachu sąsiedniego domu, ale śmiałem się cicho, pod wąsem, bo gdyby mnie usłyszał, dobrze strzelał, jak najprawdziwszy weteran z Wietnamu, rozniósłby mnie na strzępy razem z tym całym kominem, i zginąłbym z uśmiechem na ustach, jak goląb na parapecie, odfrunąłbym. Piotruś Pan z nieuleczalną obstrukcją, sztucznymi wąsikami i postępującą sklerozą.

Więc wciąż nie wiedziałem, kim był Herman, mogłem go zdefiniować tylko ujemnie, przez negację, wiedziałem, kim nie był. Nie był złodziejem kieszonkowym, nie był bratem dziewczyny ani jej kochankiem, nie był Murzynem, Eskimosem, nie był detektywem, templariuszem, strażakiem i czort wie jeszcze, kim on tam nie był. A może był wszystkimi tymi osobami i jeszcze kimś więcej. Charakteryzowała go nieugięta wola zniszczenia, i tym musiałem się na razie zadowolić. Należało zabić Hermana, ale coś pchało mnie również ku jego poznaniu, kazało mi zastanawiać się nad nim i rozebrać go na części, sprawdzić, co napędza ten pokraczny mechanizm, jak działają poszczególne tryby, sprężyny, śrubki i tłoki, gdy znajdą się w ruchu. Pragnąłem ujrzeć Hermana martwego, ale martwy Herman z punktu widzenia, by tak rzec, naukowego, nie przedstawiał dla mnie żadnej wartości, tkwiłem w samym środku paskudnego dylematu, dla którego rewolwer i kula pozostawały nadal najskuteczniejszym i definitywnym rozwiązaniem, tyle tylko, że nie było to już rozwiązanie całkowite. Rewolwer to wyjście połowiczne. Konieczne, ale niezbyt oryginalne. Powiedzieć można, prymitywne.

Kiedy weszliśmy na górę, zaproponowałem jej wermut, a sobie zamówiłem wódkę. Byłem porządnie wyposzczony, więc przełknąwszy gorączkowo łyk alkoholu natychmiast rzuciłem się na nią i zacząłem ją całować. Ku memu zdziwieniu próbowała się nieśmiało bronić, robiła to z takim wdziękiem, że poczułem się jakoś nieswojo, jak gdybym usiłował zgwałcić maleńką sarenkę, zwabioną podstępnie do mrocznej nory nigdy nie sytego grzechu sodomity. Afrodyta nie wydawała mi się zawstydzona, choć siedziała teraz niekompletnie ubrana na kanapie poprawiając zmierzwione włosy i drażniąc mnie niewymownie swym lśniącym, jaszczurczo zwinnym ciałem, popijała drinka i nie uczyniła najmniejszego ruchu, żeby odebrać swoją koszulkę, którą niezdecydowanie trzymałem w ręce. Zapytałem, o co chodzi. Nigdy nie szkoda słów. Rozmowa była dość trudna, Afrodyta z konieczności odpowiadała głównie na migi albo półsłówkami, tak, nie, ale udało mi się dowiedzieć, że skończyła dwadzieścia dwie wiosny, że nie jestem odpychający i że ona nie czuje się bynajmniej obrażona. Nie miała naturalnie pojęcia, bo i skąd, że w barze panowały takie obyczaje. Nie wiedziała, że wychodząc ze mną zostaje skazana na moje towarzystwo. Często chodzi właśnie tak ubrana, nie obchodzi ją, co robią inni, wcale nie szykowała się specjalnie na dzisiejszy wieczór, o klubie słyszała kiedyś od przyjaciół, przechodziła przypadkiem, weszła na szklaneczkę wina i posłuchać muzyki, zobaczyć z bliska tuziemców, miała właśnie wychodzić, przyszła z przyjaciółką. Byłem pewien, że kłamie, Dlaczego przyjechała ze mną?" Wzruszyła bezradnie ramionami. — Pewnie czuła się samotna — pomyślałem, i sąd ten począł mnie wyraźnie bawić.

Jakaś rozpieszczona marzycielka. Ale jej drobne pęciny, śniade stopy i odsłonięte kostki nie dawały mi spokoju. Prócz tego była odważna, pewna siebie, zupełnie nieskrępowana, choć obca. Podobało mi się to wyjątkowo. Poczułem do niej jakąś solidarną sympatię, ujęła mnie całkowicie mądrym niewymuszeniem, nie było w niej ani śladu udawanego demonizmu czy zamaskowanej wulgarności. Albo niedopieszczona nauczycielka. Czarnego kota zakopać na rozstajach dróg. Magiczne przeklęcie wypowiedzieć. Kochanka strojem zwabić.

— Skoro już tu jesteś.

Teraz wiesz już wszystko. Wykonałem nieokreślony gest ręką. Chwila ciszy.

— Nie lubię mężczyzn — powiedziała z wysiłkiem. — Ale możemy spróbować.

Uśmiechnęła się, spodnie pasożytniczo przylegały do jej ciała. Jesteś taki niezwykły. Pamiętam doskonale to jedno, użyła właśnie tego, oryginalnego w jej obcych ustach słowa. A może w ustach rosną jej włosy. Ale powiedziała wszystko takim tonem, jak gdyby chodziło o wypicie wyjątkowo niesmacznego lekarstwa. Ja nie zważałem już na nic. Radowałem się szczerze z tej podartej przygody, a jej zmarnowanie wydawałoby mi się niemal niegodziwością, wobec samego siebie. Miała elokwentnie gładką skórę, niczym wysmarowany olejem marmur. Chwilami sprawiała wrażenie nieporadnej, jakby zagubionej, nieobecnej. Potem skuliła się, zwinęła w kłębek jak kotka, dostępna, przemawiająca świeżością, pokorą, krzywda. Nie czułem zmęczenia, ona nic nie mówiła, ale domyślałem się ze smutkiem, że wolałaby już spać, nie chciałem sprawiać jej więcej przykrości, więc łagodnie okryłem ją kołdrą, otoczyłem granicą, pogrążyłem na powrót w piankowej kąpieli sprzed lat.

Rozległ się nieprzyjemny trzask wyważanych drzwi.

— Herman! — krzyknęła histerycznie, zrywając się z łóżka. Widziałem jej wykrzywioną przerażeniem twarz, wilgotne, rozszerzone oczy jak dwa porażone paraliżem robaki. Zobaczyłem, że jest brzydka. Po pokoju rozszedł się nagle zaśliniony, zgniły zapach. — Ze strachu — pomyślałem, obudził się we mnie nieprzeparty niesmak, wyjaśniałem sobie pospiesznie, że ja też się boję. Do dziś się boję. Nic nie rozumiałem.

Kiedy przez rozwalone drzwi wszedł on, wydał mi się groteskowy. Nie wyglądał groźnie. Wysoki, szczupły, opanowany, w kraciastej marynarce, sportowej koszuli. Afrodyta krzyczała cały czas. Człowiek, którego nazwała Hermanem, sięgnął zdecydowanym ruchem pod połę swej marynarki. Byłem śmieszny. Rzuciłem w niego budzikiem, stojącym na nocnym stoliku, i ciągle jeszcze nie mogłem pojąć, jak coś podobnego może przytrafić się urodziwej dumie. Istocie z papieru. Budzik odbił się jałowo od ściany. Zamrugałem powiekami. Herman mierzył do mnie z gigantycznego olbrzyma, na Afrodytę zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi, ona rzuciła się na mnie z okropnym wrzaskiem. Herman wygarnął z obu luf, zrobiło mi się ciepło, ujrzałem rozbite na pulpę kawały amarantowego mięsa, pokój był cały zbryzgany krwią, a wszystko to bez jednego jęku, bez bólu, cierpiała bardziej kochając się ze mną aniżeli teraz, w chwili śmierci. Wyglądała tak, jakby rozerwał się pod nią granat. Płuca miała wywalone na wierzch, pękały pęcherzyki powietrza, z wnętrzności wypływały kawałki niestrawionego jedzenia, no i ten smród, ona jest jednak potworna, jak można coś takiego.

Herman metodycznie ładował broń, był niewzruszony. Wyjątek sprawił, że miałem zginąć o kilkanaście kropli wody później niż przewidziano. Śmierć Afrodyty nie zrobiła na Hermanie żadnego wrażenia. Wyskoczyłem z łóżka, z abominacją odpychając ciało dziewczyny, otworzyłem okno. Herman runął na mnie jak taran, nagle, usiłował mnie schwycić włochatymi łapami, źle obliczył krok, poślizgnął się na pokrytej krwią, wystervilizowanej, zużytej prezerwatywie, upadł ciężko na podłogę, rozsypując naboje, przez okno wydostałem się na zewnątrz po schodach przeciwpożarowych, biegłem przez wyludnione ulice, dławiąc się wymiocinami i przerażeniem. W ten sposób poznałem Hermana. Nie było żadnej przyczyny, nie było splamienia, zmazy, występku. Tylko człowiek i człowiek. Nie wiem, skąd wziął prawo zabijania drobiazgów, miażdżenia zwyczajności, wyklinania prędkich improwizacji. Był moim wrogiem, nieuchwytnym, bez powodu, bez ceremonialnego stroju, bez kamuflażu. A ja uciekam, spryskany rytualną krwią, pokryty kurzem i pyłem, w ciemnych okularach, żałosnej peruce. Uciekam, nie wiedząc dokąd i nie wiedząc przed kim. Chcę przestać. Przestałem i nie przestałem. Nie mogę przestać. Koniec to śmierć. Moja lub jego, ale śmierć. To koniec.

Fragment powieści pt. „Lizabójca, czyli zabawy barbarzyńców" przygotowywanej do druku w Wydawnictwie Łódzkim.

Obnażyła się całkowicie i Bahlul wpadł w ekstazę na widok piękna i doskonałości jej kształtów...

Jak błazen Bahlul wykorzystał żonę wezyra

SIDI MOHAMMED EL NEFZAUI

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Opowiadają, że żył kiedyś król imieniem Mamun, miał on błazna zwanego Bahlulem, który zabawiał książęta i wezyrów.

Pewnego dnia błazen ten zjawił się przed Mamunem, który oddawał się rozrywkom. Król kazał mu usiąść, a gdy usiadł przed nim, powiedział do niego, odwracając głowę:

— Dlaczego przyszedłeś, synu rozpustnicy?

Bahlul odpowiedział mu:

— Przyszedłem, by dowiedzieć się, co przydarzyło się naszemu panu (niech Allach uczyni go zwycięskim).

— A co przydarzyło się tobie? — odpowiedział król — *i jak się sprawujesz z nową i starą żoną?* — Albowiem Bahlul, nie zadowalając się pierwszą żoną, poślubił drugą.

— Nie jestem szczęśliwy, nasz władco — powiedział — *ani ze starą, ani z nową; ponadto przygniata mnie ubóstwo.*

Król powiedział mu:

— Czy możesz mi wyrecytować kilka wierszy na ten temat?

Gdy błazen odpowiedział twierdząco, Mamun kazał mu to uczynić.

Bahlul zaczął więc tak słowami poezji:

Na skutek mojej niewiedzy
poślubiłem dwie kobiety.
I na cóż się uskarżasz, mężu
dwóch żon?
Mówiłem sobie: „Będę między
nimi obiema jako darzony
względami baranek,
Będę baraszkował na piersiach
moich dwóch owieczek".
A jestem niczym owieczka
między dwiema sukami szakala.
Dni następują po dniach, nocę po nocach
A ich jarzmo uciska mnie tak
samo podczas dni i podczas nocy.
Jeżeli jestem miły dla jednej,
druga unosi się gniewem:
I tak nie mogę uniknąć tych
dwóch furii.
Jeżeli nie możesz, weź tylko
szlachetny, z wolnym sercem
I otwartymi rękami, pozostań
kawalerem:
Jeżeli nie możesz ueź tylko
jedną żonę:
Ponieważ jedna kobieta może
zadowolić dwie armię.

Gdy Mamun usłyszał te słowa, zaczął się tak śmiać, że omal nie przewrócił się do tyłu. Potem chcąc okazać Bahlulowi dowód swojej dobroci, ofiarował mu swoją zdobioną złotem szatę, najpiękniejszy ze strojów.

Bahlul odszedł w radosnym nastroju, kierując się w stronę pałacu wielkiego wezyra. Zdarzyło się wówczas, że Hamduna z wysokości swojego pałacu zwróciła swoje spojrzenie w jego stronę i spostrzegła go. Powiedziała do swojej Murzynki.

— Na Allacha ze świątyni w Mekce! Oto Bahlul wystrojony w piękną złoconą szatę. Jakim podstępem mogłabym się posłużyć, by ją pozyskać?

Murzynka powiedziała do niej:

— O moja pani, nie uda ci się wziąć tej szaty.

Hamduna jej odpowiedziała:

— Wymyślłam pewien fortel i zabiorę mu szatę.

— Bahlul to człowiek chytry — odparła Murzynka. *— Wszyscy sądzą, że wyśmiewają się z niego, a na Allacha to on kpi z innych. Porzuć swój zamiar, moja pani, żebyś sama nie wpadła w pułapkę którą przygotujesz dla niego.*

Lecz Hamduna wysłała Murzynkę do Bahlula, by mu powiedziała, że wzywa go do siebie.

Hamduna pozdrowiła go i powiedziała:

— Wierzę, Bahlul, że przyszedłeś tutaj, by posłuchać mego śpiewu.

— Z pewnością, moja pani — odpowiedział, gdyż miała ona cudowny talent do śpiewania.

Potem dodała:

— Wierzę także, że po wysłuchaniu moich pieśni zgodzisz się coś zjeść.

— Tak — odpowiedział.

Zaczęła więc śpiewać w tak cudowny sposób, że wszyscy, którzy by ją usłyszeli, umarliby z miłości. Gdy Bahlul wysłuchał jej pieśni, kazała mu podać przekąski, a on zjadł i wypił. Następnie powiedziała do niego:

— Nie wiem, dlaczego wyobrażam sobie, że pozbędziesz się chętnie swojej szaty, by mi ją ofiarować.

— O moja pani, przysiągłem sobie, że oddam ją tylko osobie, której uczynię to, co mężczyzna czyni kobiecie.

— Co takiego? Czy ty wiesz, Bahlul, co to jest? — zapytała.

— Jakże miałbym nie wiedzieć — rzekł. *— Ja, który pouczam o tym boskie stworzenia! To ja łączę je w miłosne pary, wykładam, jakich przyjemności doznaje kobieta, jak trzeba ją pieścić, co ją podnieca i co zadowala. O moja pani! Któż lepiej ode mnie zna sztukę kobiecego spółkowania.*

Hamduna była córką Mamuna i żoną wielkiego wezyra. Odznaczała się najdoskonalszą urodą: zadziwiała swoją figurą i harmonią kształtów. Nikt na świecie w tych czasach nie przewyższał jej wdziękiem, świetnością i doskonałością. Bohaterowie, którzy ją ujrzeli, stawali się skromni i potulni, opuszczali wzrok na ziemię, by nie ulec pokusie, do tego stopnia Allach najwyższy nie szczędził jej uroków i doskonałości. Mężczyzna, który zatrzymał na niej swoje spojrzenie, wpadał w zakłopotanie, a iluż to bohaterów naraziło się z jej powodu na niebezpieczeństwo! Bahlul zawsze unikał z nią spotkania z obawy, że nie oprze się pokusie. Sprowadziła go do siebie, chociaż lękając się o swój spokój, nie był u niej jeszcze nigdy i znalazł się tam dopiero teraz.

Bahlul wdał się z nią w rozmowę. To patrzył na nią, to opuszczał wzrok na ziemię w obawie, że nie zapanuje nad namiętnością. Hamduna pałała żądzą posiadania szaty, a on nie chciał ustąpić nie otrzymawszy za nią nagrody. Spytała go:

— Jakiej ceny domagasz się?

Na co odpowiedział:

— Spółkowania, źrenico moich oczu!

— Czy ty to znasz, Bahlul? — powiedziała mu.

— Na Allacha! — wykrzyknął — *nikt nie zna kobiet lepiej ode mnie; to zajęcie mego życia. Nikt nie przestudiował tak jak ja tego, co ich dotyczy. Wiem, co one kochają; bowiem dowiedz się, moja pani, że ludzie na tym świecie oddają się różnym zajęciom stosownie do ich umysłu i poglądów Ten bierze, tamten daje, ten sprzedaje, tamten kupuje. Tylko mnie te sprawy nie pociągają. Jedyną moją myślą jest miłość i posiadanie pięknych kobiet. Leczę te, które cierpią na miłosne choroby, i przynoszę ulgę ich nienasyconym pochwom.*

Hamduna zdziwiła się słowami Bahlula i powabem jego języka. Powiedziała do niego:

— Czy mógłbyś mi wyrecytować kilka wierszy na ten temat?

Odpowiedział jej:

— Z pewnością.

Bahlul zarecytował następujące wiersze:

Ludzie dzielą się według ich
spraw i zajęć:
Jedni są w rozkoszach i
szczęściu, inni we łzach.
Pierwsi wiodą życie niespokojne
i cierpią nędzę,
Drudzy, przeciwnie, są obsypani
względami fortuny,
Powodzeniem bez granic i
wszystkimi szczęśliwościami.
Tylko ja nie przywiązuję
żadnego zainteresowania do tego
wszystkiego.
Cóż mnie obchodzą Turcy,
Arabowie lub Persowie?
Jedyną moją ambicją jest
spółkowanie i miłość kobiet:
co do tego nie ma żadnych
wątpliwości.
Jeśli mój członek nie zetknie
się z niewieścim sromem,
nie mogę wytrzymać,
Moje serce rozpala się ogniem
nieporównanym, ogniem
nieugaszonym,
mnie przeszywające niczym
miecz zemsty.
Pozwól mi wejść w ciebie, nie
odtrącaj mnie!
Niech zbliżę wargi chorego do
napoju zdrowia!
Pośpiesz się, bym zanurzył
moje chciwe spojrzenia w
twoich piersiach!
Nie skąp mi rozkoszy miłości:
podnieś się bez wstydu.
Oddaj mi się, gdyż nigdy nie
przysporzę ci troski,
Nawet gdybyś mnie pokryła
złem od głowy do stóp.
Pozostanę zawsze tym, kim
jestem, a ty tą, kim jesteś.
Nie zapomnę nigdy, że jesteśmy
sługami, a wy paniami, córki
szlachetnych.
Jak miałaby być odkryta nasza
miłość? Będzie ukryta na
zawsze,
Bo jeśli chodzi o tajemnicę,
mam założony kaganiec i jestem
niemy.
z woli Allacha. Przyszło to na
mnie;
Obarczył mnie miłością, a nie
mam dziś szczęścia.

Gdy Hamduna usłyszała te słowa, ogarnęło ją podniecenie i zaczęła się przyglądać członkowi Bahlula sterczącemu między jego nogami jak kolumna. Raz mówiła sobie *„oddam mu się"*, a raz *„nie ustąpię mu"*. W czasie tego wahania poczuła między udami przedsmak przyjemności. Nie mogła już oprzeć się pragnieniu i dodała sobie odwagi, mówiąc do siebie: *„Jeżeli ten Bahlul, zabawiwszy się mną, będzie chciał to rozgłosić, nikt nie da wiary jego słowom"*.

Poprosiła go więc, by zdjął szatę i przeszedł do drugiego pomieszczenia, lecz Bahlul odpowiedział jej:

— Nie pozbędę się jej, dopóki nie zaspokoję swego pożądania, o źrenico moich oczu!

Hamduna wstała więc, wstrząsana oczekiwanym drżeniem rozkoszy, rozwiązała przepaskę i wyszła z pokoju. Bahlul podążył za nią mówiąc sobie: *„Czy jestem całkowicie przebudzony, czy to sen?"*. Poszedł za nią aż do sypialni. Wówczas rzuciła się na pokryte jedwabiem łóżko, którego wierzch był jak wzniesione sklepienie, uniosła suknię na udach, drżąc ze wszystkich sił, i cała piękność, którą obdarzył ją Allach, znalazła się w ramionach Bahlula.

Bahlul podziwiał brzuch Hamduny, krągły jak doskonała kopuła, zatrzymał swoje spojrzenie na pępku podobnym do perły pośrodku złotego pucharu, a gdy opuścił wzrok niżej ujrzał wspaniały stwór i zachwycał się nagością jej białych, świetnie zbudowanych ud. Ściskał Hamdunę namiętnie i ujrzał wkrótce, że ożywienie zniknęło z jej twarzy i wydawała się tracić świadomość. Nie panowała już nad sobą, trzymała w rękach członek Bahlula i podniecała go uciskając.

Bahlul powiedział do niej:

— Dlaczego jesteś tak zakłopotana i wytrącona z równowagi?

Odpowiedziała mu:

— Daj mi spokój, ty synu ladacznicy. Na Allacha! Jestem jak rozgrzana kobyła, a ty jeszcze podniecasz mnie słowami. I to jakimi słowami! Wyprowadziłyby z równowagi każdą kobietę, nawet gdyby była najczystszym stworzeniem na świecie. Chcesz, żebym zginęła przez twoje mowy i twoje wiersze!

Bahlul jej odpowiedział:

— Czyż nie jestem taki jak twój mąż?

— Tak — powiedziała — *lecz kobieta rozgrzewa się z powodu mężczyzny jak kobyła z powodu konia, obojętnie czy to jej mąż, czy ktoś inny, z tą tylko różnicą, że kobyłę koń doprowadza do gorączości jedynie w pewnych okresach roku i tylko wtedy przyjmuje ogiera. Kobietę, przeciwnie, o każdej porze można doprowadzić do gorączości słowami miłości. To właśnie stało się ze mną, śpiesz się jednak, bo zbliża się godzina powrotu mego męża.*

Bahlul jej odpowiedział:

— O pani moja, cierpię na nerki i nie mogę wznieść się na twoją pierś. Wejdź więc ty na mnie i postępuj jak mężczyzna, a później weź szatę i pozwól mi odejść.

Położył się więc w pozycji, którą kobieta przyjmuje zwykle przy stosunku z mężczyzną, a jego laska sterczała między udami niczym kolumna.

Hamduna pochyliła się nad Bahlulem, ujęła jego członek rękami i zaczęła go badać. Podziwiała jego wielkość i wspaniałą budowę, siłę i twardość. Wykrzyknęła:

— Oto zguba wszystkich kobiet i przyczyna tylu nieszczęść. O Bahlul, nigdy nie widziałam piękniejszego członka niż twój!

Bahlul wprowadził swoją laskę do pochwy córki sułtana, a ta opuszczając w tym samym czasie swój zadek na ten przyrząd, sprawiła, że przeniknął cały do jej pieca. Nic nie wystawało na zewnątrz, do tego stopnia, że nie widziała ani nie spostrzegła najmniejszego śladu i mówiła: *„Jak bardzo Allach uczynił kobiety rozpustnymi i niestrudzonymi w czerpaniu rozkoszy"*. Puściła się następnie w miarowy ruch; poruszała pośladkami jak młynek do czyszczenia ziarna: na prawo, na lewo, naprzód i do tyłu. Nigdy na świecie nie było takiego ruchu, jak ten! Rozkosz przyszła im w tym samym czasie i każde wzięło swoją część przyjemności.

Następnie Hamduna chwyciła członek, by go wyjąć, i wyciągnęła go bardzo delikatnie; potem patrząc na niego powiedziała:

— Oto broń walecznego męża!

Wstała.

Bahlul wstał również i chciał odejść, lecz ona powiedziała do niego:

— A szata?

Odpowiedział jej:

— Jak to, o pani! To ty mnie ujeżdżałaś i chcesz jeszcze, bym ci dał podarek!

— Ale czyż nie powiedziałeś — odrzekła — *że nie możesz się położyć na mnie z powodu bólu w nerkach?*

— Nieważne! — powiedział Bahlul. *— Pierwszy raz był dla ciebie, drugi będzie dla mnie. Będzie on ceną szaty i pójdę sobie.*

Hamduna pomyślała sobie: *„Skoro zaczął, niech powtórzy, a potem sobie pójdzie"*.

Z tą myślą położyła się, lecz Bahlul powiedział do niej:

— Nie położę się z tobą, dopóki nie zdejmiesz wszystkiego.

Obnażyła się więc całkowicie i Bahlul wpadł w ekstazę na widok piękna i doskonałości jej kształtów; podziwiał poszczególne części jej ciała. Przypatrywał się, jej wspaniałym udom i krągłemu pępkowi, którego biel dorównywała kości słoniowej, jej brzuchowi sklepionemu jak wytworny łuk, jej klatce piersiowej, pulchnej ze wszystkich stron, na której sterczały majestatycznie piersi podobne do kielichów hiacyntu. Jej szyja była jak szyja gazeli, otwór jej ust jak pierścień, jej usta świeże i czerwone jak zakrwawiona szabla. Jej zęby można było wziąć za perły, a policzki za róże. Jej oczy były czarne, o ładnym zakroju, a hebanowe brwi przypominały zaokrąglony zarys litery n, naszkicowanej ręką pisarza. Co się tyczy jej czoła, to było szerokie jak księżyc w pełni.

Bahlul zaczął ją ściskać, ssać jej wargi, całować szyję, przesuwać usta po policzkach. Kąsał jej piersi, wdychał jej świeżą ślinę i szczypał uda. Czynił to tak długo, aż ujrzał, że zaczyna omdlewać, mogąc ledwo bełkotać z umierającymi oczami. Całował więc jej srom, a ona nie drgnęła nogą ani ręką. Wlepiał miłośnie oczy w organ płciowy Hamduny podobny do białej świątyni, tak piękny, że mógłby zniewolić każdego.

— O pokuso mężczyzn! — wykrzyknął i nie przestawał jej kąsać i całować, aż rozpalił się ogień pożądania. Ona podwoiła westchnienia i szybko sięgnąwszy ręką po członek Bahlula, chwyciła go i wsunęła do pochwy. **Jął poruszać pośladkami, a** ona towarzyszyła mu w tym ruchu z najwyższym zapałem, aż jednoczesna rozkosz uspokoiła ich żar.

Bahlul podniósł się. Chciał odejść, lecz Hamduna powiedziała do niego:

— A gdzie szata? Kpisz ze mnie, Bahlul?

— O moja pani, rozstanę się z nią tylko za jej cenę — odpowiedział.

— Jakaż więc jest jej cena? — wykrzyknęła Hamduna.

Bahlul odpowiedział:

— Ty masz, co ci się należy, i ja tak samo: pierwszy raz był dla ciebie, drugi dla mnie, trzeci będzie za suknię.

Powiedziawszy to zdjął szatę, złożył i wręczył Hamdunie, która ponownie położyła się na łóżku, mówiąc do niego:

— Czyń więc, co chcesz!

Bahlul położył się natychmiast na niej, jednym uderzeniem wprowadził całkowicie członek do jej pochwy, po czym zaczął pracować jak tłuczek, a ona poruszała pośladkami. W końcu wstał i wyszedł pozostawiając szatę.

Murzynka powiedziała do Hamduny:

— O moja pani, czyż nie jest tak, jak ci powiedziałam! Bahlul to zły człowiek i nie mogłaś uzyskać nad nim przewagi. Uczyniono z niego przedmiot kpin, lecz na Allacha, to on kpi sobie z innych. Czemu nie chciałaś mi uwierzyć?

Hamduna zwróciła się do Murzynki i powiedziała:

— Nie męcz mnie twoimi uwagami. Stało się to, co miało się stać, każda pochwa ma wypisane przy swoim otworze imię tego, kto powinien tam wejść, czy jest to rzecz dozwolona, czy zabroniona, miłość czy nienawiść. Gdyby imię Bahlula nie było wypisane na mojej pochwie, nigdy by się tam nie wdarł, ani on, ani nikt inny, bo tak mi przeznaczono we wszechświecie.

Gdy tak rozmawiały, zastukano do drzwi. Murzynka spytała: *„kto tam"* i w odpowiedzi usłyszała głos Bahlula: *„To ja!"* Hamduna przeraziła się, co jeszcze chce uczynić błazen. Murzynka spytała więc Bahlula, czego pragnie, i otrzymała następującą odpowiedź:

— Przynieś mi trochę wody.

Wyszła z domu z kubkiem pełnym wody. Bahlul wypił, a później wypuścił kubek z rąk, który się rozbił. Murzynka zamknęła drzwi, zostawiając na zewnątrz Bahlulą, który usiadł na progu.

Błazen siedział jeszcze przed drzwiami, gdy nadszedł wezyr, mąż Hamduny, który powiedział do niego:

— Czemu cię tutaj widzę, Bahlul?

Ten odpowiedział:

— O mój panie, przechodząc ulicą poczułem wielkie pragnienie. Podeszła do mnie jakaś Murzynka i podała mi kubek wody. Kubek wyślizgnął mi się z rąk i rozbił. Wtedy nasza pani Hamduna, by powetować stratę kubka zabrała mi szatę, którą dał mi sułtan, nasz pan.

Wezyr powiedział natychmiast:

— Należy mu zwrócić szatę!

W tym momencie wyszła Hamduna i mąż spytał ją, czy to prawda, że zabrała złoconą szatę jako zapłatę za kubek. Humduna wykrzyknęła wówczas, załamując dłonie:

— Cóżeś ty narobił, Bahlul?

Ten odpowiedział:

— Mówiłem do twego męża językiem mego szaleństwa, ty przemów do niego językiem twego rozumu.

Zdumiona jego podstępem oddała mu szatę, a on oddalił się.

Przekład:
ZDZISŁAW WRÓBEL

Wideonotes

FILM TV WIDEO

„Ostatni prom"

Kino Łódzkiego Domu Kultury, co jest niewątpliwie zasługą kierownictwa, działa bardzo aktywnie i dynamicznie. Organizuje przeglądy tematyczne i monograficzne (np. filmy z braćmi Marx), prezentuje, niekiedy jako jedyne w Łodzi, filmy znanych i nieznanych reżyserów wypożyczone z ambasad, a ostatnio zaczyna specjalizować się w pokazach promocyjnych najnowszych polskich filmów z udziałem ekip realizatorskich. Po znakomitym „Kornblumenblau" Leszka Wosiewicza, obejrzeliśmy niedawno ostatnie dzieło młodego reżysera **Waldemara Krzystka** pt. **„Ostatni prom"**. Po swoim debiutanckim filmie „W zawieszeniu", zyskał opinię wroga ludu, by miesiąc później otrzymać nagrodę młodych im. Stanisława Wyspiańskiego. Tamten ciekawy i dobrze zrobiony film obejrzało 200 tys. widzów, co nawet na warunki polskie nie jest oszałamiającą liczbą. Zdaniem reżysera, zawiniła zła dystrybucja, co nie jest znów czymś niezwykłym w naszych realiach. Przypuszczam że „Ostatni prom" obejrzy jeszcze mniej widzów, nawet gdyby (co jest utopią) ludzie odpowiedzialni za rozpowszechnianie wznieśli się ponad nie istniejący ideał. Jest to, bowiem, zwyczajnie zły film.

Historia jest prosta i pogmatwana jednocześnie. Na prom, płynący do Szwecji z pełną obsadą pasażerów, dociera wiadomość z kraju o wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce. Kapitan, bez powiadamiania pasażerów, podejmuje decyzję o powrocie, po czym symuluje atak serca i przekazuje dowodzenie w ręce pierwszego oficera. Gdy ów, dla wielu, pływający środek do uzyskania prawdziwej wolności, zaczyna zbliżać się do brzegu, ale wcale nie szwedzkiego, podpływają doń dwa okręty niemieckie i przez megafony uświadamiają pasażerów o ich faktycznej sytuacji i o sytuacji w kraju, przekłamując informacje, roztaczając obraz Polski ogarniętej wojną, strzelaniną i spływającej krwią. Namawiają do skakania do wody i obiecują wyłowienie skoczków. Ludzie więc skaczą, załoga nie reaguje. Są to sceny pełne dramatyzmu, bardzo dobrze filmowane. Desperacki „desant" staje się udziałem ludzi, którzy spieniężyli majątki, by zainstalować się na stałe w wolnym świecie. Ale nie tylko tacy decydują się na opuszczenie promu. Skaczą ludzie znajdujący się w różnych sytuacjach życiowych, nie zawsze uzasadniających tak dramatyczną decyzję. A może reżyser nie powiedział wszystkiego, „odpuścił" swoich bohaterów? Zostaje zaledwie kilka osób, w tym kobieta z pieskiem (znakomita rola **Anny Ciepielewskiej**), bowiem dla pieska nie znalazła się kamizelka ratunkowa, zostaje jakiś facet nie bardzo wiadomo dlaczego oraz główny bohater — nauczyciel — kreowany przez **Krzysztofa Kolbergera.** Przewozi on jakieś materiały zakazane przez cenzurę czy prawo (do końca nie wiadomo co), jest ścigany przez bezpiekę, pomaga mu „Solidarność" promowa. Obiecał jednak swoim uczniom, że wróci i rzeczywiście wraca do szkoły, wbrew wrednym plotkom rozsiewanym przez złego dyrektora, że wybrał wolność na Zachodzie.

Niejasne są motywy, reżyser, który jest jednocześnie autorem scenariusza, gmatwa się w rysowaniu postaci, jedne zaczyna i kończy, inne tylko zaczyna, a z jeszcze innymi nic nie robi. Nie bardzo wiadomo, kto jest kto, za co i dlaczego ucieka, za co go gonią, łapią, później znów puszczają i znów ścigają. A słowo daję, nie spałem ani przez chwilę i nie siedziałem obok żadnej kobiety, bo tu każda byłaby bardziej atrakcyjna od filmu.

Reżyser na spotkaniu z publicznością informował z dumą, że film powstał w ciągu siedmiu miesięcy od skierowania do produkcji. To szybko. Może zbyt szybko? Wyraźnie brakuje psychologicznych uzasadnień ludzkich decyzji, co jest przecież bardzo istotnym elementem analizy ich poczynań. Nadmiernie rozbudowana sekwencja skakania z promu — trzeba jednak przyznać, że efektowna — rozmywa i osłabia właściwe zakończenie, pozytywne, jak słuszny morał w bardzo pouczającej bajce. Tyle że pouczające bajki ze słusznymi morałami są strasznie nudne nawet dla małych dzieci. Tak, jak wyłącznie pozytywni bohaterowie grani przez Kolbergera. Czy mógłby ktoś z reżyserów obsadzić go w roli bandziora o czarnym sumieniu, oszusta matrymonialnego, naciągacza, szulera, czy zdeprawowanego sekretarza partii zielonych, lub nieuczciwego działacza „Solidarności"?

Wydaje mi się, że reżyser porwał się na temat sobie obcy, lub przerastający jego doświadczenia. Jest młody, więc i doświadczeń ma mniej. Niech więc robi filmy o tym, co rozumie, na czym się zna. Jest niewątpliwie zdolny, dał tego dowód filmem debiutanckim. Teraz zabrakło potwierdzenia talentu. Otrzymał, co prawda, nagrodę prezydenta miasta Gdyni na tegorocznym XIV Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych, być może za to, że w filmie jest dużo morza, a prezydent portowego miasta po prostu je lubi.

Kolejny film Waldmera Krzystka musi być filmem dobrym, bo mocodawcy mogą stracić wiarę w człowieka, poskąpią pieniędzy i kolejny młody polski reżyser filmowy zmuszony będzie nauczyć się szyć koszule.

MAREK KOPROWSKI

„Odgłosy" proponują:

Film:

DO ZOBACZENIA CHŁOPCY reż. Louis Malle

„DO ZOBACZENIA CHŁOPCY" — to głośny francuski obraz, zrealizowany przez Luisa Malle. Jest to wstrząsający film o zdradzie, przyjaźni, śmierci i solidarności w obliczu zagrożenia. Historia żydowskiego chłopca ukrywającego się w przyklasztornym gimnazjum dla młodzieży z zamożnych rodzin francuskich. Tragiczny finał dopełnia ponury obraz rzeczywistości Francji pod okupacją niemiecką.

Film zdobył „Złotego Lwa" w Wenecji w 1988 r. oraz „Cezary '88" za najlepszy film, reżyserię, scenariusz, zdjęcia, scenografię, dźwięk i montaż.

TV:

W poniedziałkowym cyklu **„Biografie"** — jak zapowiada **Hanna Wierzbicka**, kierownik redakcji filmowej w Dwójce — na pewno wydarzeniem będzie pięcioodcinkowy serial produkcji belgijskiej, poświęcony **Peterowi Paulowi Rubensowi**, jednemu z najznamienitszych malarzy doby baroku.

We wtorki Dwójka poleca filmy polskie, które albo zbyt krótko gościły na ekranach kin, albo też nie zostały docenione przez krytykę bądź publiczność i ze wszech miar zasługują na przypomnienie. Wśród filmów, które zobaczymy w tym cyklu znajdują się: **„Wojna światów" Szulkina, „Przypadek" Kieślowskiego, „W starym dworku" Koprowicza oraz „Zygfryd" Domalika.**

Czwartki Dwójka rezerwuje dla **Kina Studyjnego** (emisja raz w miesiącu) oraz firmowanych przez **Zygmunta Kałużyńskiego „Pereł z lamusa"**, filmów stanowiących jakby uzupełnienie jedynkowej **„Akademii filmowej"** (też raz w miesiącu). Każdą projekcję poprzedzi rozmowa z autorem cyklu wyjaśniająca zasadność wyboru filmu, jego zalet i miejsca w historii kina. Większość z lamusowych pereł nie jest nam znana. Obejrzymy więc w tym roku: **„Zakazaną planetę"**, film, który ze względu na zbyt pesymistyczną wymowę nie znalazł się nigdy na polskich ekranach; **„Księżycową flotę" Fritza Langa** — utwór utrzymany w stylu Steventonowskiej opowieści oraz **„Wehikuł czasu"**, zrealizowany na podstawie powieści **Wellsa** pod tym samym tytułem.

W Kinie Studyjnym warto będzie obejrzeć rzadko goszczący na naszych ekranach film meksykański, **„Erendira"** wyreżyserowana przez **Ruy Guerrę**, jest adaptacją powieści kolumbijskiego pisarza, **Gabriela Garcii Marqueza**, życzliwym przyjęciem powinien spotkać się także film **Bergmana „Z życia marionetek"**. Na szczególną uwagę zasługują **„Czerwoni" z Diane Kaeton, Warrenem Beatty i Jackiem Nicholsonem**, film oparty na głośnej książce **Johna Reeda „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem"**.

W piątkowym kinie autorskim utwory **Andrzeja Wajdy.** W tym cyklu szczególnie cieszyć może zapowiedź projekcji **„Piłata i innych"**, ze znakomitą rolą **Wojciecha Pszoniaka**, film oparty na motywach **„Mistrza i Małgorzaty"** wyprodukowany w RFN.

Sobota — to propozycje tradycyjnie lżejsze i tradycyjnie relaksowe, wśród nich sześcioodcinkowy serial angielski — **„Bogate biedactwo, czyli historia życia" z Farrah Fawcett i Davidem Ackroydem.**

Zwierzenia byłego stalinowca.

Już w szkole zapisałem się do nomenklatury

ANDRZEJ KARC

Fala tekstów rozrachunkowych, demaskujących wszystkie objawy stalinizmu, jakby opadła. Jednocześnie kampania wyborcza do Sejmu i Senatu przyniosła szczególną falę martyrologiczną: niemal każdy z kandydatów uważał za swój obowiązek wspomnieć, jakim to represjom poddawany był a to przez Bolesława Bieruta i Jakuba Bermana, a to przez Mieczysława Moczara, a to znów przez Edwarda Gierka, wreszcie przez Wojciecha Jaruzelskiego i Czesława Kiszczaka, a jeśli już przez żadnego z wymienionych, to chociaż przez swego dyrektora...

Postanowiłem się zabrać, choć obie fale opadają. Pozwalam sobie zatem przedstawić Drogim Czytelnikom obszerny fragment własnej biografii. Oto moje przeżycia z lat 1946—1953. Te historyczne daty pojawiają się tu nie dlatego, że pierwsza z nich bywa uznawana za szczyt powojennej demokracji, a druga to data śmierci Józefa Wissarionowicza. Tak się składa, że są to daty, które stanowią ramy czasowe moich studiów w szkole podstawowej, nazywanej wówczas często „powszechną".

Nazwisko Józefa Wissarionowicza Stalina musiałem niewątpliwie słyszeć już wcześniej — niestety, nie pamiętam w jakim kontekście. Domyślać się tylko mogę, że w pozytywnym: moja rodzina ucierpiała bardzo w czasie hitlerowskiej okupacji, żadnych niemiłych przygód z NKWD nie miała, Armia Czerwona, jak dla wszystkich chyba łodzian, była wyzwolicielką, a nie okupantem.

Jednak „moje życie ze Stalinem" zaczęło się później, chyba w drugiej, trzeciej klasie. Umiałem już czytać i obok przedwojennych wydań Karola Maya czy Rudyarda Kiplinga pochłaniałem gazety, szczególnie obydwie łódzkie popołudniówki, „Express" i „Echo". Zwłaszcza „Express", bo właśnie ukazywały się tam przygody Wicka i Wacka...

Czytałem nie tylko obrazkowe historie z Wickiem i Wackiem i nie tylko komiks o amerykańskich lotnikach walczących z Japończykami (to w „Echu"). Czytałem także „Dziennik Łódzki", tradycyjną lekturę całej mojej rodziny, a w „Dzienniku" nie tylko komiks z Agapitem Krupką, ale i inne, poważniejsze publikacje. Zwłaszcza te, które były ilustrowane zdjęciami. A zdjęcie sympatycznego pana z wąsami i dobrotliwie zmrużonymi oczami występowało nader często. Wciągałem się w tę lekturę, przemawiały do mojej wyobraźni pompatyczne tytuły: „Chorąży Pokoju", „Wódz Niezwyciężonej Armii Czerwonej" itp. Trochę raził mnie tytuł „Wielki Nauczyciel". Miałem do ciała nauczycielskiego stosunek niechętny, wręcz wrogi. Wyrzucałem skrzętnie ze świadomości ten niemiło brzmiący tytuł.

Byłem chyba w czwartej lub piątej klasie, kiedy wszedł na ekrany wielki, kolorowy, dwuczęściowy film pt. „Upadek Berlina". Byłem na nim ze trzy albo cztery razy. Częściej chodziłem tylko na radziecki „estern": „Śmiali ludzie" o partyzantach radzieckich — byłem na nim dokładnie 11 razy!

W „Upadku Berlina" była scena rozmowy bohatera, prostego krasnoarmiejca imieniem (jakby inaczej!) Wasia, ze Stalinem w ogrodzie kremlowskim. Stalin w czasie tej rozmowy zajęty był pielęgnacją róż. Co mówił — nie pamiętam, ale wyglądał tak dostojnie w białym mundurze, był taki ciepły, taki WIELKI. Wzruszony byłem chyba równie mocno jak ów soldat Wasia, który po tej rozmowie osobiście rozgromił Wehrmacht na przedpolach Berlina i zatknął sztandar na Łuku Triumfalnym albo na Reichstagu, wszystko jedno zresztą.

Potem był jeszcze jeden film, nie pamiętam tytułu. W tym znowu dziele kinematograficznym opowiadającym o wojnie domowej, wobec trudnej sytuacji Armii Czerwonej na froncie południowym, Włodzimierz Lenin posyłał na ten front swego najlepszego człowieka — Józefa Stalina.

Józef Stalin pojechał do Carycyna i szast prast — pogromił białych, interwentów, anarchistów atamana Machny i kogo tam jeszcze dorwał. Najpiękniejsza w tym filmie (nazywał się chyba „Niezapomniany rok 1918") była sekwencja podróży Józefa Stalina do Carycyna: pociąg jechał powoli w jesiennym, leśnym krajobrazie, a Stalin, w okrągłej czapce żołnierskiej i rozpiętym szynelu stał na stopniu wagonu i patrzył przenikliwie przed siebie...

Pomosty tramwajowe były w tych czasach odkryte — bywało, że stawałem na stopniu, rozpinałem płaszcz, nasuwałem na oczy okrągłą, uczniowską czapkę... Ech, co ja wtedy przeżywałem!

Mój mały stalinizm i zdecydowana sowietofilia miała i dobre strony: przy pomocy ojca jednego z kolegów już w czwartej klasie nauczyłem się cyrylicy i początków rosyjskiego. W piątej, kiedy zaczęła się nauka rosyjskiego w szkole, byłem z punktu prymusem i utrzymałem tę pozycję aż do egzaminu na uniwersytecie. Jaka taka znajomość rosyjskiego i zainteresowanie kulturą rosyjską zostało mi do dziś, co sobie chwalę.

Były także złe strony: przeczytałem — chyba w szóstej klasie, „Jak hartowała się stal" Aleksandra Ostrowskiego. Książka zrobiła na mnie ogromne wrażenie i zauważyłem w sobie jakieś minimalne, ale jednak! poczucie niechęci do własnego narodu — Polacy u Aleksandra Ostrowskiego byli najeźdźcami, interwentami, no i... dostali w skórę.

Gorsze było coś innego jeszcze — przejąłem się tak bolszewickim egalitaryzmem i pogardą do inteligencji, wyrażaną przez Pawkę Korczagina, że... przestałem się uczyć! Chciałem być szarym, prostym proletariuszem i koniec. Wiosną ojciec przy pomocy kabla od żelazka złamał moją rewolucyjną, nieugiętą wolę i jakoś zdałem do następnej klasy...

Rzecz jasna, należałem do harcerstwa. Tyle że to wcale nie było harcerstwo, ale jakaś dziecięca partia. Mundurków, sprawności, obozów w namiotach nie było. Były tylko nudne pogadanki wygłaszane przez jakiegoś faceta z Zarządu Dzielnicowego ZMP. I niesłychanie męczące, wielogodzinne pochody pierwszomajowe, na których obowiązywał strój organizacyjny: biała koszula, czerwona chusta i okrągły znaczek „OH". Na którymś z tych pochodów wycierpiałem szczególnie — było zimno, koszula była obowiązkowa, więc mama zmusiła mnie, żebym pod spód założył sweter. Nie zmarzłem, ale sweter tak potwornie „gryzł", że z trudem wytrwałem do końca...

W siódmej klasie, pod koniec roku szkolnego, harcerzy przyjmowano do ZMP. Poprzedzone to było czymś w rodzaju egzaminu ideologicznego, który przeprowadzał ten sam nudny facet z dzielnicy. Zapytał mnie, co wiem o spółdzielniach produkcyjnych. Nie pamiętam już, co odpowiedziałem, pamiętam tylko, że zamiast „chłopi" mówiłem „wieśniacy", bo to pierwsze określenie wydało mi się obraźliwe...

W tej samej siódmej klasie wszedłem do nomenklatury. Tak, tak, nie żartuję! A było to tak:

Po cudem zdobytej promocji, na samym początku roku szkolnego, postanowiliśmy z moim ówczesnym przyjacielem o pseudonimie „Balon", zostać w sposób najmniej pracochłonny dobrymi uczniami. Dobrych uczniów, prymusów itp. wówczas nie było — byli „przodownicy nauki". No więc postanowiliśmy zostać przodownikami. Pseudonimu „Balon" rozszyfrować, bez zgody jego nosiciela, nie mogę. Jest to dziś nazwisko publiczne, widuję je w napisach końcowych programów TV nadawanych z Wrocławia.

Opracowaliśmy prostą metodę — po pierwsze, usiedliśmy w pierwszej ławce, co od razu nastrajało do nas pozytywnie nauczycieli. Pierwsze ławki tradycyjnie są obsadzane przez posłusznych i pilnych, którzy nie grają w okręty ani w cymbergaja jak ci z ostatnich ławek. Po drugie i najważniejsze, podnosiliśmy palce. W czasie lekcji, kiedy nauczyciel rozwijał nowy temat. Było to dziecinnie proste: trzeba było na przerwie przejrzeć kolejny rozdział w podręczniku i zorientować się w temacie, zapamiętać jakąś informację i w odpowiednim momencie zasygnalizować, że się wie „co będzie dalej".

Nauczyciele wówczas byli premiowani przez władze szkolne za aktywność uczniów na lekcji. Taki sokratejski sposób — nie mówić samemu, naprowadzać ucznia pytaniami. Żeby tę aktywność uczniowską pozyskać, musieli czymś klasę zachęcić — zachęcali piątkami i czwórkami wystawianymi na gorąco, w czasie lekcji. Kiedy zaś dochodziło do lekcji powtórzeniowych, do generalnego odpytywania, aktywni mieli spokój — w dzienniku figurowały trzy, cztery pozytywne oceny, nie było potrzeby ich niepokoić. Już po dwóch miesiącach (jedna czwarta roku szkolnego) byliśmy z Balonem w pierwszej piątce najlepszych z wszystkich prawie przedmiotów. Biedne nasze belfry! Wpadali we własną pułapkę, uznawali za niezwykle pilnych dwóch największych leniów w całej klasie... Nie wiem, jak to dzisiaj wygląda, ale dwadzieścia kilka lat temu, kiedy krótko parałem się belferką, aktywność nadal była w modzie i z kolei mnie moi uczniowie usiłowali wykołować tą samą metodą.

Po pierwszym szkolnym okresie mieliśmy już mocne pozycje. Nawet w przypadku wpadki, kompletnej pustki i waty w mózgu nauczyciel z reguły był zakłopotany i mówił: no cóż, dziś ci jakoś nie idzie, zapewne źle się czujesz? Wiem przecież, że jesteś wzorowym uczniem. Nie postawię ci dziś oceny, zgłoś się na następnej lekcji. Zgłaszaliśmy się, ale nie do „przepytywanki" tylko znów „różniliśmy aktywnych". Szkołę podstawową i Balon i ja skończyliśmy jako przodownicy nauki... Jakże mogłoby być inaczej? Przecież obydwaj weszliśmy już do nomenklatury. Do nomenklatury przodowników. A z nomenklatury w tych czasach nie można było nikogo usunąć.

To dziwne, ale zupełnie nie pamiętam dnia, w którym dowiedzieliśmy się o śmierci Józefa Stalina. Zupełnie nie pamiętam też swojej reakcji. Może nie płakałem, ale przeżywałem tę żałobę niewątpliwie.

Potem było liceum i powoli, powoli mit Józefa Stalina bladł, bladł też bezkrytyczny, małoletni mit komunizmu. W roku 1956, wspólnie z kolegą, równie jak ja „pobudzonym" politycznie samorzutnie rozwiązaliśmy klasowe koło ZMP. Nazwiska tego kolegi też nie mogę ujawnić — po wielu, wielu latach był on sekretarzem Komitetu Łódzkiego PZPR!

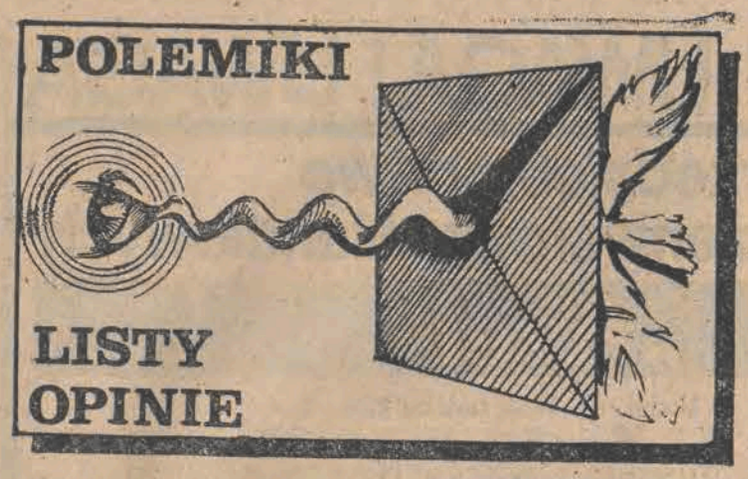

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

POSEŁ MAREK BARTOSIK WYJAŚNIA

Z lekkim zdziwieniem przeczytałem w artykule Bogdy Madej „W cieniu prezydenckiego kryzysu" (nr 41), że „po raz kolejny padło pytanie — skwitowane oklaskami — dlaczego w obradach RNMŁ nie biorą udziału, mimo że są zapraszani, senatorowie i posłowie z Łodzi?".

Czuję się zatem w obowiązku wyjaśnić zarówno Radnym, jak i Wyborcom, oraz wszystkim Czytelnikom „Odgłosów", iż informacja nie jest ścisła.

RNMŁ dotychczas nie zaprosiła mnie na swoje robocze posiedzenia. Otrzymałem jedynie zaproszenia na dwie uroczyste sesje okolicznościowe, z czego mogłem skorzystać jedynie w połowie, ze względu na inne obowiązki parlamentarne. I naprawdę nie wiem, komu zawdzięczać to całe zamieszanie.

MAREK BARTOSIK

DO WSZYSTKICH LUDOWCÓW!

My uczestnicy Konferencji ideologicznej ZSL obradujący w dniu 28 września 1989 roku w Łodzi jesteśmy głęboko zaniepokojeni coraz bardziej rysującymi się podziałami politycznymi wśród mieszkańców wsi i wewnątrz ruchu ludowego.

W dzisiejszej dyskusji dokonaliśmy głębokiej analizy działalności Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Ocena ta jest na ogół krytyczną, mimo tego widzimy również pozytywne wartości w jego działaniu. Jesteśmy za swobodną wymianą myśli, ścieraniem się poglądów, różnorodności i odmienności, za pluralizmem postaw. Szczególnie teraz w okresie historycznych przemian politycznych w naszym kraju potrzebny jest jednak jeden ruch ludowy, który wtedy może odegrać ważną rolę w wyprowadzeniu Polski z kryzysu.

Apelujemy więc do wszystkich ludowców, usiądźmy do wspólnego stołu. Wyzbądźmy się wzajemnych urazów i uprzedzeń. Wspólnie poszukajmy tego wszystkiego co nas łączy a nie tego co dzieli.

Tylko silny ruch ludowy może stać się rzeczywistym reprezentantem i obrońcą interesów wsi i rolnictwa, może być także wyrazicielem dążeń i pragnień całego narodu.

Apelujemy, zróbmy wszystko co w naszej mocy, aby nie dopuścić do rozbicia ruchu ludowego włącznie z odstąpieniem od własnych ambicji i interesów. Niech nadrzędnym naszym celem będzie dobro całego narodu, a tym samym i dobro wsi.

CO PISAŁA NIEMIECKA PROPAGANDA O KAMPANII 1939 R.?

W posiadanych przeze mnie dokumentach znajduje się niemiecka książka — niemal „biały kruk" — posiadająca tytuł „Auf den Straseen des Sieges" („Na drogach zwycięstwa"), wydana była z końcem 1939 r. przez Zentralverlag der NSDAP w Monachium i na 207 stronach zawiera szereg propagandowych informacji, w których usiłowano wmówić społeczeństwu, że kampania w Polsce trwała tylko 18 dni.

W treść książki wmontowano 50 zdjęć fotograficznych mających na celu udokumentować polski bezład i chaos, ktory tylko Niemcy potrafili powstrzymać. Jest wśród nich płot z drutu kolczastego, który odgradza dwa obszary pól należących do odrębnych gospodarzy. W pojęciu autorów książki były to „zasieki obronne". Wiejska chałupa ze słomianym dachem w ubogiej wsi w okolicach Wielunia stanowiła typowy przykład gospodarstwa wiejskiego. Inne zdjęcia przedstawiają potęgę armii niemieckiej — sunące szosą czołgi, piechota i artyleria. Na polowych lotniskach eskadry samolotów różnych typów, a w miastach i wsiach tłumy Niemców (m.in. w Łodzi) witających wkraczające oddziały niemieckie. Podobnie „entuzjastyczne" są zdjęcia z ulic Gdańska i innych miast polskich.

Obok tych zdjęć fotografie opuszczonych polskich baterii artyleryjskich. Tutaj propaganda niemiecka nie zdała egzaminu, gdyż wokół porzuconych i rozbitych dział polskich pełno pustych i wystrzelonych gilz amunicyjnych — znak że obrońcy strzelali do ostatniego pocisku. Wreszcie motocykliści niemieccy na polnej drodze, a za nimi na widnokręgu płonąca Warszawa. Autorzy publikujący tę książkę starali się wmówić czytelnikom, że wojna w Polsce zakończyła się w dniu 18 września, stąd brak jest jakiejkolwiek informacji o walkach pod Warszawą, na Helu i pod Kockiem. Załączony do książki kalendarz wydarzeń zakończył się także na tym dniu m.in. informacją, że sprzymierzone z Niemcami oddziały radzieckie wkroczyły do Polski 17 września 1939 r. Ciekawa jest historia tej książki. Trafia ona do mnie z obozu jenieckiego polskich oficerów Oflagu Nr II B. Świadczy o tym pieczątka położona na wewnętrznej stronie okładki. Tam też wydrukowana jest mapa z „nową" granicą niemiecko-sowiecką na terenie Polski.

Na mapie tej zaznaczono 12 tras, którymi przejeżdżał Adolf Hitler wizytując front w Polsce. Naturalnie wszystkie te wizyty były organizowane na trasach gwarantujących całkowite bezpieczeństwo. Trasa piąta biegła samolotem z Opola do Pabianic. Stamtąd Adolf Hitler omijając Łódź przejechał w okolice Ozorkowa i dopiero 11 września 1939 r. wizytował władze okupacyjne w Łodzi.

Ostatnia, 12 podróż Adolfa Hitlera wiodła samolotem z Berlina do Warszawy, gdzie przyjmował on „defiladę zwycięstwa" w zdobytej 26 września 1939 r. stolicy Polski. Ta data przeczy twierdzeniom, że kampania w Polsce trwała tylko 18 dni.

MIECZYSŁAW KOZAK

MAŁE PIWO?

No i wywołałem wilka z lasu. W felietonie wspomnieniowym („Odgłosy" z 8 stycznia 1989 r.), przypominając inflację w pierwszej połowie lat dwudziestych, napisałem: *„To co się dziś dzieje z naszą złotówką, to małe piwo w porównaniu z tamtymi czasami"*. I mam za swoje! Bo to, do czego doszło w ciągu tych dziewięciu miesięcy od ukazania się mego felietonu, nie jest już nawet dużym piwem, ani pełną kadzią tego szlachetnego napoju, lecz całym browarem! Najlepiej świadczą o tym nasze portfele: portmonetki już całkiem wyszły z użycia...

A jak było wówczas? Odwracam pożółkłe kartki kalendarzy, cofam się o 65 lat, kiedy to niesławnej pamięci nasza marka polska staczała się w przepaść. I chociaż jako dziesięcioletni **brzdąc miałem inne kłopoty, chociażby z opanowaniem tabliczki mnożenia i zasad pisowni, wiele faktów z owego okresu głęboko zapadło mi w pamięci.**

O tym jak w wyprawach po chleb musiałem biegać z piekarni do domu po dodatkowe pieniądze, bo gdy podeszła już moja kolejka, piekarz podnosił cenę o ileś tam tysięcy marek — wspomniałem już kiedyś. Pamiętam też skaczące co kilka dni ceny gazet. Był to dla mnie swego rodzaju hazard, gdy porównywałem cenę dziennika z ceną z poprzedniego dnia. 100 tysięcy marek! 150 tysięcy! 250 tysięcy! Doszło do tego, że kupując gazetę oddawało się za nią prawie tyle papieru, co ona ważyła.

Gazety otrzymywaliśmy w domu bezpłatnie. Mój starszy ode mnie o dziesięć lat brat pracował w łódzkiej „Republice" i „Expressie", które to tytuły powstały w r. 1923, w okresie nasilającej się inflacji. W Łodzi, podobnie jak w innych miastach, załogi robotnicze wymogły na pracodawcach tygodniowe wypłaty zarobków. Przywilej ten wywojowali również pracownicy umysłowi i rzemieślnicy. W wielu instytucjach, przedsiębiorstwach i biurach wypłacano pensje co tydzień lub trzy razy w miesiącu, co w pewnym stopniu łagodziło skutki inflacji.

Dziennikarze w „Republice" urządzili się jeszcze praktyczniej, o czym również wiem z relacji brata. Zagwarantowali sobie u wydawców pensje oraz honoraria za artykuły według aktualnego kursu dolara. I choć zarobki odbierali w markach, nic na tym nie tracili, tyle tylko, że musieli jak inni szybko wyzbywać się pieniędzy, znoszonych do domu w walizkach, jak po skoku na bank.

Jak walczono z inflacją? Co rząd zrobił dla poprawy sytuacji? Co się działo do chwili zastąpienia zbankrutowanej marki złotówką?

Tu nie mogę już oprzeć się na pamięci. Sięgam przeto do „Ilustrowanego Katalogu Banknotów Polskich 1794—1976", w którym znany numizmatyk Marian Kowalski zawarł ciekawe informacje na ten temat.

Na początku marka polska, emitowana przez Polską Krajową Kasę Pożyczkową, miała się całkiem nieźle. W końcu grudnia 1919 r. kurs dolara utrzymywał się na poziomie 120 marek. Gdy sytuacja gospodarcza kraju poczęła się pogarszać, siła nabywcza marki szybko malała, czemu towarzyszył wzrost emisji banknotów. W miarę narastania inflacji w obiegu pojawiały się coraz wyższe nominały banknotów PKKP, aż do 10-milionowego — i marka w szaleńczym tempie traciła na wartości. Ilustrują to notowania giełdowe. I tak ze 120 mkp w grudniu 1919 r. dolar osiągnął w dniu 31 grudnia 1920 r. — 600, w ostatnim dniu grudnia 1922 r. — 17 850, a 31 grudnia 1923 r. skoczył do 6 milionów 400 tysięcy marek!

„Chaos był coraz większy. Państwo ubożało, obcy kapitał rabował majątek narodowy Polski. Zarówno pod wpływem groźby całkowitego rozkładu gospodarki państwowej jak i w obliczu poważnych wydarzeń politycznych (m.in. zajścia krakowskie w 1923 r.) *rząd musiał zająć się uzdrowieniem gospodarki pieniężnej. Sprzyjał temu wyjątkowy urodzaj w rolnictwie, nieznany od pół wieku".*

I wówczas, jak wiadomo, nastąpiła reforma walutowa. Autorem jej był Władysław Grabski, ówczesny premier i minister skarbu, który w 1924 r. utworzył w miejsce PKKP — Bank Polski.

„Reformę pieniężną poprzedziła redukcja kilkunastu tysięcy urzędników, a także intensywne ściąganie zaległych i bieżących podatków i świadczeń. Wreszcie 14 kwietnia 1924 r. ukazało się rozporządzenie wykonawcze Prezydenta Rzeczypospolitej o zmianie ustroju pieniężnego. Ustalono relację zdeprecjonowanej marki do nowej waluty złotowej na 1 800 000 mkp. równe 1 zł — i w tej relacji wymieniano marki na złote."

Złoty stał się mocną walutą. Kurs dolara w pierwszym roku po reformie wynosił 5,18 za jeden dolar, jednak ujemne bilanse handlowe od marca 1924 do sierpnia 1925 doprowadziły do spadku wartości złotego. W końcu 1925 r. płacono za dolara 9.09 zł, w pół roku później — 10,55. Dalszą przyczyną zachwiania się waluty złotowej była nadmierna emisja banku. Nastąpiło załamanie gospodarcze w przemyśle, w handlu i rolnictwie. Złoty staczał się ku inflacji, jednakże w końcu 1927 r. sytuacja się poprawiła i złotówka znowu się ustabilizowała — jej kurs w stosunku do dolara udało się ustalić na 8.91.

Co było dalej? Marian Kowalski relacjonuje:

„Okres panującego w Europie ostrego kryzysu w latach 1930—1935 Polska przetrwała bez załamania waluty. Ówczesna polityka finansowa nastawiona była na utrzymanie kursu złotego na niezmienionym poziomie. W wyniku liberalnej polityki zapasy złota, znajdujące się w Banku Polskim, a stanowiące ustawowe zabezpieczenie waluty, spadły jednak z 701 milionów złotych w 1929 r. do 444 milionów w 1935 r. (posiadane ilości walut i dewiz obniżyły się z 714 milionów złotych w 1928 r. do zaledwie 27 milionów w r. 1935)".

Polska, jak i obecnie, miała zaciągnięte pożyczki zagraniczne. Jak sobie z tym poradzono?

„Dnia 26 kwietnia 1936 r. ukazał się dekret regulujący sprawy obrotu pieniężnego z zagranicą. Ponadto w czerwcu 1936 roku rząd zawiesił przekazywanie za granicę wszelkich sum z tytułu spłat zaciągniętych w poprzednich latach pożyczek. Spóźnione znacznie ograniczenia dewizowo-walutowe (...) odtąd już stosowane były przez Polskę aż do wybuchu II wojny światowej".

Przypomniawszy owe, dawne dzieje, wybiegam do przodu o pół wieku. Dokładnie 16 lat temu, 1 października 1973 r., przeszedłem, jak się to pięknie mówi, na zasłużony odpoczynek. Poczciwy ZUS wyliczył mi miesięczną emeryturę w wysokości 7 tysięcy złotych z groszami. Wracając z siedziby ZUS w alei Leona Schillera, z budującą decyzją w kieszeni, nie mogłem się nacieszyć swą nową sytuacją. Tyle pieniędzy co miesiąc siedząc w domu z założonymi rękoma!

W bramie dawnego „domu prasy" przy ul. Piotrkowskiej 96 spotkałem redaktora Jana Sawickiego, który za kilka miesięcy miał iść w moje ślady. Podzieliłem się z nim radosną nowiną — siedem tysięcy na miesiąc! Jasio pogratulował mi i powiedział:

— *Żeby tylko nie nadszedł taki czas, gdy te nasze emerytury wystarczą na bochenek chleba...*

Niewiele przesadził. Za tamtą emeryturę mogę dziś kupić siedem bochenków chleba z prywatnej piekarni. A co będzie jutro, pojutrze, za tydzień?

Oj, Jasiu, Jasiu, i coś ty narobił?

ADAM OCHOCKI

PS. Dla orientacji: dolar w październiku 1973 r. na czarnym rynku kosztował 70 złotych, a więc moja emerytura wynosiła 100 dolarów. Dzisiaj według aktualnego kursu „papieru" powinienem dostawać co miesiąc około miliona...

BŁĄD ZAWSZE POZOSTANIE BŁĘDEM.

Czynię tę uwagę a propos „Galerii pisarzy" odwalanej w „Odgłosach". Otóż nie Ludwig Świeżalski a LUDWIG ŚWIEŻAWSKI, powinno być napisane nad niby karykaturą, na której bohater podobny jest raczej do ś.p. Władysława Rymkiewicza. Wstyd tygodniku posiadający w tytule słowo „kulturalny". Inna rzecz, że ten „Świeżalski" doskonale oddaje ducha intelektualnego pisma.

Oczywiście przytyczka tego „Odgłosy" zamieszczą, aby szanowany, poczytny Autor „Sosny grottgera i jesieni", „Muzy łaskawej" i in. oraz liczne rzesze jego Czytelników przestali przecierać oczy ze zdumienia czytając pismo społeczno-kulturalne „Odgłosy".

I jeszcze stosowna „Łatka-adresatka":

WIECZÓR AUTORSKI
Sławnego literata
Gości dziś nasze środowisko!
Przepraszam, jak pana nazwisko?

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

Łódź, dn. 22.IX.1989 r.

Błąd zawsze pozostanie błędem i nic nie mamy na nasze usprawiedliwienie. Przepraszamy!

„Przytyczka" — jak to uprzejmie nazywa Mieczysław Michał Szargan — drukujemy, bowiem od lat — czego autor „Łatki adresatki" nie był uprzejmy dostrzec — mamy taką praktykę. Pisałem o tym nie jeden raz i to zupełnie poważnie, że wysoko cenimy sobie każdą krytykę, niezależnie od jej formy i intencji.

Wiele lat temu Mieczysław Michał Szargan drukował fraszki o pisarzach — i chyba nie tylko — a niezapomniany Stanisław Ibis-Gratkowski rysował karykatury. Tylko — czego nie raczy dostrzec Mieczysław Michał Szargan — były to inne czasy, inne pismo, choć pod takim samym tytułem, inny czytelnik, a raczej jego brak. Przypominam tamte dzieje tylko dlatego, żeby uświadomić autorowi „Łatki adresatki", że bajanie o „duchu intelektualnym pisma" może jest i pociągające, ale... w rzeczywistości nic nie znaczy. Każde pismo bowiem może liczyć się i istnieć tylko wtedy, gdy ma Czytelników i to im ich jest więcej, tym lepiej. A oni tego pisma nie dostają w prezencie, tylko muszą iść po nie do kiosku RUCH, których coraz mniej, i tam kupić je za pieniądze. I to się liczy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PS. A tak na marginesie. Na str. 364 książki „Polscy pisarze współcześni 1944—1974" Lesława M. Bartelskiego zanotowano, że imię pisarza pisze się Ludwik, a tytuł jego książki „Sosna Grottgera i jesień". **L.W.**

JAK TO WIDZĄ MUZUŁMANIE

Nawiązując do problemu odmowy przetoczenia krwi przez pacjenta Jana Kowalskiego, należącego do grupy wyznaniowej Świadkowie Jehowy, pragnę powiedzieć parę słów na ten temat z mojego punktu widzenia jako wyznawcy religii muzułmańskiej, której tak mało Polacy, i nie tylko oni, znają w rzeczywistości.

W „Koranie" napisane przez Boga jest w kilku miejscach na temat, co jest dozwolone i zabronione z pożywienia. I tak w jednym z cytatów „Koranu":

„Jest zabronione Wam padliny i krwi i mięso wieprzowiny i co było podane hołdowi innemu niż Bóg".

To jest zakaz całkowity. Lecz w religii muzułmańskiej są dopuszczone pewne uchybienia od zakazów w bardzo szczególnych sytuacjach, jeśliby muzułmaninowi groziła śmierć z głodu czy w innych sytuacjach. Według prawa muzułmańskiego samobójca nigdy nie zobaczy raju i nie wolno towarzyszyć przy jego pogrzebie.

W sytuacji, kiedy muzułmaninowi będzie potrzebna — ze względów życiowych — rzecz, która jest religijnie zakazana, to jest samobójstwem, jeśli nie zgodzi się na otrzymanie lub spożycie owej rzeczy. Tzn. jeśli ze względów życiowych potrzebą mu przetoczyć krew i odmówi tego i grozi mu z tego powodu śmierć, to według naszego prawa on popełnił samobójstwo.

Zgadzam się ze szkodliwością, jaką krew może zrobić człowiekowi. Następuje zagrożenie życia w przypadku niesprawdzenia zgodności co do grupy krwi AB0 i czynnika Rh, zagrożenia zakażeniem wirusem AIDS itd.

Ale także pamiętając, że z krwi są wyciągnięte surowice bardzo ważne dla zachowania zdrowia, różne surowice przeciw różnym zakażeniom i także surowicy podanej matce tuż po porodzie z konfliktem serologicznym, by mogła następną ciążę mieć normalną. Mam nadzieję, że mogłem wyjaśnić stanowisko mojej religii, choć mam trudności językowe jako obcokrajowiec.

dr BILAL QADRI
(KUWEJT)

NIE ZAPOMINAJMY O NAUKACH HISTORII!

Cofnąć się trzeba do czasów Fryderyka Wielkiego i Katarzyny Wielkiej, którzy porozumieli się co do rozbioru Rzeczypospolitej Polskiej w 1772 roku. Za każdym razem, tak wtedy jak i w późniejszych czasach, układy między Niemcami i Rosją zawsze przynosiły szkodę i upadek Polski. Wydarzeniem takim była nawet w 1812 roku w Taurogach zdrada hrabiego York — dowódcy pruskiego korpusu posiłkowego przy Napoleonie, który opuścił Francuzów po zakończonej klęską wyprawie na Moskwę i przystał do wojsk carskich.

W czasach nam bliskich podobnym wydarzeniem była w kwietniu 1922 r. konferencja międzynarodowa w Rapallo, której przewodniczył brytyjski premier David Lloyd George z zamiarem **„oblaskawienia i złowienia rewolucyjnej Rosji w sieć systemu kapitalistycznego"**. Zamiar ten pokrzyżował delegat niemiecki Ago von Maltzan, obawiając się, że wszystkie korzyści zagarnie Anglia. W pierwsze Święto Wielkanocy 1922 r. o godzinie drugiej w nocy zaprosił ministra radzieckiego Gieorgija Cziczerina na rozmowę. Odbyła się „konferencja w piżamach", której przewodniczył niemiecki kanclerz Josef Wirth, a w rezultacie powstał znamienny w skutkach układ, którego sens wyraził w Moskwie Karol Radek słowami: **„Rosja ma zawsze interes w istnieniu Niemiec"**. W imię tego rozpoczęła się ścisła współpraca pomiędzy Reichswehrą i Armią Czerwoną dla ominięcia ograniczeń traktatu wersalskiego. Zaowocowała ona udziałem niemieckich oficerów w radzieckich mundurach w ćwiczeniach broni pancernej i lotnictwa na sprzęcie radzieckim. To trwało do 1933 roku. Gdy stary prezydent Paul von Hindenburg odprawiał generała Ernsta Köstringa do Moskwy na stanowisko attaché militaire, „pobłogosławił" go na drogę słowami: **„chciałbym bardzo przyłożyć Polakom, ale ten czas jeszcze nie nadszedł"**.

Czas nadszedł w 1939 roku. Marszałek Erhard Milch z lotnictwa i generał Heinz Guderian z wojsk pancernych mieli rzekomo oświadczyć, że bez tamtej współpracy z Armią Czerwoną nie można byłoby mieć ani samolotów, ani czołgów na właściwym poziomie. To wszystko zawdzięczać można hasłu: „Rapallo". Ale stosunki z przeszłością powinny być przestrogą i na dziś i na jutro. Jeśli Polska zajęta własnymi sprawami nie będzie się liczyła na międzynarodowej arenie, to...

TADEUSZ ORDYŃSKI

CO UTRUDNIA PRACĘ KIOSKÓW „RUCHU"?

Tegoroczna plaga zamkniętych kiosków „Ruchu" i wielkie kłopoty z otrzymaniem prasy i to w tak interesujących czasach zmusza do zastanowienia, co jest tego przyczyną. Bo nie tylko urlopy, czy złe płace. Przypominam sobie, iż już przed 25 laty w „Ruchu" panowała przykra atmosfera — odczuć to można było stale kupując prasę w jednym kiosku. Wydawało się, iż po pozytywnych zmianach lat 1980—81 będzie lepiej. Ale jest coraz gorzej.

Jedną z najprzykrzejszych czynności pracy w kiosku jest przyjmowanie towarów od dostawców. Trzeba wszystko niezwykle szczegółowo sprawdzić, czy dostawa zgadza się z fakturą, ponieważ niektórzy dostawcy kradną, przez co kioskarz dokłada z własnej kieszeni. Ta stała czujność powoduje stan zdenerwowania i zniechęcenia w końcu do i tak niezbyt atrakcyjnej pracy. Dlatego też proponuję sposób na wykorzenienie nieuczciwych dostawców. Co kwartał dawać premie tym, na których nie było skarg i np. co dwa lata takim uczciwym dawać superpremie. Ponieważ dostawcy otrzymują towar z magazynów — taki sam system należy zastosować wobec magazynierów. Myślę, że tym sposobem udałoby się poprawić sytuację i polepszyć atmosferę pracy w „Ruchu", a tym samym uławić życie mieszkańcom.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

REDAKCJA — CZYTELNICY

Nawiązując do notatki zamieszczonej w tygodniku nr 39 z 24.09.1989 r. pt. „Redakcja — Czytelnicy" w sprawie ob. Antoniego Szustakowskiego Bełchatów uprzejmie wyjaśniamy.

Ob. Antoni Szustakowski nie jest członkiem naszej spółdzielni. Posiada mieszkanie w budynku, którego właścicielem jest ZPG „Stomil". Na zlecenie właściciela Bełchatowska Spółdzielnia Mieszkaniowa spełnia czynności administracyjne. Wysokość czynszu za mieszkanie określa ZPG „Stomil". Naszym zadaniem jest pobieranie od lokatorów czynszu i przekazanie go na rzecz właściciela. Dodatkowo informujemy, że w budynkach będących majątkiem BSM nie stosujemy opłat za nadmetraż.

inż. BOGDAN ZABŁOCKI

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia – podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

12 października — EUGENIUSZ IWANICKI — godzina 10—15.

19 października — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina 10—15.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO W DNIU 5 PAŹDZIERNIKA 1989 R.

Podobno na niektórych cudzoziemcach, odwiedzających nasz kraj na krótko, sprawiamy wrażenie społeczeństwa solidarnego. Zapewne jest to sugestia, spowodowana obowiązującą wciąż nazwą związku zawodowego. Wymowa faktów jest bowiem zupełnie inna, a mianowicie taka, że nie tylko nie jesteśmy solidarni, a wręcz przeciwnie — przeszkadzamy sobie wzajemnie, a nawet — wykorzystujemy bliźniego w potrzebie.

Ojciec **Henryki B.** jest człowiekiem lewostronnie sparaliżowanym, pozbawionym przy tym prawej nogi. We wtorek, 3 bm. około godz. 13 wypisany został ze szpitala im. Pirogowa. Lekarz wezwał karetkę pogotowia, aby pacjent mógł być przewieziony bezpiecznie do domu. Obecna w szpitalu żona nie zmieściła się w karetce, pojechała tramwajem. Sanitariusze byli więc przed domem pierwsi. Zatrzymali samochód, lecz nie kwapili się z odprowadzeniem pasażera, choć mieszka na pierwszym piętrze (przy ul. Łąkowej). Gotowi byli pozostawić go na progu, w bramie. Nie szkodzi, że nie poradzi sobie bez ich pomocy — to nie jest ich sprawa. Zmienili zdanie, gdy schorowany, starszy człowiek przypomniał sobie o banknocie, włożonym mu przez żonę do kieszeni. Dopiero wtedy zanieśli go do mieszkania... Słysząc powyższą opowieść, wypowiedzieć można różne komentarze: o ogólnym upadku moralnym, o niskich płacach, o negatywnej selekcji do zawodu itp., itd. Znam jednak tylko jedno właściwe słowo na określenie takiego postępowania: łajdactwo.

O manierach pracowników służby zdrowia rozmawiała z nami także **Sabina M.**, która w poniedziałek, 2 bm. zadzwoniła do przychodni przy ul. Traktorowej 61 w celu wezwania lekarza do domu. Słysząc, iż będzie to niemożliwe, oburzyła się: jak to, przecież lekarz do chorego musi przyjść! Riposta była natychmiastowa: musi, to na Rusi — wykrzyczała gniewnie rejestratorka, rzucając słuchawką. O dziwo, lekarz za jakiś czas przyszedł. Czyżby ktoś uświadomił pani rejestratorce, że nawet na Rusi mało kto już musi, ale jednak trzeba?

Iwona S. opowiedziała nam swoje perypetie z pocztą. Od pewnego czasu słyszymy, że ta instytucja przestała funkcjonować w sposób należyty. Okazuje się jednak, iż przestaje nawet wykonywać swe elementarne obowiązki! W rejonie, podległym przykładowo poczcie Łódź 26 z ul. Kopernika 23, zabrakło przykładowo listonosza. Co mają robić oczekujący na listy? Ano, wędrować muszą do ekspedycji na... Pocztę Główną przy ul. Tuwima, która pracuje w godzinach od 9 do 15. Nie można tam nawet zadzwonić, aby upewnić się, czy przesyłka nadeszła — trzeba zjawić się osobiście. Co natomiast wypada uczynić, gdy nie orientujemy się, kiedy mniej więcej nadejdzie korespondencja? Wniosek nasuwa się prosty: należy regularnie odwiedzać ekspedycję albo poinformować (ale jak — chyba nie pocztą?) znajomych i interesantów, by przysyłali wyłącznie listy polecone — będzie je wtedy można odebrać na poczcie rejonowej, a więc bliżej. Po tej wiadomości, nic nas już w pracy poczty zdziwić nie może. Wypada tylko nasłuchiwać, czy nowy rząd nie zamierza jej rozwiązać, powołując inną organizację, na zdrowych zasadach (finansowych i nie tylko) opartą.

Skoro już jesteśmy przy poczcie — **Kazimierz J.**, w imieniu grona sąsiadów i znajomych, domaga się otwarcia Urzędu Pocztowego przy zbiegu ulic Zaolziańskiej i Ciasnej. Urząd jest zamknięty od 2 miesięcy — z braku personelu.

Zofia K. podzieliła się z nami smutnymi refleksjami na temat postawy niektórych radnych Dzielnicowej Rady Narodowej na Bałutach, rozciągając swe spostrzeżenia na cały system działalności rad, poczynając od sposobu ich wyboru, na składzie personalnym skończywszy. Zauważa, że radni — zgodnie z ówczesną ordynacją wyborczą — nie zostali wybrani, lecz przegłosowani. Dostali się zatem do rad ludzie przypadkowi, albo tacy, którzy chcieli sobie coś u władz załatwić. Skoro to załatwili, przestali się troszczyć o swoich wyborców. Niepotrzebnie obrażają się teraz na listy (vide list z „Solidarności" do radnych MRN) traktujące ich jako ludzi aparatu. Być może nie są z aparatu — mówi Zofia K. — ale nie mają też wiele wspólnego z wyborcami, o których już dawno zapomnieli.

Tyle Zofia K. Co do nas — zgadzamy się w części z jej uwagami. To prawda, iż ordynacja wyborcza do rad narodowych nie była demokratyczna. Z pewnością też sporo jest (niestety) radnych, którzy nie dorośli do pełnionej przez siebie funkcji. Trudno jednak krytykować wszystkich radnych w czambuł. Byłoby to obrazą dla tych radnych, którzy wywiązują się uczciwie z obowiązków.

W sprawie telewizyjnego programu „Studio otwarte" zadzwonił do nas **J.G.** Uważa, że reprezentowany przez wielu dyskutantów poziom wypowiedzi jest żenująco niski. Nie tylko ma on niekorzystny wpływ na telewidzów (ucząc ich, jak dyskutować bez ładu i składu, w sposób niekulturalny), ale wywiera niedobre wrażenie na oglądających go zapewne dyplomatach i dziennikarzach z Zachodu, którzy na jego podstawie dojdą do wniosku, że Polacy są anarchiczni, i nie warto robić z nimi interesów. Należy wprowadzić selekcję, wpuszczając do studia ludzi na odpowiednim poziomie — postuluje J.G. Można i tak, z pewnością nie będzie to już jednak studio otwarte...

Na zakończenie uwaga, którą przekazał nam **J. Kaźmierczak**. Przeczytał on w „Expressie", iż wobec wysokiego wzrostu czynszów, lokatorzy o niskich dochodach składać mogą podania z wnioskiem o ulgę w opłatach za mieszkanie. J. Kaźmierczak nie ma nic przeciwko temu, pod warunkiem, że te mieszkania nie są zbyt duże, jak na potrzeby zamieszkujących je osób. W przeciwnym wypadku — zauważa — zniechęci się w ten sposób te osoby do zamiany, blokując obrót mieszkaniami.

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Azbest

Za tą bramą ludzie pracują w maskach. Po drugiej stronie bramy bawią się dzieci. W pobliżu zakładu jest szkoła, obok przedszkole. Na osiedlu mieszka kilka tysięcy ludzi. Azbestowy pył rozprzestrzenia się na obszarze kilku kilometrów, powodując trawienie oczu dzieci w przedszkolu, absencje w szkole, zachorowania na osiedlu. Ciekawe kto wreszcie powie dość...

Tekst i foto: PIOTR JASKOW

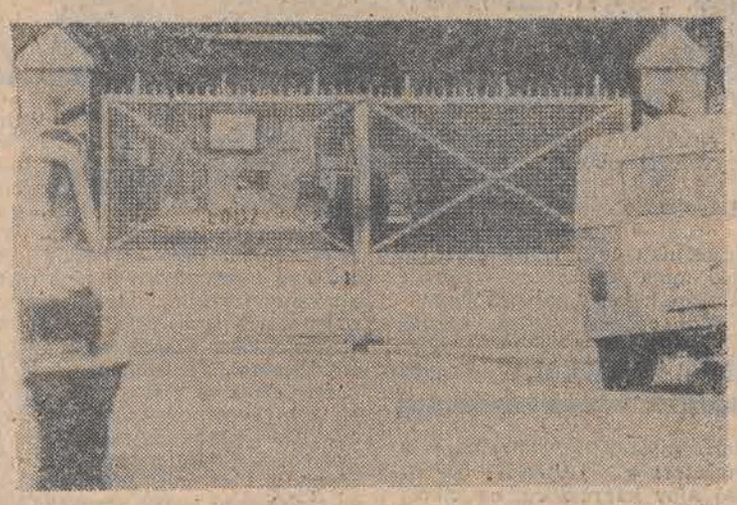

UWAGA! UWAGA! UWAGA!

Przedsiębiorstwo Działań Przemysłowo-Handlowych „Azet"

w Łodzi, ul. Wólczańska 228

O F E R U J E

po najatrakcyjniejszych cenach z najatrakcyjniejszym programem na superatrakcyjnych trasach

ZAGRANICZNE WYCIECZKI DO:

◄ WILNA ◄ KŁAJPEDY ◄ MOSKWY
◄ EREWANIA ◄ TALLINA

P O N A D T O Z A T R U D N I M Y

na najatrakcyjniejszych warunkach płacowych zapewniając wszystkie przywileje wynikające z kodeksu pracy:

◄ KROJCZYCH ◄ KRAWCOWE lub KRAWCÓW
◄ DZIEWIARZY POŃCZOSZNIKÓW
◄ HANDLOWCÓW z praktyką

Wszystkich chętnych zapraszamy do siedziby przedsiębiorstwa osobiście, gdyż kontakt telefoniczny ograniczy możliwość podjęcia Państwa decyzji.

3189 K

SPÓŁKA Z O.O.

„DEMPSEY"

Poleca usługi w zakresie:

◄ ochrona osób, zabezpieczanie imprez kulturalno-rozrywkowych i sportowych (dyskotek, koncertów, zjazdów, sympozjów naukowych i in.)
◄ ochrona mienia, konwojowanie i transport wartości pieniężnych, zabezpieczanie obiektów przemysłowych i mieszkań prywatnych,
◄ usługi detektywistyczne w tym poszukiwanie i zabezpieczanie dowodów dla postępowań cywilnych, karnych, administracyjnych,
◄ obsługa cudzoziemców (tłumaczenie, ochrona osobista, obsługa prawna).

HOTEL „CENTRUM", pok. 1306
Łódź, ul. Kilińskiego 59/63
tel. 32-86-40 wewn. 481

OGŁOSZENIA DROBNE

„ŁADA 1500S" — prawy, tylny błotnik pilnie kupię. 57-26-84 po 16. 7825-g

34-44-30 EKG, logopeda — wizyty domowe lekarzy specjalistów, Dąbrowska. 52426-g

PROTETYKA stomatologiczna, Naprawy 42-80-64, Benke. 53108-g

POLSKI — korepetycje i maszynopisanie. Tel. 81-09-49, Czyż. 52759-g

KTO poprowadzi blacharstwo sam? Łódź 25, skr. 39. 53285-g

RADCA prawny Wiesław Jarnecki — sprawy gospodarcze, spółki. Łódź, Limanowskiego 31, tel. 57-71-41 poniedziałki — czwartki 16—19. 52660-g

FLOKOWANIE rajstop. Krótkie terminy, ceny konkurencyjne Zgierz, Plater 6/18, 16-24-01 Pasek. 52536-g

KINESKOPY — regeneracja 57-33-00 Lubartowicz. 51928-g

DEKODERY PAL, przestrajanie UKF, serwis TV. 57-42-17 Łódź, Prokop. 7449-g

WYGODNĄ podróż, tani nocleg zapewnią fotele rozkładane firmy Tobik. Drzwi, zamki, regulacja, ustawianie. Ulica Kolumny 390. 52142-g

FLOKOWNICĘ z technologią tanio — sprzedam. 18-11-73. 52537-g

TVC „Panasonic" nowy sprzedam, 74-68-93. 52373-g

MŁODY, (Nysa) — podejmie pracę, 57-13-74. 52854-g

„JADWIGĘ" — sprzedam. Wasilewskiej 11/42 po 18. 52562-g

SPRZEDAM wtryskarkę. 51-74-05 52701-g

TEOWNIK, kątownik — 25—30, kupię 43-07-50. 52561-g

P I E C Z Ą T K I

zamówisz w firmie

„T A G A R"

tel. 32-86-40, wew. 486
Hotel Centrum, pokój 1311
Łódź, Kilińskiego 59/63

Krótkie terminy (również jednodniowe).

ZAPRASZAMY.

51922/g

AGENCJA „ELMA"

P O L E C A:

instytucjom oraz osobom prywatnym:

— tłumaczenie tekstów oraz à vista (francuski, włoski, angielski)
— prowadzenie zagranicznej korespondencji
— usługi biurowe i przedstawicielskie
— pośrednictwo handlowe
— usługi konsultacyjne oraz reklamowe.

91-473 Łódź, Akacjowa 14, tel. 57-21-97.

7629-g

Z różnych szuflad.

Łodzianie w PSB

Skrótem PSB zwyczajowo określa się „Polski słownik biograficzny" — zbiór artykułów o działalności i osiągnięciach osób, odgrywających znaczącą rolę w życiu społeczno-politycznym, gospodarczym i intelektualnym Polski w ciągu tysiącletnich jej dziejów. Życiorysy zamieszczone w PSB, opracowane przez wybitnych specjalistów, dotyczą tylko osób nieżyjących, w odróżnieniu od informatora biograficznego „Kto jest kim w Polsce" (edycja I — 1984, II — 1989), publikującego biografie osób czynnych we współczesnym życiu publicznym.

Do wydawania PSB przystąpiła Polska Akademia Umiejętności w 1935 r. z incjatywy prof. Władysława Konopczyńskiego, który redagował pierwszych siedem tomów tego pożytecznego leksykonu (tom 5, ukończony w 1939, ukazał się dopiero w 1946 r.). Po przerwie trwającej do 1956 r. (w tym czasie zmarł Konopczyński) redakcję objął prof. Kazimierz Lepszy, po którego zgonie (1964) redaguje Słownik prof. Emanuel Rostworowski. W związku z ogromnym zapotrzebowaniem społecznym Zakład Narodowy imienia Ossolińskich — wydawca Słownika — podjął się zreprintowania początkowych siedmiu tomów (1977), a niedawno rozpisał subskrypcję na ponowny reprint całości dotychczas wydanego dzieła.

Ostatnio ukazał się 131 zeszyt PSB, zamykający kolejny — 31 tom, w którym mieszczą się życiorysy od Jerzego Rehbindera do Modesta Romiszewskiego. Jedną z bardziej interesujących osób wymienionych w tym tomie jest pierwszy biskup pomorski Reinbern, ordynowany w 1000 r. w Kołobrzegu, a pochodzący z okręgu Hassegau w Turyngii na pograniczu frankońsko-słowiańskim. Po krótkotrwałym pobycie na stolicy biskupiej, towarzyszył Bolesławowi. Chrobremu w jego podróży do Pragi, a następnie bawił na dworze Świętopełka, księcia turowskiego. Zmarł w 1015 r. w kijowskim więzieniu, wtrącony tam z rozkazu ojca Świętopełkowego w. ks. Włodzimierza za udział w spisku młodego księcia przeciwko swemu ojcu i władcy. Z kolei Słownik zamieszcza życiorysy ludzi zmarłych przed kilku zaledwie laty, a więc stanowi on swoistą panoramę tysiąclecia Polski, wypełnioną czynami ludzi niegdyś żyjących.

Wśród kilkuset biogramów, zawartych w tym tomie Słownika, znalazło się też kilkanaście życiorysów osób, które mogą być określone mianem łodzian. Nie zawsze były to osoby urodzone i stale zamieszkujące w Łodzi, czasem tylko niewielki fragment ich życia wiązał się z losami miasta, jak np. w przypadku Mieczysławy Romankówny (1910—1980), historyka literatury i pedagoga, która mieszkała w Łodzi w latach 1920—1940. Po ukończeniu studiów uniwersyteckich pracowała w szkołach łódzkich, uczestnicząc czynnie w życiu kulturalnym i oświatowym miasta. Była członkiem redakcji dodatków literackich do „Kuriera Łódzkiego" i kolegium redakcyjnego „Prac Polonistycznych", wygłaszała felietony radiowe i publikowała cenione do dziś rozprawy naukowe. W czerwcu 1940 r. osiadła na stałe w Krakowie, gdzie zmarła jako profesor tamtejszej Wyższej Szkoły Pedagogicznej.

Podobnie potoczyły się losy historyka kultury Aleksandra Rombowskiego (1899—1965), znanego w międzywojennej Łodzi pod nazwiskiem Rosenberga. Po złożeniu egzaminu dla nauczycieli pracował w szkołach łódzkich a potem w Miejskim Muzeum Sztuki im. J. i K. Bartoszewiczów w Łodzi jako inwentaryzator zbiorów — archiwista. Podczas wojny znalazł się w Rosji, skąd wrócił do Łodzi a następnie do Wrocławia i Opola, gdzie zmarł jako profesor Wyższej Szkoły Pedagogicznej.

Krótki i okazjonalny był związek z Łodzią Bronisława Rogowskiego (1869—1946), w latach 1897—1904 inspektora technicznego, a następnie kierownika Wydziału Taryfowego Petersburskiej Konwencji Zakładów Ubezpieczeń w Łodzi. W 1898 r. ze swego prywatnego księgozbioru założył pierwszą w Łodzi wypożyczalnię książek, którą przeniósł około 1900 r. na ul. Andrzeja 5. Pod koniec życia wrócił do Łodzi i pracował jako kierownik działu taryfowego przemysłowych ubezpieczeń ogniowych Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych w Łodzi.

Mało kto wie, że z osobą Stefana Rogowicza (1891—1946) związany jest Park Ludowy na Polesiu Konstantynowskim w Łodzi. To on właśnie zaprojektował ten największy park w Polsce, a jeden z największych w Europie, i przystąpił do jego budowy od 1931 r., dostosowując równocześnie parki Poniatowskiego, Źródliska, 3 Maja, Sienkiewicza i inne do współczesnych wymagań wielkomiejskich. Z jego inicjatywy Zarząd Miejski zaniechał w 1937 r. dalszej parcelacji lasów łagiewnickich. Ten wybitny architekt ogrodnictwa zasłużył sobie na coś więcej niż biogram w PSB i imię patrona założonego przez siebie kompleksu ogrodów działkowych przy al. Unii naprzeciw Parku Ludowego.

Z Łodzią przez długie lata związany był Andrzej Rogoziński (1874—1942), ksiądz i działacz społeczny, od 10 sierpnia 1904 r. wikary w parafii św. Krzyża w Łodzi (w tej samej parafii wikarym był równocześnie Antoni Szandlerowski, o którym pisałem w 34 numerze „Odgłosów"). Rogoziński założył Łódzkie Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich, zaś w latach 1932—1939 uczestniczył w życiu społecznym miasta. W 1932 r. wygłaszał z ambony mowy skierowane przeciw polityce rządu, narażając się na postępowanie sądowe. W 1934 r. kandydował do Rady Miejskiej, lecz zrezygnował z ubiegania się o mandat po interwencji ordynariusza diecezji łódzkiej. Zginął w obozie koncentracyjnym w Hartheim koło Linzu.

W Słowniku znalazły się biogramy dwóch wojewodów łódzkich: Antoniego Remiszewskiego (1883—1948) i Mariana Rembowskiego (1873—1961) Remiszewski był komisarzem rządowym na powiat łódzki w latach 1918—1920, starostą łódzkim (1921—1926) i wojewodą łódzkim (14—18 V 1926), po czym od listopada 1926 r. do końca września 1930 r. był wojewodą lubelskim. W Łodzi znano go jako bibliofila, a zbiory jego miały trafić do łódzkiej Biblioteki Publicznej, lecz uległy zniszczeniu podczas okupacji, a ich właściciela wysiedlono do Generalnego Gubernatorstwa. Rembowski był wojewodą łódzkim w latach 1923—1924.

Nie zabrakło w Słowniku również biogramów wybitnych fabrykantów łódzkich. Są wśród nich życiorysy Józefa Richtera (1819—1898), właściciela manufaktury tkackiej wyrobów bawełnianych przy ul. Placowej 17/19 (obecnie Worcella) oraz jego syna Zygmunta (1849—1921), cenionego w Łodzi przemysłowca, ale zabrakło miejsca dla Cezara Richtera (1847—1905), księgarza i wydawcy kalendarzy.

Jest też w Słowniku nazwisko Rajmunda Rembielińskiego (1774—1841), twórcy Łodzi przemysłowej, dzięki któremu sprowadzono sukienników do Zgierza a tkaczy bawełny do Łodzi, co wpłynęło na przekształcenie się Łodzi z osady rolniczej w miasto przemysłowe.

Nieco dalej znajduje się biogram jego imiennika Roberta Rembielińskiego (1894—1975), właściciela znanej w Łodzi apteki przy ul. Andrzeja 28 (dziś jego imienia) oraz profesora farmacji łódzkiej Akademii Medycznej.

Celowo nie wymieniam wszystkich biogramów łodzian, by zachęcić czytelników do lektury Słownika.

ANDRZEJ KEMPA

1

Pod prąd

Dwa zdania w sprawie mleka

Jeden litr tzw. mleka tzw. zwykłego kosztuje dziś 30 złotych, zaś tzw. pełnotłustego — 580 złotych.

(Ponieważ zdanie to, na pozór proste i banalne, wymaga dla jasności dalszego wywodu choćby krótkiego komentarza, wyjaśniam, co następuje:

— słowo „dziś" odnosi się do dnia, w którym piszę niniejszy felieton, czyli do 27 września 1989 roku i jest o tyle ważne, że w dniu, kiedy felieton ten zostanie wydrukowany i dotrze do rąk Czytelników, podane przeze mnie ceny mogą się okazać zupełnie nieaktualne oraz — jak można się spodziewać — śmiesznie niskie w porównaniu z cenami właśnie obowiązującymi, które z kolei w kilka dni później spotka prawdopodobnie taki sam los jak te, o których tutaj piszę;

— skrót „tzw", mający w pełnym brzemieniu postać — „tak zwany", „tak zwana" lub „tak zwane" został użyty aż trzykrotnie wcale nie przez pomyłkę, albowiem biały płyn, sprzedawany przez nasz handel w litrowych, na ogół nie domytych butelkach, co żeby ukryć przed konsumentem spowodowało zastąpienie białych, przezroczystych butelek kolorowymi, do pewnego stopnia tylko jest mlekiem, o czym nietrudno przekonać się, porównując jego skład oraz smak i zapach z prawdziwym mlekiem, jakie cieknie z krowich wymion, a możliwym do kupienia bądź u zaprzyjaźnionego rolnika, bądź też — o dziwo! — w sklepach niektórych krajów leżących na zachód od Odry i Nysy Łużyckiej;

— to, co powszechnie nazywa się mlekiem zwykłym, nie jest — jak już zostało wykazane — ani mlekiem, ani tym bardziej zwykłym, gdyż, logicznie myśląc, mleko zwykłe powinno być synonimem mleka prawdziwego, a tymczasem nie jest i zdecydowanie się od niego różni zawartością tłuszczu, przeciwdziałających szybkiemu kwaśnieniu ogólnie znanych środków piorących, rozmaitych bakterii, jak również czasami pewnych niewielkich kawałków materii organicznej i nieorganicznej, noszących powszechnie nazwę brudu;

— podobnie substancja określana mianem mleka pełnotłustego, nie jest, broń Boże, pełnotłusta, ponieważ część tłuszczu została już wcześniej z niej odciągnięta, co jednoznacznie świadczy, że i w tym przypadku mamy do czynienia z erzacem i nie tylko jego cena, ale i nazwa jest bardzo umowna;

— dwupostaciowość płynu zwanego mlekiem spowodowana jest tym, że tzw. mleko zwykłe przeznaczone jest dla zwykłych ludzi, w tym między innymi — rencistów i emerytów, którzy gdyby chcieli kupować w sklepach mleko prawdziwe lub choćby tzw. pełnotłuste, w wielu przypadkach musieliby przeznaczyć na nie całość wypłacanych im przez ZUS świadczeń, a być może również — część oszczędności, jeśli jeszcze takowe posiadają, natomiast tzw. mleko pełnotłuste zaspokaja ambicje pozostałej części społeczeństwa, której liczebność ocenia się na 10 do 20 procent;

— cena tzw. mleka pełnotłustego uchodzi za cenę równowagi, co daje między innymi podstawę do wyciągnięcia prostego wniosku, że tzw. mleko zwykłe jest dotowane przez państwo, a to z kolei — że na przykład średnia renta, czy emerytura powinna być w Polsce około 20 razy niższa od średniej pensji, jeśli przyjąć, iż tzw. mleko pełnotłuste, czyli prawie prawdziwe przeznacza się dla tych, którzy prawdziwie zarabiają, lub też — że średnia pensja powinna być średnio 20 razy większa od średniej renty, czy emerytury, co w jednym i drugim przypadku jest nierealne, ponieważ albo większość społeczeństwa polskiego wymarłaby wtedy w krótkim czasie z głodu, albo — przy drugim wariancie — państwo przestałoby w krótkim czasie funkcjonować, gdyż zabrakłoby w nim papieru na druk pieniędzy.)

Paranoja!

JÓZEF RETMAN

2

Raj w autobusie

Wsiadam do autobusu. Jest tłoczno, ale nie aż tak, jak często bywa w godzinach szczytu. Można wytrzymać! Niedaleko mnie widzę kobietę, która czyta książkę. Mam taki zwyczaj (pewnie to zwykła ciekawość), że lubię wiedzieć co ktoś czyta. Schylam się, by podejrzeć okładkę. Nie udaje mi się jednak. Zbliżam się więc, żeby choć przez ramię zajrzeć w otwarte stronice. Czytam: *„Antylopa zanurzyła sielankowo pyszczek wśród szklanych ananasów, gdy runął na nią obosieczny grad smagnięć wielkich liści wodorostów. Amorki, zgruchotawszy skrzydełka w trakcie walki przeciwko czarnym aniołom, co miotały swe przelotne proklamacje, że wszystko musi najpierw być, najpierw znaleźć się w zmysłach, latały trzepotliwie bite pierścieniami, które jeszcze przed chwilą były ogniwem przejściowym pomiędzy ich głowami a kulkami wiśni"*. Po chwili autobus szarpnął i kobieta była zmuszona na kilka sekund zamknąć książkę, wtedy zdołałem dostrzec napis na okładce: José Lezama Lima, a pod spodem małymi literami: „Raj." W zatłoczonym autobusie czytać „Raj" Limy to doprawdy rzecz zupełnie zaskakująca — pomyślałem. I jeśli nigdy w takich miejscach nie zaczynam żadnych rozmów, tym razem nie wytrzymałem i zapytałem:

— Podoba się pani ta książka?

Kobieta podniosła wzrok, popatrzyła na mnie i widać było od razu, że nie ma ochoty na konwersację. Już chciała coś ostro odpowiedzieć, ale zdążyłem ją w porą uprzedzić.

— Przepraszam bardzo — powiedziałem. — Ja wiem, że to jest „Raj"... jestem po prostu zdziwiony, że niełatwą przecież powieść czyta pani w takim miejscu.

Widocznie nie wyglądam na podrywacza, bo kobieta rozchmurzyła się.

— Proszę pana, mówiąc szczerze — zaczęła. — Ja z niej jeszcze niewiele wiem i może do końca niewiele będę wiedziała, ale ta książka, jak żadna inna, pozwala mi oderwać się od wszystkiego co jest dookoła... od pośpiechu, kolejek, tych obskurnych kamienic i brudu — wskazała palcem na okno — rozumie pan... od codzienności po prostu.

Na następnym przystanku moja rozmówczyni wysiadła. Po tym spotkaniu pomyślałem, że dobrze mieć taki azyl, dokąd w chwilach trudnych można uciec. Mam znajomego, dla którego taką enklawą jest „Szwejk", dla innego „Sto lat samotności". Ale nie wszyscy przecież uciekają w książki, znam na przykład faceta, co to jak jest mu bardzo źle zamyka się w łazience i siedzi tam dwie, trzy godziny. Po takiej kuracji twierdzi, że czuje się o wiele lepiej.

I ja, zmęczony wszystkim co dzieje się wokół mnie, postanowiłem choć na kilka chwil oderwać się od tego niesamowitego przyspieszenia, którego jesteśmy świadkami i złapać trochę oddechu. Wziąłem więc do ręki „Aforyzmy Greków", niewielką książeczkę, która ukazała się ostatnio w księgarniach. Zaskoczyło mnie już pierwszych kilka stron, okazało się bowiem, że Grecy są autorami większości mądrych powiedzeń, których używamy do dziś. Ot, na przykład Hezjod: *„Na początku był chaos"* albo *„Co masz dziś zrobić, nie odkładaj na jutro"* i *„Po szkodzie nawet głupiec jest mądry"*; Tales mówił: *„Kropla drąży skałę"*, *„Kochaj bliźniego swego jak siebie samego"*, *„Najtrudniej poznać samego siebie"*; Solon, że *„Prawda leży pośrodku"*; Safona z kolei: *„I czarne włosy posiwieją"*; Na co Ezop z zadumą: *„Zgoda buduje, nienawiść rujnuje"*, Demokryt: *„Prosta droga najlepsza"*; a Sokrates: *„Miej oczy i uszy otwarte"*; Isokrates: *„Nie czyń tego, co tobie niemiłe"*; Arystoteles: *„Jedna jaskółka nie czyni wiosny"*; Teokryt: *„Młodość mija jak sen"*. I tak dalej i dalej. Aha! jeszcze jedno, żeby tak optymistycznie zakończyć: *„Bezrobotni zawsze świętują"*. I to by było na tyle — to ja! *„Najtrudniej jest zadowolić wszystkich"* — to Demostenes.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

3

Kim był K. Wielki?

Plac wokół ratusza w Wieluniu nosi dziwną nazwę: K. Wielkiego. Dla pełnej jasności: Wieluń mi się bardzo podoba. Miasto jest czyste, dobrze utrzymane, odmalowane. Widać, że gospodarze przywiązują dużą wagę do zewnętrznego wyglądu starożytnego przecież grodu. Ale faktem jest, że ratusz — też odnowiony, pięknie odmalowany — stoi na placu K. Wielkiego.

Idzie przez plac młody mężczyzna.

— Przepraszam, czy pan może wie, kim był K. Wielki?

— Kto? — Młody mężczyzna patrzy na mnie zdziwiony.

— No ten — pokazuję na tabliczkę z napisem: K. Wielki.

— A — ucieszył się młody mężczyzna — to pewnie chodzi o Kazimierza Wielkiego. No, wie pan, tego króla.

— Ale — nie ustępuję — na tabliczce nie pisze: Kazimierz Wielki, tylko: K. Wielki.

— To, nie wiem... — młody mężczyzna wzrusza ramionami i idzie dalej.

Być może rzeczywiście nadającym nazwę placu chodziło o Kazimierza Wielkiego, ale używanie takich skrótów jest jednak niedozwolone, bo to zupełnie coś innego znaczy. Tak jak gdyby napisano: Kazimierz W. To wcale nie oznacza Kazimierza Wielkiego tylko jakiegoś Kazimierza W. W przypadkach nazwy trzeba być bardzo precyzyjnym. Statek „Batory" nie był tym samym statkiem co „Stefan Batory".

Jesteśmy dziwnym narodem, który uwielbia nadawać normalnej rzeczywistości nonsensowny kształt. I to nie tylko teraz. Krzysztof Szmagier — twórca filmu dokumentalnego o gen. Władysławie Andersie — wspominał niedawno w „Kulturze", że po układzie zawartym między gen. Władysławem Sikorskim a ambasadorem ZSRR w Londynie Iwanem Majskim Polacy wychodzący z łagrów — gen. Władysław Anders wyszedł z więzienia NKWD na Łubiance — zaczęli zwracać się do niego z żądaniem, aby... wyrzucił z wojska byłych legionistów. Na taki pomysł mogą wpaść tylko Polacy.

Wróćmy jednak na nasz — nieco niższy poziom. W Łodzi parę osób prosiło mnie o pomoc w załatwieniu papieru do pisania na maszynie. W małej wiosce Z., w tamtejszym sklepie GS, kupiłem kilka paczek tego papieru. Leżał sobie na półce nie budząc niczyjego zainteresowania. We wiosce G. natomiast pokazała się dziwna wódka. W litrowych butelkach, rozlewana w Hamburgu z rosyjskim napisem: „Stołowaja wodka", po 27 tys. złotych sztuka. Moc: 75 procent. Ludzie patrzyli na to cudo i karnie czekali w kolejce na dostawy wódki rodzimej. Ale obok tego cuda był spirytus 95-procentowy, też w litrowych butelkach, też z tej firmy i w podobnej cenie. Sołtys wsi G. zdobył się na odwagę i... wykupił wszystko. Ludzie policzyli, kurs dolara wynosił wtedy 12 tys. złotych, i doszli do wniosku, że zrobił dobry interes.

W wiejskich „GS" widziałem rum austriacki, whisky francuską oraz kilka innych gatunków tego napoju, ale żaden nie pochodził ze Szkocji. Natomiast kawałka mydła nie można było dostać za żadne skarby. Bez przesady. W domu mam kilka kawałków mydła, mogłem wziąć z sobą, ale pomyślałem, że przecież kupię mydło w każdym kiosku „RUCH". Naiwny! Teraz mam nakaz oszczędnego mycia się. Ludzie! Do czego to już doszło?! Papierosów też nie ma. I zapałek.

Właściwie, to ja lubię, kiedy rzeczywistość staje na głowie i wszystko jest „po wariacku". Ale taka zwariowana rzeczywistość jest dobra od czasu do czasu. Marzę już o normalności, ale na normalność jakoś się nie zanosi.

Zaczęła się jesień. Piotr Kuncewicz mówił w radiu o kolorach jesieni. W „Sygnałach dnia" donieśli, że bladym świtem z Warszawy ruszyli grzybiarze w lasy. Z innych miast pewnie też. Ruszyły zakładowe autokary. Widywałem pod lasami takie. Jednocześnie słyszałem w radiu, że benzyna podrożała. Poza tym nie ma benzyny. Czym zatem są napędzane stada samochodów, które teraz stoją pod lasami? Z lasów olsztyńskich donoszą, że w 1988 roku „grzybiarze" wygrabili wszystko, co przypominało grzyb zwany kurką. Teraz leśnicy zastanawiają się, jak uratować las przed rabunkiem? A w tym roku grzybów nie ma! I słusznie, bo las też musi odpocząć.

To rabunkowe grzybobranie, kiedy przez las idą tyraliery rabusiów, to również przejaw nonsensowności naszej rzeczywistości. Powstała Polska Partia Zielonych, inne partie też wpisują sobie ochronę środowiska do programów, a nikt nie pomyśli, że rabunkowe wybieranie grzybów z lasów — to również niszczenie środowiska. Tym nikt się nie przejmuje. Nikt z wielkich obrońców środowiska nie pofatyguje się do lasu po inwazji grzybowych wandali. Wtedy las o pomstę do nieba woła, ale niebo ma ważniejsze problemy. I tak leśni wandale poczynają sobie zupełnie bezkarnie.

Ostatnio widziałem w lesie podczas takiego najazdu wandali jelenia. To był przerażony jeleń. Las huczał radosnym nawoływaniem się bezmyślnych grzybiarzy. Bezmyślność rodzi każdego dnia i każdej godziny nonsensowną rzeczywistość.

ZENON POROWATY

Superagent Tambor

(12)

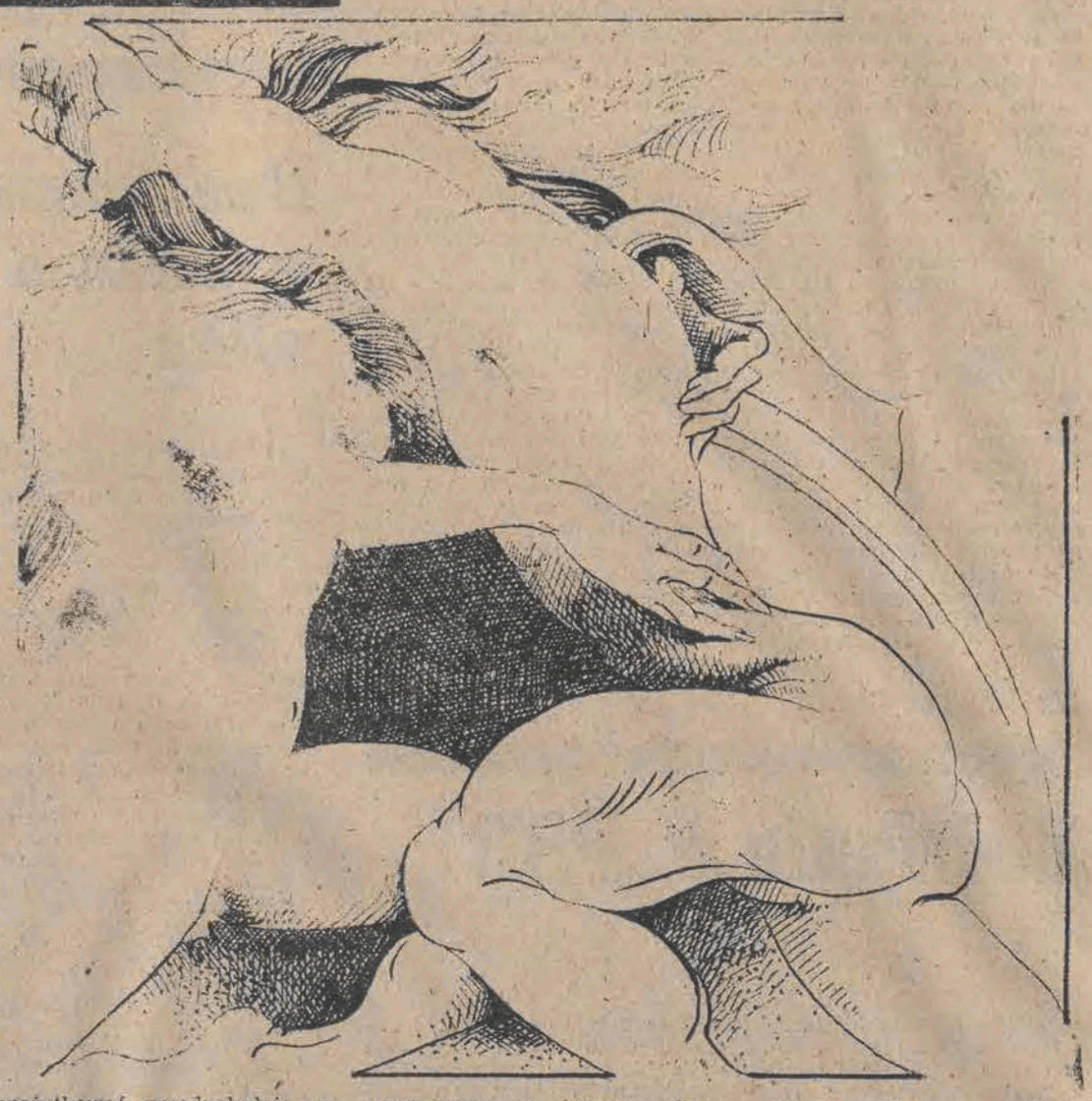

JERZY JESIONOWSKI

Kiedy mieli już wyjść z pokoju, zadzwonił telefon. Tambor przyjął go.

— Dzień dobry — odezwał się męski głos. — Czy mam przyjemność z panem Swojakiem?

— Tak. Słucham pana.

— Nazywam się Alkiewicz. Chciałbym pana odwiedzić.

— W jakiej sprawie?

— Tej, która pana interesuje. Przyjechał pan po to do Olsztyna. Więcej przez telefon nie powiem.

Tambora ogarnęło zdumienie. Przez chwilę milczał. Wnet jednak uznał, że — bez względu na to, kim jest rozmówca — trzeba się z nim spotkać. W tej ślepej uliczce, na jakiej się dziś znalazł, nie wolno było zlekceważyć żadnej szansy. Alkiewicz zaś wiedział coś o PM.

— O której chciałby pan przyjść? — spytał Tambor.

— O czwartej. Odpowiada panu?

— Tak, proszę bardzo.

— Jeszcze jedno. Chciałbym, żeby to była rozmowa w cztery oczy. Bez małżonki.

— Dobrze. Będę sam.

Jola płonęła z zaciekawienia, kto i po co ma przyjść. Tambor powtórzył jej to, czego nie słyszała. Także była zdumiona, lecz podzielała sąd, że jest to szansa, której nie należało odrzucić. Zmartwiło ją to, że nie może być obecna przy rozmowie, ale rozumiała ostrożność nieznajomego. Przy mrocznych interesach nie lubi się świadków — zwłaszcza kobiet.

Obiad i reszta czasu do czwartej dłużyły się Tamborowi. Czuł, że wizyta nieznajomego pchnie sprawę PM ostro naprzód. Skoro Alkiewicz wie o wynalazku i staraniach Tambora, nie przyjdzie przecież po to tylko, żeby poinformować go o tym. To nie miałoby żadnego sensu.

Alkiewicz zjawił się punktualnie. Wyglądem nie zrobił na Tamborze dobrego wrażenia. Był niski, łysawy i nie wydawał się mózgowcem; raczej biuralistą niewysokiego szczebla. Ale to nie miało znaczenia. Ważne było, z czym przyszedł. To zaś wyjawiło się szybko.

— Pan sam nie zdobędzie tego perpetuum mobile — oznajmił Alkiewicz tonem całkowitej pewności.

— Skąd pan wie, czego szukam? — spytał Tambor, nigdy nie przestający być dociekliwym człowiekiem wywiadu.

— Pracuję w tym samym biurze, co Widlak. Wystarczy?

— Tylko częściowo.

— Musi wystarczyć, więcej nie powiem. Widlak się do tego wynalazku nie przyzna. Tu też nie będę wyłuszczał szczegółów. Dla pana ważne jest co innego. Ja jeden komplet rysunków mam.

— Skąd?

— To mogę powiedzieć. Jestem w naszym biurze kopistą rysunków. Czasem robię prywatne fuchy dla konstruktorów. I czasem odbijam dodatkowe kopie dla siebie. Czy już jasne?

— Tak. Ma pan te kopie tutaj?

— Nie. Jeśli dojdziemy do porozumienia, przyniosę jutro.

— Muszę to wpierw zobaczyć.

— Zobaczy pan przed zapłaceniem. Transakcja z rączki do rączki. Rzecz jest śliska, jak sam pan wie.

— Dlaczego śliska?

— Powiedziałem: pan to sam wie. Proszę nie uważać Alkiewicza za durnia. Skoro Widlak się nie przyznaje, musi mieć poważny powód. Znamy ten powód obaj, więc po co o nim mówić. Ściany miewają uszy.

Zreasumowawszy w myśli dotychczasową rozmowę Tambor doszedł do wniosku, że wszystko, co Alkiewicz powiedział, logicznie się komponuje. Więcej: współgra ze stanem rzeczy, znanym jemu, Tamborowi. Żadnej sprzeczności nie było, a luki miały uzasadnienie. Rzecz była istotnie delikatna i część prawdy musiała pozostać w niedomówieniach.

— Ile pan żąda za te kopie? — spytał.

— Dziesięć tysięcy dolarów.

Gdyby takiej sumy zażądał wynalazca PM, Tambor nie podjąłby targu. Byłoby to wynagrodzenie zasłużone i zgoła niewygórowane. Ale zapłacić tyle kopiście cudzych rysunków? To urągało zakorzenionemu w Tamborze poczuciu sprawiedliwości zarobkowej.

— Dam tysiąc — odpowiedział.

Alkiewicz zaśmiał się.

— Panie Swojak, niech pan mnie nie rozbawia. Nie przyszedłem tu słuchać żartów. Tysiąc dolarów za perpetuum mobile?

— Nie pan je wynalazł.

— Ale ja je mam, a wynalazca panu nie sprzeda.

— Dobrze, dwa tysiące.

— Jeśli pan jako Amerykanin musi coś dla własnej satysfakcji utargować, opuszczę trochę. Dziewięć tysięcy.

Tambor uświadomił sobie, że on musi te rysunki kupić — dla Alkiewicza zaś jest to jedyna okazja otrzymania za nie pieniędzy. To stawiało ich na jednakowej pozycji przetargowej: obydwaj nie mogli zrezygnować z dojścia do porozumienia.

— Dam trzy i nie traćmy więcej czasu — podniósł ofertę.

— Osiem, to moje ostatnie słowo — wyszedł mu naprzeciw Alkiewicz.

Spotkali się przy sześciu tysiącach. Alkiewicz zapowiedział, że przyjdzie z rysunkami nazajutrz o czwartej. Wcześniej nie może, bo nie chce zwalniać się z pracy. Tambor nie naglił, gdyż to — umacniając kontrahenta — szkodzi transakcjom.

Jola przyjęła sprawozdanie Tambora z radością. Przedłużające się niepowodzenia już ją pewnie zmęczyły. Nareszcie — i w dodatku niespodziewanie — misja w Polsce znalazła się w przededniu spełnienia. Tambor też był wielce rad, że nie stanie przed pułkownikiem Knockiem z pierwszym w życiu meldunkiem: nie udało się.

Przedstawienie w cyrku miało zacząć się o szóstej. Pojechali na nie z poczuciem niezmarnowanego dnia. Ich dobrego nastroju nie zepsuło zagrodzone wejście do namiotu. Bileter przepraszał: przedstawienie opóźni się o pół godziny. Pierwszy występ na nowym miejscu, nie ze wszystkim zdążono, proszę nam wybaczyć.

Tambor i Jola — wybaczywszy cyrkowi spóźnienie — poszli się przespacerować. Na jednej z pobliskich ławek siedział rozwalony niedbale mężczyzna o twarzy troglodyty. Prezentował się wyjątkowo niechlujnie. Był brudny i nie ogolony, jego ubranie zaś wyglądało tak, jakby go nigdy nie zdejmował.

— To pasożyt? — spytał Tambor Jolę.

— Nie. Element.

Tambor nie znał jeszcze takiego określenia człowieka.

— To lepiej czy gorzej od pasożyta?

Po krótkim wysiłku myślowym Jola uchyliła się od wartościowania.

— To pytanie dla prokuratora, ja ci nie odpowiem. Jeśli chcesz ocenić sam, to pogadaj z nim. Jesteś silniejszy, krzywdy ci nie zrobi.

Tambor siadł na ławce, Jola przycupnęła obok niego. Od elementa zionęło złym alkoholem, zapach pozwalał domyślać się denaturatu.

— Można z panem porozmawiać? — spytał Tambor uprzejmie.

Element obrzucił go mętnym spojrzeniem, oszacował pewnie po swojemu i odrzekł:

— Truj pan.

Tambor nie zrozumiał, czy to zgoda, czy przepędzenie. Zapytał o to Jolę.

— On się zgadza — przetłumaczyła.

Zwracając się na nowo do elementa Tambor sformułował drugie pytanie, już badawcze.

— Czy pracuje pan gdzieś?

Element odniósł się do tematu z wyraźnym niesmakiem. Spojrzał na Tambora niemal karcąco. Odpowiedział jednak.

— A po jakiego ciula? Ja główkuję na singla.

Tambor spojrzał bezradnie na Jolę. Znowu przetłumaczyła mu odpowiedź.

— On nie widzi potrzeby zatrudniania się gdziekolwiek. Pracuje umysłowo na własną rękę.

— A konkretnie co pan robi? — dociekał Tambor.

— Niuchacze nie mają u mnie fartu, patafianie. Ani socjologi. Funduję fangę w ryło Albo nawet kozika, jak palant namolny.

Jola weszła w rolę tłumaczki bez kolejnej prośby Tambora.

— On cię ostrzega, że tajniacy i socjologowie mają u niego złe widoki. Bije w gębę albo nawet nożem, jeśli ktoś uparty.

— Naprawdę mógłby pan dźgnąć człowieka nożem za to, że ciekaw?

— Mowa! Z mety.

— On zapewnia, że mógłby, bez wahania.

— I nie boi się pan milicji ani więzienia?

— Nie pękam. Kiblować z równiachami mięta.

— On mówi, że się nie boi. — Jola przeszła na język angielski. — Tambor, dosyć już. To zwykły kryminalista, więcej się nie dowiesz, szkoda czasu.

— Dobrze, chodźmy.

Gdy oddalili się od ławki, Tambor spytał:

— Dużo w Polsce takich elementów?

— Dużo. Humaniści sprzeciwiają się surowości, bo uważają, że przestępczość jest winą społeczeństwa, a nie bandziorów. Nie otacza się ich opieką, nie okazuje ciepła ani serca.

— Humanizacja — Tambor przypomniał sobie wymuszoną na milicji metodę, od której dwukrotnie się wywinął.

— Otóż to.

W cyrku wstąpiło w Jolę jakby inne życie. Wydawała się młodsza, wzruszona, pochłonięta bez reszty tym, co działo się na arenie i ponad nią, pod kopułą. Tambor nabrał przekonania, że Jola była w dawnym zawodzie szczęśliwsza niż w obecnym. Żałuje może teraz, że wyemigrowała do Ameryki, gdzie cyrki jej nie chcą.

Pod koniec przedstawienia zmagało się na arenie dwóch siłaczy. Po finale ich walki zadufany szef cyrku obiecał nagrodę temu z widzów, który przez jedną minutę utrzyma się na nogach w starciu z atletą słabszym, tym pokonanym. Tambora poirytowała taka pewność siebie. Chociaż Jola powstrzymywała go, zszedł na arenę i przyjął propozycję. Na widowni zaległa zupełna cisza.

Siłacz odniósł się do śmiałka lekceważąco, co jeszcze bardziej rozsierdziło Tambora. Zdjął marynarkę i jednym z wypróbowanych przez siebie chwytów zwalił zarozumialca na matę. Tamten szybko się poderwał i zaatakował Tambora, lecz w ciągu minuty jeszcze dwa razy legł na ziemi. Widownia zahuczała od oklasków. Towarzyszyły one Tamborowi aż do powrotu z nagrodą na miejsce.

— Byłeś wspaniały — powiedziała dumna z partnera Jola.

Zwycięstwo na arenie przyniosło nie oczekiwany przez Tambora skutek. Po przedstawieniu zaczepił go przy wyjściu z cyrku nieznajomy mężczyzna. Przedstawił się jako działacz miejscowego klubu sportowego.

— W tej dyscyplinie jesteśmy pod kreską — oznajmił. — Same przegrane. Czy nie zaciągnąłby się pan do nas? Co do pieniędzy na pewno się dogadamy.

— Niestety, nie mogę — odrzucił ofertę Tambor. — Jestem cudzoziemcem.

— Nie szkodzi. Załatwimy transfer. Nasz klub zasobny.

— Przykro mi, nie reflektuję.

Działacz odszedł z zawiedzioną miną. Gdy się oddalił, Jola wybuchnęła śmiechem.

— Odtrąciłeś taką szansę. Czempion Olsztyna z pełną kiesą pieniędzy.

— Zachowam tę ofertę w pamięci. Kiedy mnie szef wyrzuci, przyjadę tutaj.

XIX.

Nazajutrz Tambor, mając do czwartej dużo wolnego czasu, zabrał się do przygotowywania dla pułkownika Knocka raportu o Polsce. Kwestionariusz, jaki musiał wypełnić, zawierał wiele pytań. Jola — żeby mu nie przeszkadzać i nie nudzić się w hotelu — postanowiła spożytkować przedpołudnie na kolejny kontakt ze światkiem cyrku, przyciągającym ją niczym magnes. Jako niegdysiejsza koleżanka po fachu udała się z wizytą do występujących od wczoraj w Olsztynie artystów areny.

Wkrótce po jej wyjściu zadzwonił w pokoju telefon. Recepcja poinformowała Tambora, że jest proszony o zejście do hallu. Zaintrygowany udał się tam.

W hallu czekała na niego Ewa Widlakowa. Wywołała go pewnie w ten sposób po to, by nie zetknąć się z Jolą. Tambor pomyślał w pierwszej chwili, że zaszło coś nowego w sprawie PM. Może Ewa znalazła rysunki albo jej mąż osłabł w uporze?

— Chodźmy do pokoju — zaproponowała Joli nie ma.

Ewa wahała się przez chwilę, lecz zwyciężyła dbałość o reputację.

— Nie mogę pójść z tobą na oczach recepcji. Porozmawiajmy tutaj.

Siedli na najdalszych od recepcji fotelach. Tam Ewa zaczęła rozmowę od pytania.

— Zakładasz tę polonijną firmę czy wracasz do Ameryki?

— Wracam. Nie będą produkował w Polsce byle czego. Nie opłaca mi się. Perpetuum mobile albo nic.

— Zabierz mnie do Ameryki.

Jola miała rację — pomyślał Tambor. Rozbudziłem tę młodą kobietę erotycznie, zepsułem jej małżeństwo z partaczem. Już nie będzie w tym związku szczęśliwa. To jednak, co wymyśliła, świadczy o zatracie poczucia rzeczywistości.

— Jestem żonaty — oznajmił, by ją otrzeźwić. — Nie zamierzam się rozwodzić.

— Nie żądam tego. Mogę być twoją kochanką. — Po chwili dorzuciła dla zachęty: — Będę ci lepić pierogi z kapustą. Mówiłeś w sobotę przy kolacji, że przepadasz za nimi.

Tambor poczuł w ustach przybór śliny, lecz poskromił pokusę. Miał już na języku odpowiedź odmowną, gdy doznał olśnienia, stawiającego całą rzecz na płaszczyźnie służbowej. Przecież pułkownik Knock życzył sobie, żeby — jeśli się da — oprócz PM ściągnąć do Ameryki również jego wynalazcę. Ten zdolny człowiek nie powinien pracować dłużej dla czerwonych. Nadarzała się okazja spełnienia tej dyspozycji przy pomocy Ewy.

— Nie mogę sprowadzać sobie do Ameryki kochanki, rozbijając w tym celu cudze małżeństwo — powiedział. — Muszę chronić swą opinię. Gotów jestem cię sprowadzić, ale z mężem. Moralność powinna być uszanowana, w Ameryce dba się o to.

Propozycja zaskoczyła Ewę. Dawało się jednak wyczytać z jej twarzy, że pójdzie na każdy kompromis, by podążyć za Tamborem. Posmutniała wszakże, gdyż dostrzegła już przeszkodę.

— On się nie zgodzi — oznajmiła. — Jest przeciwny emigrowaniu.

— To popracuj nad nim. Zostawię ci numer mojego telefonu w Ameryce. Jeśli go przekonasz, zadzwoń, a wtedy przyślę zaproszenie.

Ewa przyjęła kartkę z numerem, lecz rozstała się z Tamborem bez wiary, że go jeszcze zobaczy. Tambor postanowił nie mówić o tym spotkaniu Joli, gdyż nie było takiej potrzeby. Wspólnota ich zadania nie rozciągała się na Amerykę; wygasała po powrocie tam.

W pokoju znowu zasiadł nad kwestionariuszem od Knocka. Po dwóch tygodniach ruchliwego pobytu w Polsce obraz tego kraju rysował się w jego głowie nie tak, jak namalowano go w miarodajnej broszurze dla Amerykanów. Różnił się też od konkluzji, do jakich doszedł pospiesznie po przybyciu do Warszawy. Teraz obraz Polski stał się dlań nieklarowny i pełen sprzeczności. Odpowiadał przeto na zawarte w kwestionariuszu pytania z poczuciem wielkiej niepewności. Nie mógł jednak pisać „nie wiem", gdyż to potrafi każdy dureń bez potrzeby poznawania czegokolwiek. Superagent obowiązany jest wiedzieć. Tambor wypełniał zatem kolejne rubryki bez opuszczeń, starając się jedynie nie kłamać, bo to też potrafi każdy dureń. Kłamstwem można się zresztą paskudnie skompromitować, jeśli ktoś je wykryje. Nie wiedzieć, a mimo to nie skłamać — oto jest zadanie, któremu superagent musi podołać w każdej sytuacji. Ku pożytkowi Ameryki oraz dla podtrzymania zasłużonej chwały własnej.

„Ocenić poziom stopy życiowej w Polsce" — nakazywał kategorycznie kwestionariusz, pozostawiając sporo miejsca na ową ocenę.

Po namyśle Tambor odpowiedział logiczną metodą przesłanki i wniosku: „Nawet pobieżna obserwacja ujawnia, że Polacy wydają więcej, niż zarabiają. Świadczy to o niewystarczalności płac".

„Podać przykłady ekonomicznego drenowania społeczeństwa przez reżim".

Dwutygodniowy pobyt w Polsce dostarczył Tamborowi tylko jednego przykładu: „Wysokie opłaty w izbach wytrzeźwień". Inne ceny i stawki były w porównaniu z amerykańskimi niskie, a niektóre zgoła symboliczne.

„W czym Polacy upatrują szansę poprawy swego materialnego bytu?"

Co do tego Tambor nie miał ani krzty wątpliwości. Napisał bez wahania: „W totolotku".

„Jakie żądania wysuwa polskie społeczeństwo pod adresem rządu?"

Dobitnie wyrażone żądania napotkał Tambor tylko raz: na transparentach we Wrocławiu. Wpisał do kwestionariusza trzy zapamiętane postulaty tamtejszych manifestantów: „Szynki, swobód i wolnych poniedziałków".

„Czego Polacy oczekują od Wolnego Świata?"

To pytanie zmusiło Tambora do wysiłku scalającego. Na podstawie tego, co zasłyszał w różnych miejscach, sformułował następującą odpowiedź zbiorczą: „Uwielbienia, współczucia i paczek z darami (najchętniej z kawą i czekoladą)".

„Jak Polacy odnoszą się do perspektywy przywrócenia w ich kraju ustroju kapitalistycznego?"

Po rozmowach z Markiem oraz innymi znającymi swych rodaków Polakami odpowiedź nie nastręczała Tamborowi żadnej trudności: „Pozytywnie, ale pod warunkiem, że wszyscy będą mieli jednakowe dochody".

„Czy są widoki upowszechnienia się w Polsce postaw liberalnych?"

Rozmowy z Markiem pozwoliły Tamborowi łatwo odpowiedzieć również na to pytanie. „Tak, znaczne. Zdaniem wiarygodnych reprezentantów ludu żarliwymi liberałami stają się prawie wszyscy wysadzeni z siodła reżimowcy".

„Czy są w Polsce skonsolidowane kręgi przyjaciół Ameryki?"

Tu wystarczyło własne doświadczenie Tambora. „Tak, zetknąłem się i rozmawiałem z taką grupą osobiście. To nasi niezłomni sojusznicy. Niewskazane jest jednak zapraszanie tych osób do USA, gdyż Ameryka nie zdoła sprostać ich wyobrażeniom. Niech raczej pozostają do śmierci w Polsce".

„Opisać stosowane w Polsce metody indoktrynacji dzieci i młodzieży".

Własne doświadczenie Tambora wystarczyło także tu. „Osobiście widziałem zapędzanie dziatwy szkolnej do muzeum mimo jej rozpaczliwego oporu".

„Wymienić dostrzeżone następstwa psychiczne prześladowań i więzienia Polaków przez reżim".

Tambor mógł podać tylko jeden przypadek. „Zetknąłem się z głęboko zdemoralizowanym w więzieniach elementem".

C.D.N.